

1.9780 Chw. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 10/72

1953



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

Cz. STRASZEWICZ: **O „ŚWICIE”**

J. JASIEŃCZYK:

AGITOWAĆ CZY PROPAGOWAĆ ?

Wł. BĄCZKOWSKI: **NOWA TURCJA**

SPIS RZECZY :

Józef Czapki :	„Rzeczy nieżywe i bez ruchu”	3
Czesław Miłosz :	Gombrowiczowi	11
Janusz Jasińczyk :	Agitować czy propagować?	15
Melchior Wańkowicz :	Wkład polityczny	39



Józef Łobodowski :	Miśtycy hiszpańscy	49
--------------------	------------------------------	----

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Czesław Straszewicz :	O „Świcie”	54
-----------------------	----------------------	----

K R A J

Juliusz Mieroszewski :	Powrót	70
P. S. :	Gdynia — Tientsin	79
(a) :	Migawki z podróży	85

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski (Londyńczyk) :	Kronika angielska	89
Józef Marlewski :	Wybory w Niemczech	94
Witold Kostrzyński :	Niemcy Wschodnie	97
Włodzimierz Bączkowski :	Nowa Turcja	109

KRONIKA KULTURALNA

K.A. Jeleński :	Dwie przyjaciółki	124
Zdzisław Broncel :	Kongres „dobrych” europejczy- ków	130
E. Wersyn :	40-ty Tydzień Społeczny	138

KSIĄŻKI

KAJ :	Paradoksalny świadek	140
(av) :	Studia słowiańskie w U.S.A.	143
Al. Kawalkowski :	„Najnowsza historia Polski”	147
(j) :	Notatki wydawnicze	151



A. Bartosz, Z. Grabowski, M. Wierzbicki, M. Pan- kowski, J. Czapki :	Listy do Redakcji	155
--	-----------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik — Octobre 1953

INSTYTUT



LITERACKI

Z dn. 20. października br. adres londyńskiego biura „KULTURY” brzmi jak następuje: Juliusz Mieroszewski 11, Gainsborough Road, London, W.4. Tel. CHIswick 3231



P. 9786 Chł. Arch.

Imprimé en France

Imprimerie RICHARD, 24, rue Stephenson, Paris (XVIII^e)

“Rzeczy nieżywe i bez ruchu”



„Ten kto maluje zwierzęta żyjące jest bardziej godny szacunku niż ten, który przedstawia rzeczy nieżywe i bez ruchu”.

(Królewska Akademia Francuska ustami Félibien'a w 1667 roku).

W r. 1939 roku, parę miesięcy zaledwie przed wrzeźnięm, Michał Walicki, młody historyk sztuki, któremu już zawdzięczaliśmy odkrycia w dziedzinie gotyku w Polsce, zorganizował w Muzeum Narodowym w Warszawie wystawę martwej natury. Ściągnął wszystko co się dało ściągnąć z mało znanych zbiorów prywatnych i muzeów. Ta wystawa była ukoronowaniem walki mojego pokolenia o należne miejsce dla martwej natury w hierarchii sztuki.

Ostatnia praca Walickiego, która do mnie doszła już po wojnie to było studium o sztuce holenderskiej w „Nowinach Literackich”. Potem zamilkł, znikł z horyzontu.

Już od lat jest w więzieniu. Za co? Czy jeszcze żyje?

Pewno nie potrafił z dnia na dzień się nagiąć, zmienić stylu naukowca na styl zamówiony soc-realisty, nie potrafił pisać o sztuce Zachodu jak o burżuazyjnej i zgnilej, bo ją kochał.

Walicki był największą nadzieją naszej historii sztuki. Świetny aparat naukowy łączył z wrażliwością oka, pionierskim entuzjazmem i szlachetnością serca.

Rówieśnik Walickiego, Karol Sterling, opuścił Polskę od dawna. Jest on dzisiaj jednym z czołowych francuskich historyków sztuki, od lat konserwatorem Louvre'u, przez swe pisma, przez z rzadką konsekwencją i inteligencją organizowane wysta-

wy, wpłynął na świadomość malarską Paryża. Jemu zawdzięczamy dziś książkę, która jest Summą wiedzy o Martwej.

W bibliografii tej książki znajduję ze wzruszeniem następującą wzmiankę : M. Walicki, Catalogue de l'exposition „Malarstwo martwej natury”, Varsovie, 1939.



Książka Sterlinga *La nature morte de l'antiquité à nos jours* *) jest wydarzeniem w świecie literatury malarskiej. Rozległość wiedzy autora połączona z nie zawsze historyków sztuki cechującą wrażliwością oka, wyraźne ograniczenie pola badań (przeciwnieństwo Malraux), styl jasny i wieloletnie nasiąknięcie tematem dały dzieło o Martwej wartości wyjątkowej. Sterling ma dane, by o tej gałęzi malarstwa mieć więcej niż ktokolwiek do powiedzenia. Już w 1935 roku zmontował w Orangerie w Paryżu wystawę realizmu francuskiego z XVII-go wieku, odkrył nam wówczas cudowne martwe Baugin'a i cały świat Martwej tamtej epoki. Teraz znów poświęcił parę lat pracy by dać Paryżowi w 1952 roku, jedyną w swoim rodzaju wystawę martwej natury w tejże Orangerie. Potrafił ściągnąć obrazy z całego świata : od mozaik II wieku z Watykanu, fresków z Herculanium — po arcydzieła z muzeów Bostonu czy Kalifornii.

Ta wystawa odbyła się jednocześnie z wielkim pokazem „arcydzieł XX wieku”, które z ramienia Kongresu Wolności Kultury zorganizował w Musée de l'Art Moderne entuzjasta sztuki abstrakcyjnej, konserwator amerykański Sweeney. Wystawa Sterlinga była dla niejednego z nas piękną nauką pokory. Ilekć w jej promieniu „arcydzieł” XX wieku, konieczne rewolucyjnych, trąciło myszką, kiedy bukiet kwiatów z II wieku, kiedy słomiany koszyk ze szklankami Stosskopffa (XVII w.) czarowały nas swą wieczną młodością.

Książka Sterlinga powstała jako produkt uboczny wystawy, odnajdujemy w niej nie tylko świat radości, jaką nam dała ta wystawa w Orangerie, ale opowiedzianą historię Martwej poprzez wieki i kraje.

„RADOŚĆ NIESKOŃCZONA”

Jean, młody malarz francuski, namalował tylko co płótno. Bardzo ciemne o brązach prawie czarnych, nawet biel ściany wyraził tak przelamanymi, tak nawarstwionymi grą kontrastów tonami, że na pierwszy rzut oka zdaje się ciemna.

Mówi mi co zamierza teraz malować. Otwiera drzwi starej szafy-komody. Widzę w głębokiej gorąc czarnej wnęce chłodny

*) Edition Pierre Tisné, Paris, Octobre 1952. Stron 148, 124 plansze, w tym 86 kolorowych, 41 ilustracji w tekście. Wydanie luksusowe, Cena 4.000 fr.

blask białego imbryka i białego talerza. Pokazuje mi to z cichym, skupionym wzruszeniem :

— Widzisz... ale żeby mieć prawo to namalować, chcę przedtem namalować garnek biały na białym obrusie z białą ścianą w tle, tak żeby nawet cienie były jasne.

Kto nie rozumie takich wzruszeń boję się, że nie potrafi docenić całej wagi książki Sterlinga.

Tak samo jak ten młody malarz francuski w 1953 roku — musiał już w III czy IV wieku przed Chrystusem Piraikos, malarz grecki, pokazywać swojemu koledze modele swoich martwych natur. (Pliniusz Starszy pisze, że dawały „radość nieskończoną”). Świat antyczny nazywał je rhopografiami (przedstawienie drobnych przedmiotów), lub rhyopografiami (przedstawienie rzeczy nędznych i niskich). Tę nazwę ostatnią nadano im przeciwstawiając pogardliwie tę gałąź sztuki sztuce o tematach wzniosłych.

Więc już wtedy martwa natura dostarczała widzom „radości nieskończonej” i jednocześnie była otoczona wzgardą obrońców „wielkiej” sztuki.

Dla mojej generacji w Polsce Martwa była naprawdę radością nieskończoną, może bardziej jeszcze niż dla ludzi epoki Piraikosa czy Pliniusza, była kluczem do zatraconej wówczas przez ogromną większość malarzy wiecznej istoty malarskiego języka.

Sterling słusznie podkreśla, że to Cézanne ustawił Martwą na tej wyżynie na której nigdy przedtem, nie tylko w czasach greckich czy rzymskich ale nawet w XVII w., nie była. Wbrew własnej woli w praktyce na parę dziesiątków lat hierarchię tematów odwrócił właśnie z powodu tego, że temat Martwej jest najłatwiej od wszelkiej literatury uniezależnić.

Z opóźnieniem, ale tym fanatyczniej, odkrywaliśmy surową tradycję Cézanne'a i odczynialiśmy sztukę poprzez Martwą właśnie od wszystkiego co było niewyraźną środkami malarskimi literaturą. W Polsce właśnie, zatopionej w przeważnie źle malowanej literaturze nie tylko grottgerowskiej, matejkowskiej, ale i młodopolskiej (wpływ Pankiewicza w okresie młodopolskim działał na krąg nie wiele szerszy od grupy jego uczniów w Akademii), Martwa w ujęciu cézannowskim dawała nam olśnienie czystej sztuki.

Kraków po roku 1920 : na ścianach wszystkich mieszkań oleodruki Matejki, u kulturalnych lekarzy i dentystów pastele Wyspiańskiego, portrety i pejzaże Mehoffera, czy Wyczółkowskiego, surowy temat nieozdobnej Martwej (z wyjątkiem jeszcze kwiatów) prawie nie istniał, nie istniała również — poza niezmiernie rzadkimi jednostkami — świadomość gry czysto malarskiej, cézannowskiej budowy płótna kolorem. A historycy sztuki? Przemity profesor Jagiellońskiego Uniwersytetu Jerzy Mycielski, jeszcze się za głowę łapał gdy mówiono o... Courbet.

Formiści, którzy zaraz po wojnie światowej pierwsi wszczęli żywy ruch artystyczny w Krakowie, byli tak zapaleni do nowinek kubizmu i jeszcze bardziej futuryzmu, że rola Cézanne'a, zdaje

mi się, w ich formacji malarskiej była nikła. Chyba że się nie myłe twierdząc, że największy wśród nich malarz, Tytus Czyżewski, Cézanne'a przeżył głęboko dopiero o wiele później, już p o inkubacji kubizmu.

Naszym wówczas Rafaelem w Akademii Krakowskiej był Zygmunt Waliszewski. Nikt w tym okresie lat dwudziestych nie miał tak ożywczego wpływu u nas na swoje pokolenie malarskie. Prof. Leopold Jaworski, który jak nie wielu czynnie i serdecznie interesował się młodzieżą, postanowił kupić jego obraz. Zaniósłem mu najpiękniejszą Martwą Waliszewskiego: zielone jabłka. Było już późno, profesorowa w drzwiach wzięła mi z rąk płótno i kwaśno powiedziała „ależ wy malujecie same jabłka i jabłka”. Wróciłem do domu, Waliszewski już leżał. Gdy mu powtórzyłem słowa profesorowej, aż się zerwał, oczy mu błysnęły złym blaskiem:

— Ależ ta kobieta BOGA NIE ZNA, jeżeli jabłka nie widzi, zawołał.

WSZYSTKO W MARTWEJ

Dziś ta gwałtowność reakcji w obronie jabłek brzmi nieaktualnie. Martwa zdobyła nie tylko świat, ale jakby ogłociła z innej tematyki tak zwane awangardowe salony i wystawy na lata, stała się nową rutyką. Surrealiści wracając zaczęli do tematyki w poszukiwaniu niesamowitości i fantastyki, powoływali się na Boecklina, jakby zjawisko Cézanne'a nie istniało, i nawet Martwe ich stały się skrajnie literackie. Ale chyba Picasso przede wszystkim, autor nie jednej Martwej, już dziś historycznej, który Cézanne'owi więcej niż komukolwiek zawdzięcza, Picasso akcentujący w miarę lat coraz bardziej swój ekspresjonizm o niesłychanym bogactwie inwencji, wpłynął na przekreślenie już dzisiaj tego absolutnego prymatu „czystej” Martwej. Ten prymat jeszcze w ostatnich latach przed wojną był na tyle silny, że Valéry wystąpił znów w obronie, dawnej hierarchii genre'ów w książce, którą każdy malarz musiałby nie tylko przeczytać, ale nosić w kieszeni*). Valéry zwalczał znak równania między dwiema śliwkami na talerzu i ukrzyżowaniem, czy bitwą pod Arbellä, zarzucał malarzom zubożenie imaginacji, twierdził, że malarstwo światowe straciło swą wolę potęgi, zważając skrajnie treść tematyczną obrazów i zakres studiów pomocniczych. Reakcja Valéry'ego była NA CZASIE, ale marzyć o sztuce pełnej, o tematach wielkich pisarzy, marzyć o malarstwie współczesnym gdzie ukrzyżowania byłyby godne Chrystusa z Perpignan, a portrety — Świętej Franciszka z Subiaco czy Baltazara Castiglione z Louvre'u, zaś bitwy by przypominały klasą bitwę pod Arbellä Altdorfera — to jest łatwiejsze niż takie malarstwo zrobić, nie wpadając w marny neo-matejkizm czy boecklinizm. Bo nie chodzi również o martwy epigonizm dawnych arcydzieł, czy jeszcze

*) Paul Valéry, *Degas danse dessin*, Ed. Gallimard, Paris.

w najlepszym razie o malarstwo o wysokich walorach plastycznych, gdzie temat jest tylko wymuszonym przez widza czy zamawiającego pretekstem dla pięknej gry arabskiej czy barw. Więc znów treść, literatura „obok”, nie stopiona z samą plastyką, *niekonieczna*. Kaplica Matisse'a w Vence, niektóre obrazy religijne Bonnarda — nawet w tych wypadkach nawrót zdaje mi się pozorny.

Guernica Picassa jest może dziełem najwybitniejszym współczesnym, gdzie treść nie jest pretekstem a naprawdę tym czego plastyka jest wyrazem, może jeszcze niektóre obrazy Rouaulta. Shahn, ten Grosz i Chagall malarstwa amerykańskiego, zdaje się kroczyć po tej linii, czy jednak jego materia malarska nie jest jeszcze „chuda”, nie na poziomie dramatyczności jego tematów?

Niezależnie od prób poronionych czy zbyt pośpiesznych, idziemy ku malarstwu o które Valéry wołał, ale ono nie byłoby do pomyślenia bez martwej natury Cézanne'a, w której malarstwo przeżyło poprzez cézannowską ascezę szkołę OCZYSZCZAJĄCĄ. O tym malarstwie o którym pisze Valéry, marzył całe życie Cézanne, tylko że ten Mojżesz sztuki współczesnej wiedział, że trzeba czterdzieści lat przeżyć w pustyni, żeby INNI, MOŻE, do tej Ziemi Obiecanej trafili. Na pustyni musieli wymrzeć ci wszyscy, którzy tęsknili za strawą sytą ludzi niewolnych. Czy wymarli dziś ci wszyscy, którzy tęsknili za malarstwem Bouguerau czy Matejki, Bonnata czy Riepina, za tymi bitwami, ukrzyżowaniami, portretami w których było wszystko, nawet czasami wielka szlachetność myśli, ale nie było malarstwa. Ciężar tego dziewiętnastowiecznego spadku, całego wypaczenia które w nas ten spadek wywołał, już nas może tak nie dławi, ale za żelazną kurtyną oficjalne i jedynie dozwolone malarstwo to soc-realizm, nieodrodne dziecko tej sztuki zafałszowanej drugiej połowy XIX wieku, przeciwko której powstała garść wielkich malarzy a Cézanne najpełniej i najcałkowiciej.



Wróćmy do Martwej. Epoka cézannowska wyculiła nas na świat tej sztuki i nauczyła rozumieć, że poprzez język trudniej może czytelny można wyrazić wszystko, wszystkie stany duszy od zmysłowego nad życiem zachwyty do mistyki, od rzuconego światu przekleństwa, od buntu do panteistycznej kontemplacji i scalenia się w jedno z naturą.

Wczytajmy się uważnie w Sterlinga. Zestawmy jego 124 plansze i jeszcze kilkadziesiąt ściśle tekst ilustrujących reprodukcji.

Xeniony rzymskie („dar gościnności”), owoce, mięsiwa, gliniane naczynia z winem, wodą czy oliwą: delektacja zmysłowa, zachwyty przed darami Cybeli.

Przedmioty ubogie w pokoju Świętej Anny na fresku Giotta (1303-1305). Znowu malarz przyglądać zaczyna się uważnie

najniklejszym przedmiotom po tysiącu latach przerwy i bizantyjski schemat prawie ideogram rzeczy przemienia się w świat nowego realizmu.

W książce Sterlinga widzimy obok Giotta fragment fresku Tomaso da Modena z XIV wieku : pulpity Sw. Hieronima, a z XV w. księgi, kałamarz, piasecznik na obrazie Van Eycka, czy znów księgi Jeremiasza u Mistrza Zwiastowania z Aix. „Rzeczy nieżywe” zaczynają znowu mocniej istnieć w obrazie.

W ruinach Rzymu artyści włoscy odkrywają freski-xeniony. Marquetterie włoska, inkrustacja drzewna, jak twierdzi przekonująco Sterling, jest pierwsza pod bezpośrednim wpływem tego odkrycia, a malarz Martin de Feltre jeszcze w końcu XVI-go wieku, zakopuje się w ruinach Rzymu, by te freski starorzymskie skopiować.

Przedmiot u malarzy Północy zacznie, od Van Eycka, zajmować coraz więcej miejsca w obrazach ku oburzeniu Michała Anioła, który Flamandom zarzuci, że malują rzeczy niepotrzebne.

Bodegones hiszpańskie XVI-go i XVII-go wieku (zapasy kuchenne, przedmioty domowego użytku), których Pacheco, teść Velasqueza, jeszcze nieśmiało próbuje chwalić. Cały potężny rozkwit martwej XVII-go wieku, Caravaggio, Cotan, Zurbaran i Baugin czy Stoskopff, martwa holenderska, flamandzka, neapolitańska. A przecież w tym samym wieku założona malarska akademia francuska ustala surowy podział genre'ów, umieszczając naturalnie na szarym końcu malarstwo przedstawiające rzeczy nieżywe.

Wiek XVIII-ty Chardina i Goyi, wiek XIX-ty z bujnymi martwymi Courbeta, rozświetlonymi — impresjonistów, epoka Cézanne'a, a potem aż do naszych czasów iluz mistrzów martwej : Holender Van Gogh, Hiszpan Picasso, Francuz Braque i Sutin z Mińska !

Czy jesteśmy sobie dziś w stanie wyobrazić malarstwo bez tej gałęzi gdzie od dwóch tysięcy lat arcydzieła liczyć można dosłownie na tysiące ? Ile Martwych przy tym tyle różnych nie raz wykluczających się wzajemnie wizji świata. Goya — wystarczy by namalował Martwą z surowym mięsem, czy parę kawałków czerwonego łososa — widzimy to samo pismo, ten nerw gwałtowny co w jego sabatach czarownic lub w jego akwafortach z „okropności wojny”. Sutinowi wystarczy rzucić parę pomidorów na stół by rozsądzić formę przedmiotów, a Van Gogh swój świat szalony i tragiczny wyraża z równą, może większą, siłą malując zwyczajne krzesło, czy światła prowincjonalnej kawiarni niż kiedy maluje temat bardziej literacko stan jego ilustrujący, chmurę kruków nad dojrzałym zbożem.

Cóż za przestrzeń dzieli świat Renoira — słoneczny, radosny, zmysłowy — od Zurbarana czy Cotana „malarza zakonników i malarza zakonnika”, od pierwszego w cytrynach i pomarańczach ustawionych pokornie rzędem, czy drugiego w Martwej, może najpiękniejszej z wystawy w Orangerie (kolorowa reprodukcja u Sterlinga), geometrycznie jasnej a jednocześnie jakże

rzeczowej w swym surowym i miłosnym zarazem spojrzeniu na przedmiot. Należą one nie tylko stylem, ale swym na świat spojrzeniem do rodziny Vittoria, który napisał muzykę „Ciemnej jutrzni Wielkopiątkowej”. Wykonania jej w kościołach musiał Papiież zakazać w Hiszpanii, bo doprowadzała słuchaczy do stanu takiej rozpacz nad męką Chrystusa, że się ranili, by z Chrystusem móc cierpieć; należą do rodziny najsurowszego Świętego Jana od Krzyża, który pisał liryki do Chrystusa, gdzie jest mowa o powiewach ze Sierry i wachlarzu z gałązki cedru. O ile obraz Cotana z melonem bliższy jest tego świata przeżyć religijnych niż wszystkie ukrzyżowania i wszystkie Madonny Carlo Dolci, Murilla, czy innych malarzy świętych obrazków.

POKREWIEŃSTWO Z WYBORU

W Paryżu, na wystawie Martwej, podziwiać można było „renoirowski” fresk z Herculanium z langustą, wazą i niebieskim ptaszkiem i „impresjonistyczną” mozaikę rzymską z II-go wieku : „kosz kwiatów”. To zestawienie z Renoirem, z impresjonistami, które robi Sterling nie jest paradoksem, samo się narzuca. Nie darmo Filostrates w III-cim wieku pisał : „wszystko ma swój kolor, ubranie, zbroje, domy, mieszkania, lasy, źródła i POWIETRZE, KTÓRE OTACZA wszelką rzecz”. Według Schuhla *) nawet iluzjonizm sztuki greckiej z okresu Wojny Peloponezkiej (431-401), dżumy w Atenach, idących po sobie okresach tyranii i demokracji, kontaktów z dalekimi krajami i miastami, miał niejedno co go z impresjonizmem łączyło. Potęguje się wówczas indywidualizm malarzy, człowiek staje się miarą wszystkiego, sofiści podkopują świat pewników pojęciem względności prawdy. O obrazach malarzy Zauxisa, Parrasiosa pisano wówczas, że ich malarstwo przedstawia naturę wyłącznie według jej pozorów, że tematami ich obrazów były nawet sceny migawkowe, gdzie grały cienie i wibrowało powietrze. Sterling pisząc o niektórych malarzach tamtej epoki stwierdza pokrewieństwo znowu inne, widzi analogie uderzające między manierzystami włoskimi XVI-go wieku a estetyką pewnych malarzy starogreckich. Opisy Pliniusza obrazów Antiphilosa (około 310-280) mogłyby równie być opisami Cambiaso czy Jacopo Bassano, a sceny obyczajowe i martwe natury Piraikosa są do porównania z obrazami Pietera Aertsa, postaci karykaturalne Antiphilosa przypominają w charakterze potworne czy śmieszne twarze, które Arcimboldi układał w końcu XVI-ego wieku z jaryzyn, skorup czy ryb.

A czyż moda za czasów Nerona na fantazje bez hamulców, gdzie malarze zestawiali umyślnie najbardziej obce sobie treściowo przedmioty, łącząc je arbitralnie, jakby chcąc dać policzek widzeniu klasycznemu, nie przypomina niejednego surrealisty,

*) Pierre-Maxime SCHUHL, *Platon et l'art de son temps.*

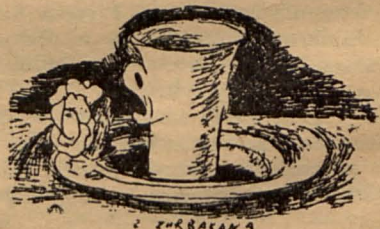
Max Ernsta, czy tegoż Dali'ego reprodukowanego na ostatniej stronie książki, gdzie słuchawka telefoniczna, gwałtownie czarna, ułożona na talerzu, leży obok ości niedojedzonego śledzia z dziwną w tle obrazu górą i drobnymi, rzucającymi długie cienie postaciami. Tu znowu grać muszą pokrewieństwa psychiczne, dla których przestrzeń wieków nie znaczy.

Gdy Rzym zaczyna się pod naciskiem barbarzyńców rozkładać a ze Wschodu wkracza do sztuki świat abstrakcji i fantastyki powstaje sztuka bizantyńska, ginie widzenie epikurejskie xenionów, przedmioty tracą czar delikatny i zmysłowy, obrastają twardym konturem. Natura ulega coraz bardziej arbitralnej deformacji i stylizacji. Przedmiot w bizantyńskich wczesno-chrześcijańskich mozaikach : potrawy Ostatniej Wieczery, kałamarze ewangelistów — nabiera form uproszczonych i brutalnych. Ileż konkretnych analogii z reakcją antyimpresjonistyczną Cézanne'a a potem kubistów. Sztuka przechodzi od realizmu pierwszych wieków po Chrystusie aż na granice ideogramu. Martwa natura zostaje usunięta na margines sztuki jako atrybut znowu podrzędny. Ale ileż innego, nowego piękna w „kubistycznych” nawarstwieniach murów na dopiero po pierwszej wojnie odkrytych mozaikach w Damaszku, czy w ornamentach, fragmentach martwych, mozaik w Rawennie i jeszcze pomimo wszystko konkretnej, barwnej obserwacji przedmiotu. Piękno równie dalekie, równie obce xenionom rzymskim, jak świat kubistów jest daleki w swych formach winogronom i brzoskwiniom Renoira.

I tu znowu wracamy do Cézanne'a. Martwa natura cézannowska była zwrotnicą dziejów sztuki na przełomie XIX-go i XX-go wieku. To ona oderwała świat od „optymizmu słonecznego” (wyrażenie Sterlinga) impresjonistów, od wibracji słonecznej roztopiającej wszelki przedmiot, od delectacji zmysłowej, to ona zaprowadziła nas w świat nie tylko surowych form kubistów ale także przez konstrukcję nie linearną, nie walorową, a przede wszystkim KOLOROWĄ w świat dramatyczny Van Gogha i Sutina. Naprawdę „my wszyscy z niego”.

Tu się zatrzymuję. O Cézanne'ie jeszcze innym razem.

Próbowałem omówić, prędzej opowiedzieć o paru wątkach porywającej książki Karola Sterlinga. Trzeba by trafiła do malarzy, daje ona wyzwajające poczucie ciągłości sztuki, wieczności jej nurtów i sporów, i jej wiecznej młodości. Malarzowi odkrywa jak głęboko, już nie w wiekach a w tysiącletniach, tkwią korzenie jego wizji. Wyzwolić ona może niejednego przed niezawsze świadomym galopem za modą, sukcesem, tą najbardziej powierzchowną, a przez to fałszywą, obsesją aktualności.



Józef CZAPSKI

Gombrowiczowi

Publiczne rozmowy pomiędzy autorami w jednym tylko wypadku są godne potępienia : kiedy ci nawzajem wynoszą siebie pod niebiosy i używają komplementów po to, żeby prowokować komplementy. Jeżeli natomiast łączy ich wola prawdy i umieją mówić sobie rzeczy nieprzyjemne kiedy trzeba, mają pełne prawo zaprzętać uwagę czytelników własną osobą. Ukazują się wtedy jako reprezentanci spraw bardziej powszechnych, nie tylko ściśle osobistych i ich dialog stwarza napięcia konieczne dla życia umysłu.

Po tym wstępie przechodzę do rozmowy z Gombrowiczem. Ma on dar wabienia tzw. zagadnień, jak szczerolak dar wabienia szczerów z nor. Dzieje się tak, ponieważ nie powtarza tego co gdzieś wyczytał, ale przestrzega zasady, żeby słowo było jak najbliższej autentycznego, ściśle własnego, doświadczenia. To zobowiązuje i ja staram się utrzymać się tutaj w prawidła gry.

Trapiło mnie w ciągu ostatnich miesięcy pewne pytanie. Mogę to rozszerzyć : nie tylko miesięcy, lat. Właściwie w ciągu całego mego świadomego życia. I może nabiera ono ostrości tu gdzie to piszę : w kraju drogim sercu Lamartine'a, przed niebieskim pasmem gór na których kurzy się mgła. Gombrowicz w swoich *Fragmentach dziennika*, analizując moją książkę, trafił w sedno. Słuszna czy niesłuszna jest sentencja : „Śpiew przyszłości nie narodzi się pod piórem, zanadto związanym z czasem terażniejszym”. Słuszna czy niesłuszna jest sentencja : „Jeśli chcecie, aby pocisk daleko zaleciał, musicie lufę skierować do góry, na pozór o wiele wyżej waszego celu”. Ale o to, o tę właśnie sferę wątpliwej chodzi. A pytanie moje jest następujące : dlaczego, kiedy tkwią po uszy w historii, w doraźności, w aktualności, tęsknię do spojrzenia na wszystko z dystansu, tak aby zmały wieki i kraje i abym mógł ulecieć jak Śarbiewski kiedy opisywał swoją podróż na Pegazie z Wilna do Brukseli? Dlaczego, na odwrót, kiedy leżę wyciągnięty na podalpejskiej łące i skłonny jestem myśleć tylko o Względności Czasu, ogarnia mnie niejasny niepokój, zjawia się nieokreślone ómienie, jakiś kołatek wewnętrzny mnie szeleści że nie wszystko w porządku?

Co ja mam wspólnego ze *Zniewolonym umyślem* czy z powieścią, w istocie też w sporym stopniu polityczną? Gotowi naprawdę przykleić mi etykietę eksperta od komunizmu. Ratunku! Jestem poeta liryczny, który został wtrącony w dziwną studnię i starał się, jak umiał, z niej się wydostać. Poetów lirycznych należy gniewać, ale w miarę. Zbyt gniewani stają się niebezpieczni — drzemie w nich odwaga lwów albo pana Zagłoby. Tę dolinę tu przede mną chciałbym zamurować — wielki, solidny chiński mur aż do wód jeziora i ja wewnątrz — z tymi gajami kasztanów i włoskich orzechów, z okapami pod którymi schnie drzewo, z dzwonem kościółka, który zwołuje w wiosce na pogrzeb (jakimż antyhistorycznym zjawiskiem jest tu śmierć), z wolnym obrotem pór roku. Tak, jestem dziecinny i znalazłbym tu dość ciekawych zajęć, na przykład interesują mnie bardziej od „problemów” cietrzewie co lęgną się tutaj wysoko, na granicy lasów i hal, a z malarzem zwierząt Robertem Hainard chodziłbym podpatrywać borsuki. I sztukę uprawiałbym nie taką zbrudzoną odpryskami oszalałego świata i niedosięgalna Tajemnica Istnienia napelniałaby mnie całego.

Nie. Jest ten kołatek, który szeleści że nie wszystko w porządku. W Gombrowiczu widzę niebezpieczną skłonność, a znam ją bo ta sama jest we mnie. Jest to skłonność do szukania *d r u g i e g o b r z e g u* historii. Jak wysuszająca, jak zgubna, jak upadająca na dalszą metę jest służba historyczności (*historicité*) wiem dobrze. Ale jaką pustkę, jaką niemoc, jaką niemotę powoduje wyrzeczenie się tej służby, wiem też. I oto, maestro, jest klucz mojego wielkiego Strachu który gniótł mnie tak, że oczy mi wyłaziły i nie wiadomo było co począć między biciem w bębny bojowe i łakną asfodeli pełną postaci estetów żyjących poza czasem. W Stanach Zjednoczonych pewien pisarz amerykański namawiał mnie żebym osiadł sobie na farmie i spokojnie pisał wiersze. Odpowiedziałem że nie miałbym o czym pisać — i wyjechałem z Ameryki. Bo coś pcha nas w karkołomne sytuacje aby się dopełniło. Aby czara została wypita. I oczywiście, że kiedy się pije, jest nie w smak i wtedy myśli się o jakiejś dolinie, farmie, chińskim murze — byle dzień, tydzień, miesiąc wytchnienia. Między tymi sprzecznymi chęciami wypada żyć, mając ciągle przed sobą przykłady ludzi co ulegli i podali się do dymisji. Nie twierdzą, że pan do nich należy. Ma pan całkiem niezłą żywotność. Dostrzegam tylko niepokojące drobne oznaki, jak choćby zatracanie poczucia upływu lat. Jako pisarzy Zachodu wymieniam pana Claudela, Cocteau, Valéry — ale przecież to nie jest literatura współczesna, to było wieki temu. Choćby w słynnej polemice Sartre-Camus odnajdzie pan dokładnie ten sam spór pomiędzy pędem do historyczności i zamiarem jej osądzenia o którym tu mowa, a Sartre jest (z opóźnieniem) we władzy strachu znanego nam, „warszawskim”, dobrze i syczy nad Camusem to samo co syczeli mi moi przyjaciele: „Kto od nas odejdzie, zginie, kto od nas odejdzie nie będzie miał nic prócz kontemplacji, prócz drogi do buddyjskiej obojętności”.

To możliwe że z moich prac, zbyt naznaczonych piętnem momentu, nic nie zostanie. Nie z tej jednak przyczyny, że wykroczyłem przeciwko regułom „pisarstwa absolutnego”. Myślę, że śpiew przyszłości może narodzić się tylko pod piórem związanym z czasem terażniejszym. Zarzut jaki sobie mogę postawić, to ten, że moje pióro nie jest jeszcze dostatecznie terażniejsze, że nie dotyka całego spłotu zagadnień, które są. Nie potrafiłem uniknąć mnóstwa nieporozumień, choć próbowałem. Mój *Zniewolony umysł* przełożony na angielski, francuski i niemiecki jest ostatecznie wyciąganiem kasztanów z ognia dla tych, co deklaracjami jęczą o krajach za Żelazną Kurtyną, starając się pogrzebać fakt, że wśród nich samych, w wypadku jakiejś fantastycznej Restauracji, jedni staliby się więźniami a inni strażnikami koncentracyjnych obozów. Tak, ma pan rację mówiąc, że za mało jest we mnie śpiewu przyszłości. Bo nie pokazałem może jakby należało, że protest wobec zabójczej *historicité*, która wydraża człowieka od wewnątrz tak że zostaje z niego tylko powłoka jak u wyschniętego kraba, że ten protest możliwy jest jedynie w imię pełniejszego historycznego spojrzenia, w imię dania wolnego pola nowej, czystszej walce — tak aby człowiek, spragniony absolutnych wartości, przez historyczność mógł przezwyciężyć historyczność.

Ciągłe przeginięcie się zanadto w jedną czy w drugą stronę, ciągłe skoki z pozycji historycznej w „wiecznościową” i odwrotnie, z tęsknotą do takiego ich połączenia że obie znajdą swój właściwy wymiar — to był i jest dla mnie najważniejszy powód do zmartwień. Nie powinien pan wyłączać za nawias mojej poezji, bo chyba, pomimo wszystko, wycofamy się trochę ze zdania, że domena ta nie nadaje się do poważnej dyskusji. W moim tomie *Ocalenie* konflikt znalazł wyraz nie tylko okólny, ale często wyrazony *expressis verbis*.

Czysta sztuka. Mówienie o niej jest może piętą achillesową Gombrowicza (choć trzeba żeby ktoś o niej mówił). Sądzę, że czystą sztukę osiąga się przez wyrzeczenie się czystej sztuki, natomiast ci co dążą do niej jako do celu, nie osiągają nic. Nie można urządzać polowania na to, co jeżeli jest, przychodzi jako nagroda za przyzwoite spełnianie obowiązków. Obowiązków, które są równocześnie zabawą z czasem, bo mamy świadomość, że operujemy językiem pojęć i obrazów zawsze doróżnych tylko i tymczasowych: choćbyśmy stanęli na palce i próbowali zaglądać w Jutro, mamy tylko tyle pozwala nam zobaczyć nasz wzrost. Gombrowicz w swojej sztuce rozumie to zresztą doskonale, nie chce używać szcudła i „czystości”, „absolutności” na które lubi się powoływać są zapewne samoobroną przed polskością. Ale nie możemy się ciągle definiować przez samoobronę — mówię to, choć sam dostatecznie często tak się definiowałem.

W istocie nie ma pomiędzy nami wielkich rozbieżności, maestro południowego łądu. Te które są, powinny jednak zostać wydobyte, abyśmy spirali się z pożytkiem. Daję tutaj co mogę — to jest moja rozterka i niewiedzę: jak elementy stopić w ty-

glu? Żeby być historycznym, trzeba być ponad-historycznym. Ale to zdanie, odwrócone, też jest prawdziwe: nie zdobędzie perspektywy wieków kto nie tkwi w swojej epoce, godząc się nawet na artystyczną przegraną, bo nagroda nie zależy od nas, bo „kto straci duszę, zyska ją”.

Pojedynek z Zachodem to to samo. Książki, które pisali zapatrzeni w Zachód Polacy starający się być „na poziomie”, tłumaczono czasem na obce języki z łaski. Co nam dzisiaj daje się to nie nasza artystyczna doskonałość (która może nam być też przydana). To nasze wskoczenie, nieraz mimo woli, w najbardziej newralgiczny punkt żywych dziejów. Wbrew pozorom, nie jesteśmy biedni krewni i wolno nam mówić Zachodowi to co nam się podoba, dlatego po prostu, że nasz kraj jest terenem przemian najważniejszych jakie mogą się zdarzyć i że w tych przemianach jest „śpiew przyszłości” — który wznie się kiedy ru nie panowanie Moskwy nad narodami. Nasze zbawienie, nas jako ludzi i autorów, jest w uświadomieniu sobie, że nic nas nie łączy ze snobami oglądającymi swoje skarpetki w jakichś zachodnich Zodjakach i że jeżeli i oni i my wymawiamy słowa „pisarstwo absolutne”, to każdy ma co innego na myśli.

I powtarzam: potrafimy, czy nie, mniejsza o to — ale co czyste i wieczne realizuje się tylko poprzez doczesne i tymczasowe, bo drugiego brzegu historii nie ma.

Czesław MIŁOSZ

NOWE WYDAWNICTWO
OFICYNY POETÓW I MALARZY

CYPRIAN K. NORWID

VADE-MECUM

Cena: 18 szylingów lub 2,50 dol.

Do nabycia:

Oficina Poetów i Malarzy

69a, Grosvenor Rd., Tunbridge Wells, Kent, (England)

UWAGA POLACY W KANADZIE

KSIEGARNIA WYSYŁKOWA I AGENCJA CZASOPISM

RADEGAST

570 Aberdeen Ave., WINNIPEG, Man.

ułatwi Wam nabycie każdej polskiej książki oraz załatwi prenumeratę następujących czasopism: KULTURA, WIADOMOŚCI, ŻYCIE, ORZEŁ BIAŁY i in.

„RADEGAST” dostarcza ze składu w Kanadzie najpiękniejsze polskie płyty POLONIA i innych wytwórni.

Agitować czy propagować?

I

Polska rozgłośnia monachijska Radia Wolnej Europy działa już przeszło rok, a dotychczas nie doczekała się żadnej krytycznej oceny, jeśli nie liczyć b. ciekawego, ale raczej postulującego artykułu Michała Sambora w Nr 6/56 *Kultury*. Nie można się temu dziwić, skoro odpowiedzialna krytyka — w szczególności krytyka literacka — prawie zamarta na emigracji i to w czasie, gdy z radością obserwujemy silne ożywienie działalności wydawniczej.

Odpowiedzialną krytykę zaczyna wypierać napaść, inwektywa lub londyńska (a zapewne i paryska, i nowojarska) plotka. Stugębna plotka ogłosiła Głos Wolnej Polski za imprezę nie-polską. Kwestionuje się samą nazwę, atakuje się postawę polityczną rozgłośni, jej kierownika i poszczególne audycje, najczęściej istniejące tylko w wyobraźni takiego „krytyka”. Gdy jego mocia takiego przycisnąć do muru, to okazuje się, że radia wcale nie słucha, aparatu nie posiada. Liczne rozmowy z rodakami przekonały mnie, że prawie nikt z emigrantów Monachium nie słucha. Słuchają — bardzo pobieżnie — ci, co dla R.W.E. pracują, ale oni wolą żadnych krytyk nie pisać, wychodząc widocznie z założenia, że trzeba giaskać rękę, która dolary płaci.

Krótko mówiąc podpisany jest jednym z bardzo nielicznych emigrantów, którzy do analizy działalności rozgłośni Głosu Wolnej Polski podchodzą systematycznie, do czego niemało przyczyniła się choroba, skazująca go na czas jakiś na pobyt w łóżku. Poniższa analiza działalności Głosu Wolnej Polski oparta jest na kilkumiesięcznym słuchaniu audycji monachijskich w czasie od kwietnia do połowy sierpnia 1953 roku. Każdą rubrykę programowa została zbadana przynajmniej kilkakrotnie, a niektóre słuchane były systematycznie z tygodnia na tydzień lub częściej — w zależności od tego jak się pojawiają w programach. Żadnych informacji zakulisowych nie posiadałem i celowo wystrzegam się ich, aby nie mącić obiektywizmu sądu — takiego przynajmniej obiektywizmu, na jaki zdobyć się może człowiek żywy,

posiadający określone poglądy i reagujący silnie na otaczającą rzeczywistość *).

Działalność G.W.P. rozpatrywana tu będzie wyłącznie pod kątem widzenia potrzeb Kraju, aczkolwiek tu i ówdzie wtrąca uwagę o przydatności takiej, czy innej rubryki także dla słuchaczy emigracyjnych. Miary celowości i znaczenia poszczególnych audycji dla słuchacza krajowego poszukiwałem w pewnej mierze w swym własnym rozeznaniu, popartym studiami z dziedziny sowietyzacji kultury w Polsce (patrz prace ogłoszone w Zeszytach Krajowych *Kultury*) w większym jednak stopniu w bezpośrednim kontakcie z kilkoma osobami, które Kraj opuściły bardzo niedawno, a w Kraju słuchały rozgłośni monachijskiej i obserwowały jej skuteczność.

2

Wbrew twierdzeniom „genialnych turystów” od Dakowskiego uważam, że z punktu widzenia polskiej racji stanu rozgłośni G.W.P. nic zarzucić nie można. Kierownictwo rozgłośni prowadzi politykę ostrożną, do czynnego oporu Polaków w Kraju bynajmniej nie zachęca, a przeciwnie, korzysta z każdej okazji (jak np. czerwcowe rozruchy w Niemczech Wschodnich), by przed tego rodzaju działalnością kategorycznie ich przestrzec. Krótko mówiąc, z punktu widzenia emigranta polskiego, dla którego gra cieni, nazywana „polityką emigracyjną” nie ma większego znaczenia, kierunek działalności i ogólna linia polityczna G.W.P. nie budzi żadnych, lub prawie żadnych wątpliwości. Ja, co prawda wolałbym, aby na przykład nie nadawano przez to radio wystąpień Mikołajczyka, ale trzeba sobie uświadomić, że jest to *malum necessarium*, równie przykre jak nieodpowiedzialne i absolutnie beztreściwe wypowiedzi ultra-niepodległościowych polityków, jakie słyszy się często w sobotę w stałej rubryce G.W.P. pt. *Przywódcy emigracji mówią do Kraju*. Bezstronna obserwacja działalności polskiego Monachium prowadzi do wniosku, że kierujący nią Polacy mają bardzo znaczną swobodę działania — nieporównanie większą od rządowych stacji amerykańskich Głosu Ameryki i, co więcej, dostateczną, aby „Głos Wolnej Polski” uważać za imprezę polską. Nie wątpię, że jego niezależność nie jest mniejsza od niezależności szeregu pism emigracyjnych.

3

Ustawiwszy pozytywnie stronę polityczną działalności G.W.P. możemy przystąpić do opisu jego programów i techniki.

*) Tu — dla podejrzliwców, bo i tych nie brak na emigracji — pragnę dodać, że względy osobiste nie zaciemniają mego sądu, bo na żadną posadę w Monachium nie reflektuję.

Jest to konieczne z uwagi na prawie zupełną ignorancję emigracji w tej dziedzinie.

Głos Wolnej Polski nadaje swe audycje na czterech falach krótkich w pasmach 25, 31, 41 i 49 m. oraz dodatkowo w pewnych godzinach na fali 19 m. W nocy rozgłośnia powtarza niektóre wiadomości w ciągu pół godziny (od 0,35 do 1,05) na dwudziestu długościach fal. Audycje są silniej lub słabiej głuszone przez komunistów, jednak przy pewnym wysiłku można je zawsze wysłuchać. Głoszenie większości audycji dowodzi, że reżim boi się G.W.P. Ogółem rozgłośnia pracuje ponad 16 godzin na dobę, ponieważ jednak każda niemal audycja powtarzana jest cztery razy (wyjątki pomijamy dla uproszczenia obrazu), będziemy tu analizować codzienne 4-godzinne taśmy dźwiękowe. W niedzielę taśma pięciogodzinna powtarzana jest trzy razy, do czego dochodzi nadawane raz jeden nabożeństwo jednogodzinne. Siła nadawcza rozgłośni jest znaczna, wobec czego Głos Wolnej Polski jest, lub może być, potężnym narzędziem w wojnie psychologicznej.

Całokształt programu G.W.P. podzielony jest na stałe, powtarzające się w tych samych dniach i godzinach, krótkie rubryki tematyczne, w których miejsce w razie potrzeby wstawia się audycje specjalne. Najobszerniejsza z tych ram — *Teatr Wyobraźni* — liczy zaledwie 40 minut, najkrótsza zaś — codzienna rubryka historyczna pt. *Na szlaku historii* — 5 min. Informacje bieżące nadawane są co godzina (od 5 rano, z dwiema przerwami, o każdej pełnej godzinie aż do północy) po 10 minut. W sumie w ciągu tygodnia rozgłośnia nadaje przeciętnie 1760 minut tekstów i muzyki, co trzeba, w przybliżeniu, pomnożyć przez cztery, aby otrzymać cały czas jej pracy na antenie.

Aby zorientować się w ogólnym kierunku gospodarowania czasem, podzieliśmy wszystkie audycje na siedem grup. Okazało się, że audycje informacji bieżącej (dziennik radiowy i reportaże) trwają w ciągu tygodnia 300 minut, czyli zajmują 17 % całego czasu nadawania, publicystyka polityczna — 805 minut (45,7 %), audycje rozrywkowe — 65 minut (3,7 %), muzyka — 265 minut (15,1 %), oświatowe i rozmaiteści — 95 minut (5,4 %), kulturowo-artystyczne — 170 minut (9,7 %) i religijne — 60 minut (3,4 %). Uderzający jest olbrzymi odsetek publicystyki politycznej, do czego jeszcze powrócimy.

Aby uświadomić sobie jak bardzo ta recepta gospodarowania czasem różni się od programów normalnej radiofonii, warto zaznaczyć, że *Home Service* B.B.C. (czyli najpopularniejszy program brytyjski) wiadomościom bieżącym i reportażom poświęca 6,8 % czasu, audycjom oświatowym, rozrywkowym i muzyce — 78,7 %, artystycznym i literackim — 10 % *), religijnym 3,5 %,

*) Tu trzeba przypomnieć, że cyfra ta nie daje pojęcia o miejscu, jakie audycje te zajmują we wszystkich programach BBC, których jest trzy, przy czym Third Program zawiera wyłącznie wysokowartościowe audycje kulturowe i muzyczne.

a publicystyce zaledwie 1 %. Analogiczne cyfry w radiofonii francuskiej (program popularny *National*) wynoszą: wiadomości — 12,8 %, oświatowe i muzyka — 61,2 % (w tym muzyka 50,6 %), artystyczne i literackie — 16,1 %, religia — 1,7 %, publicystyka — 5,5 %.

Inna segregacja czasu nadawania radiostacji polskiej w Monachium da nam pojęcie o metodzie propagandowej, stosowanej zapewne przez wszystkie, wielojęzyczne stacje Radia Wolnej Europy (przypuszczam bowiem, że programy ramowe są dziełem nowojorskiego, amerykańskiego zarządu tej wielkiej instytucji). Jeśli wszystkie rubryki programowe podzielimy na takie, które coś afirmują, na takie, które z samego założenia przeznaczone są na krytykę i negację oraz na te, które niczego nie utwierdzają i niczemu nie przeczą, to okaże się, że 22 % zajmują audycje negatywne (takie jak *W domu sąsiada*, *Za kulisami partii*, *Odwrotna strona medalu*, *Satyryczny przegląd prasy krajowej* itd.) 67 % obojętne (muzyka, tzw. „michały”, dziennik radiowy, reportaże itp.), a tylko około 8 % audycje z założenia pozytywne, mające afirmować jakąś zachodnią rzeczywistość i pokazywać zjawiska dodatnie, słowem dawać konkretną strawę duchową, która może być przemyślana i praktycznie lub teoretycznie zasymilowana. Są to audycje: *Okno na Zachód*, *Książka tygodnia*, *Rzeczypospolita Młodych*, *Nasz podręcznik historii* (częściowo), *Pogadanki pod dębem*, *Kwadrans poetycki*, *Co Zachód może przeciwstawić komunizmowi*, *Nasz doktor*, *Głos wolnych pisarzy* (choć w tej rubryce przeważają audycje negatywne), dyskusje *Okrągłego Stołu*, *Jedność europejska* i nieliczne słuchowiska *Teatru Wyobraźni*. Akcenty pozytywne pojawiają się niekiedy w programach kobiecych, w rubryce *Nie rozdzieli nas żadna kurtyna* i w *Sprawach polskich w prasie zachodniej*, a także w *Sprawach polskich w Stanach Zjednoczonych*. Jedyna — obok *Kwadransu poetyckiego* — rubryka czysto literacka — czytanie na głos utworów prozaicznych — jest tak dalece negatywna, że posiada nawet bojową nazwę: *Na czerwonym indeksie*. Wypełniają ją, jak dotychczas, nie licząc czytanych ostatnio opowiadań powstańczych, wyłącznie utwory jaskrawo antysowieckie, często artystycznie bezwartościowe. *Teatr Wyobraźni* i dyskusje *Okrągłego Stołu* dają częściej negatywny, niż pozytywny materiał.

Cyfry powyższe, starannie obliczone, ale nie aspirujące do 100 % ścisłości (która zresztą nie zawsze jest możliwa, gdy chodzi np. o ocenę kierunku negatywnego, czy pozytywnego któregoś z rubryk) pozwalają z całą pewnością stwierdzić dwa fakty. Po pierwsze, że Głos Wolnej Polski pracuje według recepty dziennikarsko-publicystycznej i po drugie, że koncentruje się przede wszystkim na zwalczaniu przeciwnika, a nie na propagowaniu lub informowaniu o jakichś prawdach, czy określonym światopoglądzie lub światopoglądach. Czy tak być musi i być powinno — to już inna sprawa, do której powrócimy w części krytycznej tych uwag.

Dział informacyjny rozgłośni G.W.P. pracuje bardzo dobrze. Wiadomości dziennika radiowego są świeże i często uzupełniane, redakcja starannie wychwytyje sprawy polskie i umie je podać szybko i zgrabnie. O wielu wydarzeniach polskich, a nawet światowych dowiedziałem się z radia monachijskiego o parę godzin wcześniej od prasy brytyjskiej nie mówiąc o codziennej prasie polskiej, która pracuje bez agencji prasowych lub nie umie ich używać, a nakłady swe drukuje wczesnym wieczorem (a czasem i popołudniu) na dzień następny. W ogóle trzeba powiedzieć, że w G.W.P. panuje wzorowy duch *efficiency*.

Wracając do działu informacyjnego trzeba wspomnieć o świetnych reportażach Wojciecha Trojanowskiego, które na taśmę wnoszą wiele życia i swoistego wdzięku. Te audycje w moich notatkach i diagramach są znaczone wielką literą Z, gdyż z reguły informują o pozytywnych zjawiskach na Zachodzie i to w sposób ciekawy, na pewno nie uchodzący uwagi słuchaczy w Kraju. Niedzielną rubryką *Polacy na Zachodzie* w połowie zalicza się do informacji, w połowie zaś do publicystyki. Podobnie jest z audycją *Mikrofonem po Europie*, którą jednak omówię w dziale publicystycznym.

Wiadomości bieżące podawane są poprawnie, choć nieco monotonna. Wprowadzenie silnych głosów kobiecych do tej rubryki (co trafia się, ale dość rzadko) bardzo by ją ożywiło. Błędy językowe w komunikatach prasowych występują nieporównanie rzadziej, niż w dziennikach polskich po tej i po tamtej stronie Oceanu, nie mówiąc o Kraju, gdzie w prasie i radio panuje ohydny żargon.

Ilość wiadomości bieżących nie wydaje się wygórowana, gdyż informowanie jest główną funkcją rozgłośni tego typu.

Audycje publicystyczne dałoby się podzielić na kilka gatunków, czy nurtów. Najwygodniej mi omawiać je w ramach ustalonych rubryk rozgłośni. *Odwrotna strona medalu* — to celowa i niewątpliwie bardzo potrzebna 10-minutowa rubryka codzienna (bez niedziel), z założenia polemiczna, omawiająca zjawiska w świecie komunistycznym z punktu widzenia świata wolnego. Prowadzona jest z temperamentem, żywo i aktualnie. Podobny cel spełniają przeznaczone dla elity partyjnej, nadawane dwa razy na tydzień (poniedziałek i piątek), 10-minutowe audycje pt. *Za kulisami Partii*, przynoszące niekiedy ciekawe rewelacje *Listy do komunisty* i audycje *W domu sąsiada* oraz satyryczne, wtorkowe, dialogowane audycje aktualne (głównie dla kobiet) pt. *W czterech ścianach* (15 min.). Żywą formę dialogów posiada także niedzielny *Satyryczny przegląd prasy krajowej* (15 min.), a *Ważne sprawy rodziny Kubiczów* (poniedziałek, 15 min.) to

bodaj najlepsza z tych pseudosłuchowiskowych form publicystycznych. W dialogach, opartych na aktualnej akcji typowej autor tych audycji analizuje sprawy wiejskie i udziela rad chłopom podsuwając im nieraz bardzo rozsądne rozwiązania codziennych problemów życiowych. Tę rubrykę uzupełniają starannie opracowane pogadanki czwartkowe pt. *Droga przez wieś* (15 min.). Do kategorii potrzebnych i starannie opracowanych pogadek zaliczam audycje wtorkowe i piątkowe dla robotników (*Nie rozdzieli nas żadna kurtyna*, po 15 min.), audycje kobiece (czwartek, *Pogadanka Pani Jadwigi*, 15 min.) i *Przeglądy wojskowe* (wtorek i czwartek po 10 min.). W środy poświęca się 10 minut na publicystykę gospodarczą. Różnym, może zbyt licznym przeglądom poświęcone są następujące rubryki: *Prasa polska w Ameryce* (poniedziałek, 15 min.), *Na bakier ze zdrowym rozsądkiem* (prasa sowiecka, czwartek, 15 min.), *Polska prasa na Zachodzie* (piątek i niedziela po 15 min.), *Sprawy polskie i środkowo-europejskie w prasie zachodniej* (piątek, 15 min.). Nadawana w soboty, 20-minutowa audycja *Mikrofonem dokoła Europy* stanowi najwartościowszą pozycję informacyjno-publicystyczną G.W.P. Daje ona tygodniowo, rozumowany przegląd wydarzeń z czterech stolic europejskich. Ta audycja szczególnie nadaje się do słuchania przez emigrantów.

Na obszerniejsze omówienie zasługują poniedziałkowe i środowe audycje dla młodzieży pt. *Tygodnik „Orleńta”* i *Rzeczpospolita Młodych*. Choć forma słuchowiskowa tych rubryk nie zawsze jest udana, obie te pozycje uważam za bardzo pożyteczne. *Orleńta* zajmują się przeważnie krytyką i polemiką, i tu czasem przesadzają. Tak np. cieszenie się, że wybitny film polski *Młodość Chopina* został źle przyjęty przez pewien odłam prasy francuskiej jest posunięciem nierozsądnym i niemal graniczy ze stanowiskiem pewnych kół emigracyjnych, że od roku 1945 w Polsce stale deszcz pada. Znacznie lepiej byłoby podkreślić, że film ten (którego autor audycji zapewne nie oglądał) jest lepszy od powojennych filmów sowieckich. *Rzeczpospolita Młodych* redagowana jest z dużym zrozumieniem pozytywowo. Pokazuje młodzieży polskiej w Kraju Zachód, budzi pożądane tęsknoty i wpaja poczucie naszej wyższości kulturalnej nad Rosją. Dobrze byłoby, gdyby redaktor rubryk młodzieżowych był niekiedy odciążony od pracy czysto taśmowej i mógł spokojnie popracować nad bardziej artystycznymi formami wypowiedzi w swoim dziale. Skądinąd wiadomo, że możliwości jego są bardzo duże i nie powinny być rozmiękane na drobne.

Kto z emigrantów pragnie wiedzieć, co myślą w Kraju, powinien stale słuchać *Skrzynek radiowych* (wtorek i piątek, g. 12,35, 17,35 i 21,35 — po 15 min.). Rozgłosnia G.W.P. otrzymuje stosunkowo dużo listów z Polski i omawia je inteligentnie i uczciwie. W tej rubryce zabiera głos kierownik rozgłośni uspakajając niecierpliwie żądania naszych gorących rodaków w Kraju lub udzielając im rzeczowych informacji o skromnych możliwościach Polaków na Zachodzie.

Emigranci mogliby również słuchać wyższej klasy publicystyki politycznej, uprawianej w niedzielnych dyskusjach *Okrągłego stołu*, w których omawiane są zbiorowo różne tematy ogólniejsze i długofalowe — jak internacjonalizm i kosmopolityzm, liberalizm, spółdzielczość lub socjalizm a religia (najmniej z ostatnich udana). Najlepszą ze słyszanych przez mnie była dyskusja o ustrojach społecznych i gospodarczych (dnia 2.8.). Omawia się w tych dyskusjach także ważniejsze sprawy aktualne — jak zniknięcie Gomułki, sprawę Berii itp. — przy czym te bieżące spekulacje i rozważania wypadają znacznie słabiej. Zupełnie słabiotkie były np. domysły o przyszłej roli emigracji w chwili odzyskania niepodległości, wałkowane w licznym gronie „domowym” G.W.P. w dniu 16 sierpnia br. W rubryce *Okrągłego Stołu* stosunkowo często dochodzą do głosu pozytywy Zachodu. Warto zauważyć, że przy tym stole najlepiej reprezentowani są socjaliści (których głosy są zwykle dobrze przemysłane, ciekawe i silnie argumentowane), beznadziejnie zaś przedstawiciele narodowej demokracji. Przy *Okrągłym Stole* siadają m.in. J. Bielowicz, A. Ciołkosz, M. Górecki, pan Gadomski, G. Herling-Grudziński, M. Heitzman, A. Korczyński, M. Lasota, E. Lipowiecka, M. Piotrowski, J. Rawicz, B. Skrobecki, J. Śniady, L. Szymański, W. Trościanko, W. Weintraub, K. Zaremba i Z. Zdziennicki.

Samo wyliczenie powyższych rubryk publicystycznych wprawi z pewnością w zdumienie czytelnika, nie obznajmionego z radiofonią antykomunistyczną typu amerykańskiego. Aż tyle! — ciśnie się uwaga. Hola, hola, moi mili państwo — to dopiero początek. Właściwy trzon publicystyki politycznej stanowią codzienne *Komentarze dnia*, *Komentarze międzynarodowe* i komentarze *Na szerokim świecie* plus niedzielne *Echo tygodnia*, plus rubryka środowa *Z okna Kapitolu* — rzecz jasna nie rzymskiego, tylko waszyngtońskiego. Razem 260 minut tygodniowo, wyraźnie dwieście sześćdziesiąt minut!

Bardzo trudno mi pisać o bieżącej publicystyce politycznej, bo w mej ponad dwudziestoletniej karierze dziennikarskiej napisałem w sumie nie więcej jak tuzin artykułów politycznych, w tym najwyżej dwa artykuły wstępne (te ostatnie nie dobrowolnie). Mam zabobonny wprost podziw dla autorów tego typu artykułów i komentarzy — i może dlatego z reguły ich nie czytam. Co więcej liczne ankiety wśród znajomych i niezajomych przekonają mnie, że codzienne komentarze polityczne czytają wyłącznie ich co próźniejsi autorzy, maniacy polityczni i politycy (ci gorsi), czyli maleńki pro mille ludności. Rozmowy z Polakami przybywającymi z Kraju całkowicie potwierdzają mój pogląd, że codzienna publicystyka polityczna jest czymś w rodzaju szachów, jakimś misterium dla wtajemniczonych, a raczej jakimś letnim prysznicem, który leje się obficie z różnych otworów. Nikomu nie przeszkadza, bo łatwo go uniknąć. Trwa — bo jest potrzebny mechanikom dostarczającym wody, bo jest częścią jakiejś niepojętej konwencji. W y p a d a, aby gazeta miała artykuł

wstępny, w y p a d a, aby radio miało codzienne komentarze polityczne. Być może konwencja ta ma jakieś realne podstawy w Ameryce, być może utwierdzają ją jakieś amerykańskie statystyki, ale z pewnością nie odnoszą się one do Europy, a w szczególności do udręczonej, przesyconej czerwoną publicystyką Polski. Warto zresztą zauważyć, że w dziennikarstwie i radiofonii brytyjskiej i francuskiej codzienne komentarze polityczne zupełnie skasowano lub zredukowano do szczytkowych rozmiarów.

Cały mój wywód antykomentarzowy nie oznacza bynajmniej, bym nie cenił rozsądnej i odpowiedzialnej publicystyki politycznej. Ale komentarz bieżący, aby był dobry, musi posiadać perspektywę — nie może być pisany (i słuchany) częściej, niż raz na tydzień lub w rzadkich, wyjątkowych przypadkach wielkich wydarzeń. Wyłożenie tych poglądów, które niejednemu mogą się nie podobać, choć potwierdza je obserwacja i doświadczenie, zwalnia mnie od szczegółowej oceny codziennego *Komentarza dnia*, *Komentarza międzynarodowego* i *Na szerokim świecie*. Pierwszy wydaje mi się najlepszy, a dwa pozostałe nie są na pewno gorsze od przeciętnej produkcji tego typu wytworów, będących — jak mi się wydaje — wynikiem lektury niektórych dzienników nowojorskich i artykułów, doskonałego zresztą, tygodnika *Time* (*Na szerokim świecie*). Nie chodzi tu zresztą o poziom: w moim przekonaniu komentarze te są zupełnie niepotrzebne i z powodzeniem mogłyby być zastąpione półgodzinnymi, czy choćby dłuższym, tygodniowym omówieniem najważniejszych wydarzeń, ale omówieniem naprawdę oryginalnym, najwyższej klasy. Jeśli jednak konwencja musi być zachowana, to zostawiłbym ostatecznie obecny *Komentarz dnia*, bo jest redagowany na miejscu i operuje dobrze znanym redakcyjnym materiałem dzienników radiowych.

W stanie obecnym te liczne komentarze codzienne nie tylko blokują czas, który można by przeznaczyć na wartościowe audycje, ale niekiedy wprowadzają zamieszanie. Tak np. w pierwszych dniach czerwcowej rewolty berlińskiej ze zdumieniem wysłuchałem komentatora nowojorskiego, podającego liczbę ofiar niemieckich na 10.000 osób, a w pięć minut potem speaker dziennika, posiadający chyba świeższe i bliższe informacje, liczbę tych samych ofiar podał na 5.000.

A ponadto apeluję również do litości dla słuchacza. W obecnym stanie rzeczy niemała część wiadomości podawana jest i komentowana (często tego samego dnia!) aż cztery razy. Speaker wygłasza ją w *Dzienniku radiowym*, autor *Komentarza dnia* magluje ją po swojemu, liczny poczet nowojorskich komentatorów „międzynarodowych” ogląda ją na swój sposób i wreszcie cziogodny „augur” z „szerokiego świata” dodaje swoje trzy centy. Po raz piąty ważniejsze wiadomości trafiają potem do olimpijskiego (nowojorskiego) *Echa tygodnia*. Czy nie za wiele tych dobrodziejstw? Czy nie za często musi biedny słuchacz kręcić gałką swego odbiornika, by uwolnić się od tego natrętnego brzęczenia?

Specyficzną rozrywką dla przytomnego emigranta (ale, niestety, na pewno nie dla Kraju) jest monachijski Hyde Park, czyli rubryka *Przywódcy emigracji mówią do Kraju* (sobota, 10 min.). Jest to coś w rodzaju dźwiękowego gabinetu osobliwości. Tak np. 14 czerwca, słuchając (w ramach tej rubryki) mowy wiecovej jednego z najgrubszych prezesów, doznałem nagłego zrudzenia zapadnięcia się w czas zamierzchły, gdy ów prezes był tłusciutkim, bardzo grzecznym młodzianem, a ja sam krnąbrnym pętakiem. Mowa zaczęła się od słów „Traktat Wersalski” i z wielkim powodzeniem mogła być wygłoszona w roku 1919-tym przez któregośkolwiek z członków już znanej wówczas partii, której usiłuje przewodniczyć wspomniany prezes. Skasowanie tej rubryki byłoby oczywiście wielkim dobrodziejstwem, ale — jak już wspomniałem — nie ma żadnych szans na takie racjonalne rozwiązanie. Życie jest bardzo dziwne, irracjonalne i nie ma na to rady...

6

Audycji rozrywkowych jest w programie G.W.P. stanowczo za mało: *Rewia Hemara* (piątki, 15 min.), kabaret satyryczny *Radiopraknia* (soboty, 15 min.) i *Podwieczorek przy mikrofonie* (niedziela, 30 min.). Kto rozmawia z Polakami przybywającymi z Kraju, kto wczytuje się w koszmarną prasę krajową i w listy, nadchodzące od rodzin, ten może z pewnym przybliżeniem wczuć się w obezwładniającą człowieka atmosferę więzienia, jaka panuje w Polsce. Uśmiech na twarzy wyciśniętego katowskimi normami robotnika Nowej Huty, warszawskiego murarza, czy górnika na Śląsku, albo zagłodzonego inteligenta — to kapitał polityczny, to niemałe zwycięstwo w wojnie psychologicznej. Czym więcej tych uśmiechów — tym większa zasługa Polaków w Monachium. Każdy dobry dowcip *Radioprakni*, *Hemara*, czy autora tekstów podwieczorkowych jest w moich oczach wart tysiąca słów komentatorów politycznych, lejących swą letnią wodę z Nowego Jorku czy Monachium.

I jeszcze jedno. Wiadomo, że w Kraju nie można nawet przyzwyciężyć wymyślać. Nie można sobie ulżyć soczystym przekleństwem, trzeba dobrze zamykać drzwi, zanim powtórzy się zasłyszany na warszawskiej ulicy kawał. Nasi komici i humorysty w Monachium muszą wymyślać za siebie i za Kraj. I bawić! Nie należy się bać także bezpartyjnego, byle dobrego humoru. Nie wahałbym się nawet pokpiwać czasem z Zachodu — poczucie humoru w stosunku do samego siebie to najwyższa miara inteligencji i najpewniejszy probierz zdrowia psychicznego. Ludzie w Kraju potrafią to ocenić — zwłaszcza Warszawa zna dobrze ten rodzaj wisielczego, zda się cynicznego, a naprawdę podszytego łąką (nie za dużo, broń Boże, ale ciut, ciut) dowcipu i humoru. Z początku irytowały mnie nie zawsze dowcipne, nie zawsze wybredne i często ze wszystkich stron ściągane dowcipy monachijskie. Ale gdy pojąłem prawdę, „wymyślania

per procura" — tę rozkosz wysłuchania, że ktoś — geograficznie niezbyt daleki — nic sobie nie robi z posepnych Bierutów, Sokorskich, Rokossowskich i innych kacyków komunistycznego świata — zapragnąłem wołać do panów Mydełków, Kajtusiów i ilu ich tam jeszcze : więcej ! więcej ! I mocniej !

Wśród rubryk rozrywkowych prym wiedzie — rzecz oczywista — *Kabaret Hemara*, który zna nieuchwytną receptę na najlepsze koktajle, gdzie gniew, ironia, kpina i szyderstwo wierszy satyrycznych mieszają się z sentymentalną lub rodzajową piosenką w najlepszym wykonaniu. Gdyby autor nie pożalował trudu i dał jeszcze od czasu do czasu celny i dowcipny skecz radiowy — programy Hemara osiągnęłyby chyba szczyt doskonałości. Słabiej przedstawiają się *Podwieczorki przy mikrofonie*, choć ostatnio widać wyraźnie stałą poprawę i ciągłe dążenie do urozmaicenia programu (np. dobry monolog Faliszewskiego 26.7, piosenki Z. Krukowskiego itp.) Konferansjer tych imprez powinien pomyśleć o pewnym urozmaiceniu swych, zbyt szablonowych zapowiedzi („Witam państwa bardzo serdecznie”). Najślabszą jest *Radiopralnia*, ale i ona z pewnością spełnia swoje zadanie i pewnie otrzymuje listy z podziękowaniami od tych, których w wymyślaniu zastępuje.

W sumie działalność wszystkich trzech imprez rozrywkowo-satyrycznych oceniam zdecydowanie dodatnio. Wydaje mi się, że kierownictwo G.W.P. powinno za wszelką cenę zdobywać teksty humorystyczne, ściągać komików i dążyć do rozbudowy tego działu. Np. zaproszenie do współpracy Fryderyka Jarosiego byłoby bardzo wskazane.

7

Nie mogę w sposób odpowiedzialny wypowiedzieć się w sprawie audycji muzycznych, gdyż na muzyce się nie znam. Zaznaczę jednak, że dobór utworów muzycznych wydaje się na ogół trafny, a duże zróżniczkowanie i zmienność rubryk w tym dziale (*Koncerty życzeń, Zakazane piosenki, Kalejdoskop muzyczny* itp.) robi wrażenie staranności w przygotowaniu. Wtorkowy, 35-minutowy koncert pt. *Muzyka obala granice* jest poprzedzany pogadankami kierownika muzycznego rozgłośni, który ponadto — już poza swoją właściwą dziedziną — występuje w jednej z najlepszych rubryk działu kultury. Zauważyłem, że w słuchowiskach *Teatru Wyobraźni* zdarzają się bardzo udatne, niekiedy niezmiernie dowcipne przesłony i efekty muzyczne, związane nastrojem z atmosferą utworu. I to zapewne jest zasługą kierownika muzycznego G.W.P.

8

Dział oświatowy i rozmaitości składa się z codziennych 5-minutowych, dobrze redagowanych *Kartek z kalendarza* (zręcznie dobrane rocznice historyczne), z inteligentnych i na pewno

w Kraju cenionych pogadańek lekarskich (*Nasz doktor*, wtorek, 10 min. — za mało), z nieco zbyt patetycznych pogadańek historycznych Zygmunta Nowakowskiego, świetnie przez niego samego czytanych (niedziela, 15 min., *Pogadanki pod dębem* — audycja doskonała dla emigrantów), z plotkarskich, bardzo żywych *Sylwetek tygodnia* (środa, 10 min.), tzw. *Naszego podręcznika historii* (czwartki, 15 min.) i wreszcie z bardzo słabych „michałów” pt. *Nauka i wynalazki* (niedziela, 10 min.).

Nasz podręcznik historii byłby zapewne doskonałą odtrutką na kłamstwa, których uczą w Kraju, gdyby nie fatalna reżyseria tych pseudosłuchowisk, którym nadano formę rozmów syna z ojcem-profesorem historii. Nic bym nie miał przeciw synalkowi i ojcu, gdyby potrafili mówić w sposób naturalny i gdyby synek miał głosik trochę cieńszy i nie robił wrażenia „starego byka”. Niestety w ich rozmówkach zbyt wyraźnie czuje się papier. Czy nie lepiej nadać im jakąś inną formę polemiczną i odebrać ojczulkowi-historykowi choćby część jego śmiertelnej powagi? A może przydzielić mu córkę i wtrącić od czasu do czasu jakiś dowcip? Zawsze należy pamiętać, że to komuniści są ludźmi chemicznie wypranymi z poczucia humoru, a nasz — zachodni sposób życia nie znosi nadętości. Mniej kazań, więcej dowcipów i kpiny, a głupie kłamstwa historyków komunistycznych fruwać będą na wietrze jak pierze ze źle zeszytego jaśka.

Dla scharakteryzowania zawitych dróg myślowych redaktora rubryczki *Nauka i wynalazki* wystarczy powiedzieć, że wybiera on tak „fascynujące” naszych wynędzniałych rodaków w Kraju tematy jak chłodzenie mieszkań w klimacie tropikalnym (21.6) lub maszyny do przyspieszania głosu (14.6). Czyżby ten amator osobliwości nie słyszał o istnieniu bezdennej kopalni „michałków” naukowych w postaci znakomitego amerykańskiego wydawnictwa *Science Digest*? Nie gorszym źródłem jest francuskie *Science et avenir*. A może nie czyta po angielsku? To podejrzanie nasuwa fakt, że w dniu 9 sierpnia br. streścił w swej rubryce świeżo wydrukowany w numerze amerykańskim *Kultury* artykuł Waldemara Kaempfferta pt. *Energia atomowa w czasach pokojowych*. Była to zresztą (obok produkcji z dn. 16 sierpnia br.) jedna z lepszych pogadańek.

Dla ścisłości wypada dodać, że od czasu do czasu pojawia się jeszcze w programach półrozrywkowa i „półmichałowa” rubryka pt. *Anegdota i bajki* (10 min.).

9

Dział religijny jest w programach G.W.P. jedynym, ustawionym pod względem czasu w taki mniej więcej sposób jak w radiofonii brytyjskiej (3,4 % to jest około 60 minut tygodniowo biorąc pod uwagę, że niektóre audycje religijne powtarzane są tylko dwa razy, do czego dochodzi godzinna msza niedzielna). O ile wtorkowe i czwartkowe pogadanki kapelana rozgłośni oraz

wiadomości religijne (niedziela) nie tylko nie dają powodu do zastrzeżeń, ale budzą szacunek dla inteligencji, pracowitości i żarliwości ich autora i redaktora, o tyle pięciominutowe codzienne modły elektryczne (rózaniec) wydają mi się zgoła nieosowne. Nie wiem, czy jest to wyraz zbyt dewocyjnego nastawienia kapelana, czy też po prostu wotowanie taśmy dźwiękowej. W każdym razie nie sądzę, aby słuchanie aktorskich, zawsze tych samych (taśma!) „szepców brzęmiących” (termin dobrze znany aktorom), odmawiających scenicznie Zdrowaśki, mogło kogokolwiek nastroić do modlitwy. Słuchacze z Kraju upewnili mnie w przeświadczeniu, że jest to marnotrawstwo cennego czasu, gdyż w Polsce na szczęście można jeszcze chodzić do kościoła, a już na pewno nikt nie zabroni modlić się w domu. Czy nie lepiej byłoby skomasować te pięciominutowki i poświęcić je na jeszcze jedną pogadankę zaproszonego z zewnątrz katolika świeckiego? Nie wiem, czy np. zwrócono się choćby raz do świętnego publicysty katolickiego Jana Tokarskiego o nadesłanie jakiejś pracy? Jeśli tak (mogło się to zdarzyć w czasie, gdy radia nie słuchałem) — to przepraszam. Jeśli nie — ubolewam.

W ogólności pozwalam sobie mniemać, że dział religijny powinien uwzględniać w najszerszej mierze współpracę pisarzy i działaczy religijnych spoza personelu rozgłośni, zwłaszcza świeckich. Szłoby to jak najbardziej po linii papieskich wezwań do apostołstwa laików i umożliwiłoby zbyt mało intelektualnym katolikom polskim w Kraju zapoznanie się z szerokim wachlarzem zachodniej zwłaszcza francuskiej myśli i literatury katolickiej. Na ambitnie i nowocześnie zakreślony referat religijny jeden człowiek stanowczo nie wystarczy, choćby był nim kapłan tak gorliwy i inteligentny jak obecny kapelan G.W.P. Sprawa ta staje się teraz paląca, skoro świetny organ katolików świeckich w Kraju „Tygodnik Powszechny” został prawie zupełnie odcięty od myśli zachodniej, zmuszony do daleko idących koncesji na rzecz reżimu i pozbawiony swych prawowitych wydawców i redaktorów (o czym zresztą G.W.P. powiadomił swych słuchaczy w b. dobrej audycji specjalnej z dn. 9.8).

10

Na moim diagramie programu ramowego G.W.P. kolor niebieski stanowi nieliczne wyspy, tonące w innych barwach, szczególnie w czerwieni (publicystyka). Nie trudno się domyśleć, że kolorem niebieskim oznaczam audycje kulturowo-artystyczne, stanowiące zaledwie 9,7 % ogólnego czasu nadawania. Rzecz charakterystyczna, że niedziela — najlepszy dzień dla słuchania radia — nie ma a n i j e d n e j rubryki kulturowej.

Na plamy niebieskie mojego diagramu składają się następujące rubryki: *Na czerwonym indeksie* (po 10 min. od poniedziałku do piątku), *Kultura w niewoli* (czwartek, 10 min. — wyraźnie dziesięć minut na całą krytykę literatury i sztuki komu-

nistycznej w Kraju !!!), *Książka tygodnia* (środa, 10 min.), *Okno na Zachód* (piątek, 10 min.), *Kwadrans poetycki* (sobota, 20 min.), *Głos wolnych pisarzy* (środa, 30 min.) i wreszcie *Walczący Teatr Wyobraźni* (sobota, 40 min.). Przyjrzyjmy się im bliżej.

Jak dotychczas audycje *Na czerwonym indeksie* tylko z trudem można zaliczyć do literackich. W rubryce tej, przeznaczonej na głośne czytanie literatury, podawano w ciągu ostatnich miesięcy prawie wyłącznie fragmenty lub całe książki antysowietkie i to literacko bardzo słabe lub bezwartościowe: Z. Bohusza-Szyski „Republikę Atomową”, powieść nieznanego na rynku literackim Marcellego Karczewskiego pt. „Skradziony wynalazek” i literacko prymitywny pamiętnik Henryka Zaborzkiego „W sowieckiej otchłani”, w którym autor opisuje jak to „w Rosji jest bardzo niedobrze”, o czym nasi rodacy w Kraju wiedzą z pewnością lepiej od nas. Wartościowszą pozycją w tym dziale było ciekawe myślowo „Wyzwolenie duszy” M. Koriakowa, który uciekł z Rosji i w Polsce przeżył odrodzenie religijne.

Utworki te są podawane w sposób estradowy — po prostu bardzo dobrze czytane przez aktorów. Być może szczupłość personelu nie pozwala kierownictwu na kontynuowanie dobrej tradycji powieści radiowej, jakiej słuchaliśmy z Radia Polskiego przed wojną.

Stały referent rubryki *Kultura w niewoli*, która w ramach swych sześciuset sekund tygodniowo ma pokonać całą zarazę literatury i sztuki socrealistycznej, posiada niemały talent krytyczny i potrafi dawać wartościowe, a czasem nawet wybitne pogadanki (np. z dn. 18.6 o „produkcjach”, a zwłaszcza z dnia 30.7 o „Zegarze słonecznym” Jana Parandowskiego). Poziom jednak tych felietonów jest bardzo nierówny (np. ogólnikowe i nudne omówienie sowieckiej sztuki plastycznej w dn. 23.7, albo rozbity, pośpiesznie sklecony artykuł o artykule Wandy Leopold o tematach sowieckich w literaturze socrealistycznej, nadany w dniu 13.8 lub nie wiele lepszy z dnia 6.8 — rzekomo o nagrodach państwowych w roku 1953, a naprawdę tylko o Nałkowskiej i Ważyku). Pracę tego referenta cechuje zbyt wielka pewność siebie, apodyktyczność i lekceważenie osiągnięć innych badaczy literatury, teatru, czy sztuki komunistycznej. Pogadanki jego zbyt często są utrzymane w tonie orzekającym (by nie rzec „objawiającym”), a niekiedy wpadają w niebezpieczną łatwiznę, obliczoną jak gdyby na głupotę słuchacza. Tak np. odsądzanie od wszelkiego talentu Jerzego Putramenta przy okazji omawiania jego brudnej etycznie i niebezpiecznej, ale bynajmniej nie grafomańskiej powieści „Wrzesień” (21.5) musi się spotkać ze sprzeciwem każdego bezstronnego badacza, a także rozsądnego propagandysty. Tak prymitywnymi metodami niewiele się osiągnie: nawet dziecko w Polsce rozumie, że przynależność do partii komunistycznej sama przez się nie wyklucza posiadania talentu — potężnego jak u Igora Newerly-Abramowa, lub choćby tak nierównego i skromnego, jakim rozporządza

Putrament. Inny rodzaj zaciekleści wykazał referent kulturalny przy omawianiu książki Czesława Miłosza pt. „Zniewolony Umysł”. Osoba autora tej książki może się podobać lub nie podobać — ośobiście nie czuję do Miłosza szczególnej sympatii — ale faktem jest, że otrzymał on jedną z najważniejszych nagród europejskich i wniósł wiele nowych myśli do głębszej literatury antykomunistycznej. Z tych względów omawianie jego dzieła z punktu widzenia ciasnych partykularyzmów emigracyjnych nie wydaje się słuszne.

Konkretyzując ostatni zarzut — nie liczenia się z osiągnięciami innych badaczy — muszę stwierdzić, że referent w niektórych pogawędkach zdaje się np. zdradzać nieznamość gruntownie udokumentowanych prac o sowietyzacji literatury, teatru i sztuki, opublikowanych w Zeszytach Krajowych *Kultury*. Szczególnie jaskrawo uwydatniło się to przy krytyce przeciętnej sztuki Morstina pt. „Polacy nie gęsi”, gdy referent, zamiast zapoznać się z wynikami dotychczasowych badań, wołał wysuwać własne, niczym nie poparte i błędne hipotezy.

Aby nie być źle zrozumianym, muszę zaznaczyć, że cenię wysoko talent referenta kulturalnego i rozumiem w jak trudnym jest położeniu dysponując na swe pogadanki zaledwie 10-minutami tygodniowo, które w dodatku bywają czasem (jak np. 25.6 i 16.7) wyrzucane z programu na rzecz doraźnego reportażu lub publicystyki politycznej. Tym niemniej autor felietonów pt. *Kultura w niewoli*, będąc sam bardzo surowym krytykiem, musi być równie surowo krytykowany i oceniany według wysokich wymagań, zwłaszcza, że jest człowiekiem młodym i może się rozwijać.

Rubryka *Książka tygodnia*, która również bywa niekiedy nagle zastępowana jakimiś „szpuntami” (np. 24.6 nadano zamiast niej przemówienie Papagosa po grecku!) jest z mego punktu widzenia jedną z najwartościowszych audycji tygodniowych G.W.P. W sposób inteligentny omawiano w jej ramach m.in. książki Toynbee’ego, Simone Weil, Kazantakisa, Sandburga lub Koriakowa. Szkoda, że czasem nawet tu wdziera się tania negacja antysowiecka (np. audycje z dn. 10.6). Czy nie można by chociaż tych jednych dziesięciu minut utrzymać w duchu całkowitej afirmacji osiągnięć, myśli i poszukiwań zachodnich?

W ramach równie sympatycznej dla mnie rubryki *Okno na Zachód* słuchałem przeważnie inteligentnych pogadań kierownika muzycznego rozgłośni, który wykazuje duże zrozumienie pozytywów przy rzadkiej zdolności właściwego doboru tematów i umiejętności ich podania. Z przyjemnością — by dać choćby dwa przykłady — słuchałem 5.6 jego, może nie w stu procentach fachowej, ale bardzo ciekawej pogadanki o festiwalu filmowym w Cannes i dn. 14.8 o filmach francuskich i włoskich. Były to *nota bene* na przestrzeni ponad czterech miesięcy jedyne wypowiedzi G.W.P. o filmie zachodnim, tak haniebnie atakowanym w Polsce. Wdzięczny jestem referentowi tej rubryki za

felieton o André Malraux (7.8). Ale nawet do tej rubryki — co prawda nie piórem muzyka — wdarł się duch negacji. Jak gdyby *Na czerwonym indeksie* było jeszcze za mało cierpiętniczkiej turystyki po lagrach i więzieniach sowieckich — Piotr Ważyński w dniu 29.7 utworzył to zachodnie okienko dla p. Juliusza Margolina i jego książki pod tytułem „Podróż do Kraju Więźniów”. W tym samym okieneczku p. Jan Bielatowicz w dniu 31 lipca br. załatwiał swe partyjne i osobiste porachunki pomijając w wyliczeniu książek polskich, wydanych na emigracji w roku 1953, niesympatycznych dla siebie autorów i wydawnictwa.

Kwadrans poetycki (który na szczęście trwa w soboty 20 minut) jest jedną z bardziej udanych imprez G.W.P. Sposób radiowego podania utworów poetyckich (nie zawsze zresztą dobrze recytowanych) jest staranny, oprawa muzyczna dobra, a wybór wysłuchanych przez mnie utworów nie budzi zasadniczych wątpliwości (między innymi Baliński, Czuchnowski, Legeżyński, Przyłuski, poeci małych form, wiersze o Chopinie, poeci Powstania Warszawskiego, także klasycy). Wydaje się, że redakcja *Kwadransów* już prawie wyczerpała poetów emigracyjnych (choć nie słyszałem jeszcze świetnego Łobodowskiego ani Pietrkiewicza — może byli wcześniej). Czy nie dobrze byłoby sięgnąć do tępionych, albo przynajmniej dyskretnie chowanych w Kraju młodych poetów katolickich, żywych, czy umarłych — jak tragicznie poległy w powstaniu warszawskim Krzysztof Baczynski? Dla dobrze szukających utwory ich są dostępne na emigracji i można by z nich wykreślić niejedną *Kwadrans*, zdając sobie jednak sprawę z trudności dawania wierszy żyjących i mieszkających w Kraju autorów. Tę sprawę trzeba dobrze prze-myśleć.

Głos wolnych pisarzy — to nadawane z Nowego Jorku i zbyt rzadko z Londynu (który jest przecież miejscem zamieszkania lub stolicą bodaj 80 % literatów emigracyjnych) 30-to i 40-to minutowe dyskusje na wysokim poziomie (w założeniu, choć nie zawsze w wykonaniu), prowadzone pomiędzy czterema na raz uczestnikami. Poziom reżyserski dyskusji nowojorskich, którym przewodniczy zazwyczaj Jan Lechoń lub H. Walicki, jest znacznie niższy od londyńskich, prowadzonych przez Tymona Terleckiego. Pisarze nowojorscy nie mają tak szerokiego wachlarza nazwisk dyskutantów, a w dodatku jeden z nich przy całej swej imponującej erudycji i wiedzy literackiej ma antytalent do ustnych wypowiedzi (w czasie jednej z dyskusji naliczyłem około stu natrętnych „prawda?”, wciskających się jak uprzykrzone muchy między zdania i wyrazy każdej wypowiedzi tego znakomitego pisarza). Jąkanie się drugiego brzmiałoby doskonale w *Trzecim programie BBC*, gdzie należy to do dobrego tonu, ale kępuje słuchacza polskiego. Myślę, że praca nad sobą pod fachowym kierownictwem mogłaby usunąć te wady, a lepsza reżyseria tych — jak się wydaje — improwizowanych dyskusji wyszłaby im stanowczo na dobre. O ile się mogłem zorientować z osobistego udziału w jednej z dyskusji z dr Terleckim, zreczna

reżyseria bynajmniej nie psuje spontaniczności i naturalności tego rodzaju imprez.

Jeśli chodzi o program *Głosu wolnych pisarzy*, to niestety nie sądzę, aby był on planowany i wykonywany według jakiejś uchwytniej zasady. Wyliczenie kilkunastu kolejnych tematów da pojęcie o tych obawach. Nowy Jork, 8.4 — bardzo słaba w formie, wspominarsko-akademijna dyskusja o Władysławie Konopczyńskim; Londyn, 22.4 — omówienie książki Zofii Kossak „Błogosławiona wina”; 13.5, Nowy Jork — wspominki o Kadencie Bandrowskim, 20.5, Nowy Jork — znakomita, niezmiernie ciekawa i rzeczowa rozmowa z Mikołajem Koriakowem o literaturze sowieckiej (nb. ujęcie wolne od wad, jakie zarzucał referentowi *Kultury w niewoli*); 27.5, Londyn — dyg kurtuazyjno-wspominkarski Terleckiego pod adresem Lechonia; 3.6, Nowy Jork — o „Obronie Ksantypy” L. H. Morstina z udziałem M. Modzelewskiej; 10.6, Nowy Jork — o filmie „Młodość Chopina”, miejscami ciekawa, a miejscami wysoce niefachowa lub wręcz bałamutna dyskusja o jednym z najciekawszych powojennych filmów polskich, w której p. Konrad Tom wykazał zupełną nieznamość zmian, jakie nastąpiły w kinematografii w Polsce po jego wyjeździe z Kraju; 17.6, Nowy Jork — znakomita dyskusja informacyjno-publicystyczna o współczesnym teatrze amerykańskim (Lechoń, Walicki, W. Solski i T. Wittlin); 24.6, Londyn — niezbyt udana wymiana zdań o powieści Herminii Naglerowej pt. „Sprawa Józefa Mosta”; 1.7, Nowy Jork — o literaturze dla dzieci i młodzieży; 8.7, Nowy Jork — bardzo ciekawa, obiektywna dyskusja o książce Miłosza „Zniewolony Umysł”; 29.7, Nowy Jork — interesująca rozmowa Lechonia, Wierzyńskiego i Olechowskiego z prof. W. Lednickim na temat jego książki „Polska, Rosja i Zachód”; 5.8, Nowy Jork — ciekawa rozmowa o literaturze Murzynów, w czasie której Józef Wittlin *magna pars fuit* (brak było w tej dyskusji choćby paru głosów o czarniejszej stronie problemu); 12.8, Nowy Jork — audycja poświęcona Kornelowi Makuszyńskiemu. (Brak mi dokumentacji z dat 15 i 22.7). W dyskusjach tych oprócz wymienionych wzięli udział następujący pisarze: J. Bielatowicz, M. Giergielewicz, M. Grydzewski, J. Jasieńczyk, L. Krzyżanowski, E. Lipowiecka, T. Lisiewicz, J. Przybysz, M. Sambor, T. Sułkowski, W. Weintraub, A. Wilon.

Z wyliczonych powyżej 14-tu audycji trudno się zorientować, jaki cel stawiają sobie ich organizatorzy. Zaledwie dwie z nich (o teatrze amerykańskim i o literaturze Murzynów) informują o życiu kulturalnym Zachodu, pięć jest z założenia negatywnych, poświęconych krytyce zjawisk związanych z Rosją, pięć innych w taki lub inny sposób afirmuje zjawiska i pisarzy dwudziestolecia międzywojennego, jedna (z prof. Lednickim) wyraża twórczą postawę badawczą w stosunku do Rosji i wreszcie jedna omawia jeden ze słabszych utworów pani Kossak. Takie (oczywiście niepełne i przypadkowe) zestawienie tematów i tendencji upo-

ważnia co najmniej do podejrzenia, że pisarze, pracujący dla G.W.P., zarazili się dominującym tam duchem negacji. Nie pokazują wartości literackich, czy artystycznych Zachodu, lecz krytykują i wspominają „dawne, dobre czasy”. Nie karmią ducha, lecz agitują. Jaki obraz świata wartości kulturalnych Zachodu i emigracji stanie przed słuchaczem krajowym, jeśli przagnąłby go sobie stworzyć na zasadzie głosów pisarzy? A od kogo, na miłość boską, jeśli nie od nich, powinien się dowiedzieć o wielkich książkach Grahama Greene’a (np. o „Power and Glory” — powieści niedostępnej w Kraju), Mauriaca, Steinbecka, Mertona, J. Giona, B. Russella, Toynebee’ego, Simone Weil, Maritaina, o Hemingway’u, czy o zachodnich plastykach i ich dziełach? Kto powie mu o najciekawszej powieści emigracji — „Trans-Atlantyku” Gombrowicza, albo o emigracyjnej twórczości Łobodowskiego, Straszewicza, Bobkowskiego, Czuchnowskiego, Kuncewiczowej, czy Józefa Mackiewicza. Kto zapozna go z nowoczesnymi prądami w psychologii amerykańskiej, z działalnością francuskich księży-robotników, albo z przemyśleniami chrześcijańskich egzystencjalistów (Jaspers, G. Marcel i in.), albo wreszcie z poezją Eliota, którego w Kraju komuniści nazywają „hieną imperializmu”? (Umyslnie mieszam tu nazwiska i światopoglądy, aby przypomnieć jak wielki wachlarz myśli i literatury europejskiej i amerykańskiej jest do pokazania).

Wydanie jakiegoś odpowiedzialnego sądu o polityce repertuarowej *Walczącego Teatru Wyobraźni* byłoby ryzykowne i przedwczesne po wysłuchaniu zaledwie szesnastu słuchowisk, zwłaszcza gdy nie zna się instrukcji, jakie kierownictwo tego teatru otrzymuje i gdy zapoznanie się z poprzednimi produkcjami w praktyce jest niewykonalne. W każdym razie materiał przesłuchany jest dostateczny, aby zwątpić, czy *Teatr Wyobraźni* — przynajmniej w omawianym okresie — można nazwać rubryką artystyczno-teatralną.

Przed wszystkim wydaje się nie ulegać kwestii, że repertuar przedłożony jest pseudosłuchowiskami publicystycznymi. W dniach 16.5, 7.6, 11.7 i 8.8 nadano nieudolnie i tylko pozornie przez A. Bregmana dramatyzowane opowiadania o różnych wydarzeniach ostatniej wojny (jak śmierć Hitlera, lądowanie aliantów w Normandii, kapitulacja Japonii itp.). Obecność tych pseudosłuchowisk w ramach *Teatru Wyobraźni* — i to bez względu na ich wartość historyczno-dokumentalną, której nie badałem — jest zupełnym nieporozumieniem. Nie jest to żaden teatr, nie są to słuchowiska, więc po co je tak nazywać? Czy tylko dlatego, że brak tekstów naprawdę słuchowiskowych? Ich dopływu nie wzmógł konkurs literacki rozgłosni G.W.P., gdyż warunki jego bynajmniej do pisania słuchowisk nie zachęcały.

Drugą cechą repertuaru *Teatru Wyobraźni* jest zupełnie wyrażne obciążenie go numerami rocznicowymi i akademijnymi. Tak więc dnia 9.5 (a zatem nazajutrz po św. Stanisławie) nadano na cześć tego świętego słabiutkie słuchowisko p. Zofii

Kossak pt. „Kielich krwi”, dnia 4.7 — z okazji amerykańskiego święta narodowego musieliśmy wysłuchać nieudolnego pseudo-słuchowiska p. J. Boberskiego, gdzie wszystkie momenty dramatyczne były opowiadane przez narratora, a nudnawe dokumenty recytowane przez aktorów. W dniu 1.8, to jest w rocznicę Powstania Warszawskiego audycję *Teatru Wyobraźni* zupełnie usunięto, zastępując ją niezmiernie nudnym i nieudolnie skleconym apelem żołnierzy A.K., rozsianych po świecie (nb. sam pomysł dania tym żołnierzom możliwości przemówienia do Warszawy był znakomity i gdyby te wypowiedzi zerzucono w ciągu paru dni po różnych miejscach taśmy, osiągnięto by dobry efekt; połączone razem — dały wrażenie szablonu i nieznośnej monotonii). Wreszcie 15.8 nadano — z powodu 12-tej rocznicy śmierci — słuchowisko Z. Maja o Paderewskim.

Pozostałe z omawianych tu słuchowisk zdradzają, że i w *Teatrze Wyobraźni* panuje, a w każdym razie dobrze prosperuje, duch negacji. „Sabotaż amerykański”, „Zwykła sprawa” Z. Maja i „Tak trzeba strugać, żeby wystrugać” J. Kuźnickiego — to zęcnie napisane, miejscami dowcipne i zabawne komedyjki i lekkie groteski, wyśmiewające karierowiczów reżimowych i łapowników komunistycznych. Nie dały one słuchaczom żadnych głębszych przeżyć artystycznych. Nawet bardzo dobre, nagrodzone słuchowisko Olgi Żeromskiej pt. „List do siostry” (zdaje się jedyny plon słuchowiskowy konkursu) miało wydźwięk raczej negatywny, gdyż opisywało zdradziecką próbę zniszczenia oddziału A.K. przez armię czerwoną latem 1944 roku (w Sandomierskim).

Ponadto w okresie sprawozdawczym nadano dobrą, wielkoczną audycję słowno-muzyczną pt. „Śmigus”, bardzo inteligentnie skomponowane słuchowisko 3-cio majowe Tadeusza Nowakowskiego, jednoaktówkę A. Fredry „Dwie bliźny” (20.6 — dlaczego właśnie jeden z najsłabszych utworów wielkiego komediopisarza?), audycję poetycko-muzyczną pt. „Wiosna w Polsce dawniej i dziś” (23.5) i słuchowisko „Kopernik” (25.7). O dwóch ostatnich pozycjach nie mogę się wypowiedzieć, gdyż jestem współautorem pierwszej i autorem drugiej.

Oczywiście taki wygląd repertuaru *Teatru Wyobraźni* w miesiącach od kwietnia do połowy sierpnia br. może być wynikiem przypadku lub zbiegu przypadków. W każdym razie warto zanotować zupełny brak adaptacji radiowych utworów zachodnio-europejskich lub klasycznych polskich, nie drukowanych obecnie w Polsce albo fryzowanych przez komunę nowel Prusa, Tetmajera, opowiadań Conrada itp. (reżysersko adaptowany Fredro jest nie tylko wystawiany, ale honorowany przez reżim). Obawiam się, że polityka, „galówkarstwo” i negacja hamują rozpęd kierownictwa rubryki słuchowiskowej G.W.P. i utrudniają stworzenie jakiegoś konstruktywnego programu. O Zachodzie programy *Teatru Wyobraźni* nie mówią nic, albo bardzo mało i to językiem publicystycznym, a nie artystycznym.

II

Wykonawstwo aktorskie i reżyserię omówię tu oddzielnie, gdyż dotyczą one zarówno *Teatru Wyobraźni* jak i innych rubryk programowych, zwłaszcza tych, którym nadano formę dialogów. Poziom rzemiosła aktorskiego wykonawców jest dość nierówny: obok sił bardzo dobrych słyszy się rutynistów i początkujących, czy początkujące. Brak odpowiedniej gamy głosów męskich bardzo utrudnia wykonywanie niektórych słuchowisk (szczególnie jaskrawo słychać to było w słuchowisku Olgi Żeromskiej „List do siostry”, gdy starsi panowie rzucali rozkazie komendy wojskowe, jakby bawili się w żołnierzy na spacerze w Łazienkach, czy raczej w londyńskim Hyde Parku). Znakomity, jedwabny głos Józefa Lubicza doskonale nadaje się do trudnych ról osób w sile wieku i starszych, do każdej narracji i do odczytywania tekstów literackich, z których (*Na czerwonym indeksie!*) aktor ten wydobywa często więcej, niż autor zdołał tam wsadzić. Szeroką skalą i dobrą dykcją nie ustępuje mu Karol Dorwski. Znakomitym nabytkiem G.W.P. jest młody, wykształcony już na emigracji, zdolny i ambitny aktor, pracujący pod pseudonimem Karol Marek. W słuchowisku „Kopernik” nie tylko udźwignął głosowo wielowarstwową rolę tytułową, ale po prostu stworzył świetną kreację. Karol Marek w dodatku jest dobrym śpiewakiem. W sumie wnosi na taśmę ożywczy powiew młodości i dużego talentu.

Wśród pań prym wiedzie oczywiście bardzo dobra pieśniarka p. Dorwska, a w rolach charakterystycznych panie „Miętowa” i „Lipowa” (nie wiem jakich używają pseudonimów i dlatego nie wymieniam nazwisk). W słuchowiskach i pogadankach młodzieżowych z przyjemnością słucham dobrze mi znanego głosu p. Teresy N. Wielki zawód sprawia p. Janina Katelbach, której głos traci w głośniku radiowym. W jej rolach nie znaczącego postępu, czego winę ponoszą w dużej mierze reżyserzy. Dysponując jednym z nielicznych młodych głosów żeńskich, aktorka ta otrzymuje i będzie z pewnością otrzymywać od mężczyzn sporo listów z pochwałami, nie powinno to jednak wprowadzać jej w błąd i usypiać jej artystycznej czujności.

Radiopralknia i *Podwieczorki przy mikrofonie* posiadają dobrych i niezłych wykonawców, a występy gościnne barytona Zbigniewa Krukowskiego są wielką ozdobą każdego słuchowiska, w którym występuje. Wykonawstwo w „*Rewii Hemara*” jest wzorowe. On sam czyta swe wiersze słabo, ale wszyscy tak się przyzwyczaili do tej słabostki osobistego recytowania zazwyczaj świetnych tekstów własnych, że — po wielu bezskutecznych próbach w recenzjach teatralnych — nie miałbym już odwagi namawiać go do zaniechania tej praktyki.

Reżyserii p. Wacława Radulskiego często i niemało można zarzucić. Jest to artysta uparty, co to lubi „pokazać swoje ja”, choćby dla przyjemności podkreślenia swej „oryginalności”. Ale

to można by mu wybaczyć z uwagi na ciężką, pełną napięcia i pośpiechu pracę. Gorzej, że p. Radulski zdaje się nie posiadać zdolności pedagogicznych i zbyt często puszcza aktorów samopas. Nawet w dobrze na ogół wykonanym słuchowisku „Kopernik” wiele kwestii postaci tytułowej zlewało się z kwestiami innych aktorów, zwłaszcza pana Dorwskiego, co przy sprężystej reżyserii nie mogłoby się zdarzyć. O pracy innych reżyserów nic prawie nie mogę powiedzieć, a na staranność podania *Kwadrańców poetyckich* już zwracałem uwagę.

12

W rozdziale 3-cim wyliczyliśmy, że audycje pozytywne G.W.P. zajmują około 8 % całego czasu nadawania. Powróćmy jeszcze raz do tej sprawy, lecz z innego nieco punktu widzenia. Spróbujmy odpowiedzieć na pytanie ile z tych 8 % przypada na audycje, przedstawiające pozytywne wartości Zachodu. Obliczając czas nie będziemy się jednak sugerować samą nazwą lub teoretycznym przeznaczeniem danej rubryki, lecz faktyczną zawartością danej audycji. Musimy tak postąpić, gdyż — jak wykazały badania — nawet taka rubryka jak *Okno na Zachód* zawiera czasem materiał negatywny, nie mówiąc o *Głosie wolnych pisarzy*, *Teatrze Wyobraźni* i dyskusjach *Okrągłego Stołu*.

Gdy do pozytywnych, mówiących o Zachodzie elementów omówionych już rubryk kulturowych dodamy afirmujące treści, wypełniające lub przynajmniej pojawiające się w pięciu rubrykach publicystycznych (*Jedność europejska*, *Poznajmy się bliżej*, *Rzeczpospolita Młodych*, *Listy do komunisty* i *Sprawy polskie w prasie zachodniej*) oraz rubrykę rozmaitości *Sylwetka tygodnia* i reportaże *Wędrującego reportera* — wówczas okaże się, że w praktyce najwyżej 5 % ogólnego czasu nadawania rozgłośnia G.W.P. poświęca przedstawianiu pozytywnych, długofalowych osiągnięć i poszukiwań Zachodu we wszystkich dziedzinach szeroko pojętego życia kulturalnego. Przyznam się, że skóra ścierpała na mnie, gdy doszedłem do tej cyfry.

Może ktoś zdoła mi udowodnić (na zasadzie dłużej prowadzonych badań), że myślę się o 1, 2, a choćby i o 3 %, ale czy zmieni to obraz w sposób istotny? Przecież nikt przytomny nie będzie twierdził, że pozytywne Zachodu mieszczą się w codziennych komentarzach politycznych, wyciskanych z dzienników i periodyków amerykańskich. Pozostaje więc tylko muzyka, którą pomijam w tych rozważaniach, choć na dłuższą metę stanowi ona na pewno element bardziej twórczy od letnich pryszniców „wszystko wiedzących” komentatorów politycznych.

W tym miejscu poruszę jedyną sprawę z dziedziny polityki personalnej G.W.P. Czy rozgłośnia ta zaprosiła do współpracy choćby jednego polskiego literata czy intelektualistę, który wykształcenie wyższe otrzymał lub ukończył już na Zachodzie? O ile mi wiadomo — nie. A przecież ci młodzi ludzie najlepiej

potrafiliby mówić do Kraju o wartościach Zachodu. A co mówić? Wspomniałem już o tym w rozdziale 10-tym, teraz dodam inną sugestję: zradiofonizować materiał zawarty w numerze amerykańskim *Kultury* z sierpnia br. Chyba to potrafiliby zrobić nawet komentatorzy nowojorscy G.W.P. — jeden już rozpoczął na własną rękę (vide *Nauka i wynalazki*).

13

Przyjmuję, że program ramowy rozgłośni G.W.P. jest dziełem amerykańskim. Nazwy niektórych rubryk są dosłownie przełożone z amerykańskiego tekstu, który otrzymałem od redaktora *Kultury*, innym nadano bardziej strawne dla Polaków nagłówki (np. rubrykę *Our Living Culture* nazwano *Głosem wolnych pisarzy*) — pozostawiając jednek niezmienny charakter zaprojektowanych przez Amerykanów audycji i przydział czasu na każdą rubrykę.

Opisany w poprzednich rozdziałach program jest oparty na błędnej ocenie rzeczywistości polskiej w Kraju i na fałszywej recepcie propagandowej: działania prawie wyłącznie na szerokie masy — energicznego odpowiadania krzykiem na krzyk propagandy komunistycznej. „Oni głośno — wy jeszcze głośniej!” Ponadto założeniem tego programu jest przeświadczenie (Amerykanów), że ludność Polski jest zarażona (a przynajmniej mocno zagrożona) komunizmem i że trzeba ją z tego leczyć negując rzekome dobrodziejstwa ustroju komunistycznego i przekonywując o jego szkodliwości.

W rzeczywistości istnieje dosyć dowodów na to, że Polacy nienawidzą Rosji i komunistów, że nawet większość tych, co należą do partii (aby utrzymać się przy życiu) przy pierwszej sposobności powiesiłaby na latarniach swoich politruków i sekretarzy partyjnych. Inni idą za komunistami, lub maszerują obok komunistów dlatego, że stracili nadzieję, że nie wiedzą w co mają wierzyć i niczego dobrego od Zachodu — który Polskę w ostatniej wojnie zawiódł — nie oczekują. Jeszcze inni chcieliby wierzyć w Zachód, ale go nie znają: albo przeceniają (rzadziej), albo — częściej — nie doceniają możliwości Zachodu. Od ludzi, którzy na Zachód się przedostają, wiemy dobrze jak wykrzywiony obraz Ameryki, Anglii, czy Francji zdołała wpoić w nich propaganda komunistyczna. Dr Tacreiter, młody, nie znający zupełnie Zachodu lekarz, który wraz z kapitanem Cwiklińskim opuścił „Batorego”, ukrył się w Londynie przed emigracją w gębokim przeświadczeniu, że ręka Bezpieki sięga z łatwością aż tutaj i że połowa emigrantów to zakonspirowani agenci komunistyczni. Tego rodzaju ignorancja i takie nastroje charakteryzują przede wszystkim inteligencję krajową (ze studentami uniwersytetów włącznie) i to tłumaczy dlaczego ci ludzie nie piszą do rozgłośni zachodnich — jak to wiemy z dwóch ogłoszonych przez Józefa Łobodowskiego w *Kulturze* analiz licznej kores-

pondencji, otrzymywanej przez sekcję polską radia madryckiego (patrz Nr 37 i 43 *Kultury*).

Właściwym wrogiem wolnego świata nie są Polacy kochający Rosję, bo takich prawie nie ma w Kraju, jeśli nie liczyć garstki fanatyków i trochę większej garści arywistów i zdrajców, którzy osobistą karierę związali z okupantami. Właściwym wrogiem Zachodu jest rozpacz tych, co stracili nadzieję, ignorancja lub pustka, w którą — mimo, a nawet wbrew woli — wlewają się fałszywe informacje, fałszywe idee i nieraz autentyczne, choć fałszywie przedstawiane osiągnięcia reżimu (jak odbudowa Warszawy, rozbudowa przemysłu). Na rozpacz, na zarażenie strachem, na ignorancję w sprawach Zachodu, na slogany i zręcznie preparowane dowody zgnilizny moralnej i kulturalnej Zachodu Głos Wolnej Polski odpowiada krzykiem, młóceniem siana codziennych dziennikarskich wiadomości — słowem agitacją, że w Rosji, że w Polsce „jest bardzo niedobrze”.

Udowodniłem, że agituje się. Ale do czego, na miłość boską? Na szczęście nie do powstania, nie do gwałtownych odruchów. Więc do czego? Do nienawiści, którą i tak dostatecznie podnieca każdy agent Bezpieki. Wątpię, czy kierownictwo G.W.P. potrafi odpowiedzieć na pytanie, do czego agituje Polaków w Kraju. Ci panowie powiedzą zapewne, że informują, że „demaskują propagandę wroga” — tak brzmi slogan jednej ze stałych rubryk. Zgoda, zgoda, doskonale. Ale co ponadto? Czy rozpacz i pustkę, czy lęk, że na Zachodzie n i c n i e m a można uleczyć krzykiem?

Nie, nie i jeszcze raz nie. By Polacy w Kraju mogli przetrwać, pozostać wierni sobie (jakiś komentator nowojorski o groteskowym pseudonimie nazwałby to oczywiście „wiernością dla Zachodu”, „trwaniem na przedmurzu Chrześcijaństwa”, ale ja wolę nieefektywną conradowską terminologię) — trzeba ich czymś nakarmić. Zamiast agitować — nie wiadomo do czego — trzeba karmić ich ducha. Informować, krzepić umysł, serce i wolę, a nie agitować. Spokojnie, cierpliwie mówić im o Zachodzie nie obawiając się, że to za trudne, że niezrozumiałe, że nie daje bezpośrednich wyników. Zresztą jakich b e z p o ś r e d n i c h wyników oczekują amerykańscy spece wojny psychologicznej i polscy kierownicy G.W.P.? Jeszcze jednego Jareckiego, czy Jaźwińskiego? O to nie ma obawy. Przylecą sami na Migach — cytując słowa Jaźwińskiego — gdy na wyspie Bornholm będzie odpowiednie lotnisko. A co do masowości odbioru, co do szerokiego oddźwięku, o jaki dba tak bardzo prymitywna recepta amerykańska (będąca nb. po prostu odwróceniem — i to niedoskonałym, bo nie uwzględniającym nagonki kulturowej — schematów komunistycznej propagandy) — to trzeba pamiętać, że czasy „ciemnych kmiotków” już się w Polsce skończyły. Komuniści nauczyli masy czytać i rozumieć wiele rzeczy (m.in. teatr). Uczynili to, rzecz jasna, po to, by czytano ich propagandową bibułę i ich fałszowaną literaturę. Ale umiejętność czytania (i rozumowania, i artystycznego odczuwania) jest podobna do

sztuki pływania. Kto umie pływać, ma skłonność płynąć z prądem, lecz może też próbować utrzymać się na powierzchni czekając na pomoc, lub nawet płynąć pod prąd — jeśli wie, że jest do czego.

Czy słuchacz radia G.W.P. zechce płynąć do wspominków pana Lechonia, do „galówek” pana X-a i Y-ka, do letnich i mętnych pryszcików pewnych siebie gimnastyków komentatorskich — do tego znaku zapytania, na który udziela się półgębkiem odpowiedzi z malutkiego *Okienka na Zachód*? Twierdzą, że nie. Pustka programów G.W.P. nie uleczy lęku przed nieznanym ani rozpacz ludzi tyle razy już zawiedzionych.

Powiedziałem na początku tego szkicu, że Głos Wolnej Polski jest, lub może być potężnym narzędziem w wojnie psychologicznej. Sądzę, że po przeczytaniu rozdziałów analitycznych i krytycznych każdy bezstronny czytelnik zgodzi się, że właściwszy jest tu tryb warunkowy. Tak przychodzimy do postulatów.

Wbrew głosom zasadniczego wątpienia, że Zachód — jako chory i rozbity — nie jest w stanie niczego pozytywnego przeciwstawić złej, ale potężnej wierze komunistycznej, sądzą, że można i należy walczyć. Ale nie krzykiem i negacją, lecz obliczoną na długi dystans propagandą pozytywną. Choć podpisuję się obiema rękami pod wysuniętym przez Michała Sambora (patrz *Kultura* Nr 56) postulatem stworzenia polskiego „Trzeciego programu”, który karmiąc elitę kulturalną krzepiłby poprzez nią także masy (orientujące się zawsze na duchowych przywódców) — nie bardzo wierzę w możliwość szybkiej i pełnej realizacji tego projektu. Wydaje mi się, że wystarczyłyby — przynajmniej na razie — mniej radykalne, ale stanowcze cięcia.

Mój postulat jest bardzo prosty. Skasować całkowicie rubryki *Komentarz międzynarodowy* i *Na szerokim świecie*, a *Komentarz dnia* obciąć do pięciu minut dziennie. Z uzyskanych w ten sposób 280 minut tygodniowo rozszerzyć do 30 minut komentarz *Echo tygodnia* podnosząc jednocześnie jego poziom. Z reszty zaoszczędzonego czasu powiększyć trzykrotnie rubrykę *Kultura w niewoli* (i ja popieram rozsądną negację, choć w tej rubryce powinno się od czasu do czasu omawiać także te pozytywne zjawiska, jakie zachodzą w kulturze polskiej, wbrew lub obok polityki reżimu). Pozostałe 245 minut tygodniowo przeznaczyć wyłącznie na audycje satyryczno-rozrywkowe (powiedzmy nawet 100 minut więcej „wymyślenia per procura”) i na pozytywne rubryki kulturowe, informujące rzetelnie, ciekawie i aktualnie o osiągnięciach i poszukiwaniach Zachodu w dziedzinie ludzkiego ducha. Jednocześnie skłonić pisarzy i w ogóle intelektualistów, by 90 % czasu, przeznaczonego na *Głos wolnych pisarzy*, na *Teatr Wyobraźni* i na dyskusję *Okragłego Stołu* poświęcali na afirmację i informowanie o zjawiskach, które uważają za dodatnie, a nie na krytykę i tanie wspominkarstwo lub „galówkarstwo”.

Dopiero tak zreformowany program mógłby może nawrócić niektórych prawdziwych komunistów, do czego chwiejnym kro-

kiem zdaje się zmierzać G.W.P. w takich rubrykach jak *List do komunisty* lub *Za kulisami partii*. Taki program Głosu Wolnej Polski byłby na pewno dobrą pajądą razowego chleba dla naszych rodaków w Polsce, a z czasem — gdy polscy pracownicy kultury na emigracji sami zaczną cenić i rozumieć Zachód — może nawet bułką z masłem dla zgłodniałego człowieka w Kraju, karmionego dotychczas łagrową zupą socrealizmu, do której leje się nowojorską wodę.

Janusz JASIEŃCZYK

W POLSKIM DOMU

— POLSKA PŁYTA



POLSKIE
PŁYTY GRAMOFONOWE

PIĘŚNI PATRIOTYCZNE I WOJSKOWE
POLSKIE MELODIE LUDOWE
MUZYKA LEKKA I TANECZNA

Zadajcie BEZPŁATNYCH ILUSTROWANYCH katalogów
pisząc do :

“ LIBELLA ”

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ
12, rue St-Louis-en-l'Île - Paris-4^e
Telephon DANton 51-09

Najlepsi artyści — Najpiękniejsze melodie
Najstaranniejsze nagrania

Wkład polityczny

3

Wkład intelektualny emigracji politycznej dał wiele walorów politycznych. Widzieliśmy jak im służyła i nauka i literatura. Ale największe znaczenie polityczne ma sam przez się fakt istnienia emigracji.

Każda emigracja przeżywa aklimatyzację. W US jest ona cięższa, bo wyzuwa nie tylko z polskiej, ale i z europejskiej atmosfery. Aktywa życiowe, które każdy naciulał sobie w Polsce, malejące przy emigracji do Europy, tutaj maleją jeszcze bardziej. „Jakże żałowałem” — pisał Niemcewicz — „że zamiast literatury nie posiadałem jakiego rzemiosła”.

Procent utraty przydatności jest odwrotnie proporcjonalny do poziomu intelektualnego emigranta, jeśli ten poziom nie jest w skali przydatności uniwersalnej.

Jeśli wartości sędziogo były w Polsce w 90 % intelektualne, a w 10 % fizyczne, to można powiedzieć, że sędzia-emigrant zaczyna ponownie życie z jedną dziesiątą swego przydatnego aktywu (który mu się przydaje przy gospodarstwie domowym, naprawkach itp. Jeżeli standard amerykański jest trzykrotnie wyższy, to standard życiowy sędziogo będzie stanowił $10\% \times 3 = 30\%$ jego przedwojennego poziomu życia.

Ale już fryzjer, w którego fachu sprawność fizyczna stanowiła 30 %, a 70 % to była znajomość klientów, gustów, wzięcie oraz znajomość języka — będzie od samego początku przedstawiał dla chlebodawcy walor 30 %. Potroiwszy przez współczynnik amerykański, okaże się, że już fryzjera start zaczyna się na 90 % przedwojennego poziomu.

Wreszcie przy robotniku niekwalifikowanym jego stuprocentowa przydatność nie może być zmniejszona więcej niż o 20 % przez brak języka. Poziom więc życia ($80\% \times 3$) wyniesie 240 % — dwa i pół razy więcej niż w Polsce.

Dokończenie artykułu, którego I-sza i II-ga część drukowane były w Nrach 6/68 i 7/69-8/70.

Gdyby więc podzielić nową emigrację według tego klucza, doszlibyśmy zapewne do tego, że jej życie materialne jest co najmniej o 100 % lepsze niż w Polsce. Problemat więc Niemcewica nie waży na niej jako całość.

Ale to jest istotnie — od sędziogo po kopacza rowów — jednolita emigracja polityczna. Jeśli surowcowi ludzkiemu emigracji zarobkowej duszno było bez parafii, mimo że ten surowiec ludzki miał małe pretensje do problemów oderwanych, a wielki dziedziczny głód niedożywionych pokoleń, to cóż mówić o człowieku, który przeszedł kilkanaście krajów, patrzył w same oczy poświęcenia i nieszczęścia, nie był wyrzucony na molo portowe jak wiązka mięs do kupienia, ale został przywiany kosmicznym wichrem porzbijanych idei, szumiących wielkimi głosami nad światem pobojowisk i obozów koncentracyjnych.

Czyż nie jest jasne, że nagle, ciągnąc coca-cola w nudnym barze, nasz prosty emigrant podnosi oczy na wrzaskliwych amerykańskich kolegów, szczęśliwych uczestników *Two-cars garage era*, zwolenników *Guns & Television Economy* (tzn. i armat i masła), zwycięzców w obu wojnach światowych i pyta słowami Kajetana Węgierskiego, który po osiemnastowiecznej Hiroszynie (ostatecznej kapitulacji angielskiej Cornwallisa) — pisał do jednego z ojców Konstytucji Amerykańskiej, J. Dickinsona :

„Ale teraz, kiedyście zwyciężyli, co uczynicie moi mili panowie?”



Nie można mówić o *Pax Americana* nie postawiwszy równocześnie pytania na jakich cywilizacyjnych wartościach zostanie oparty.

Po wojnach Peloponezskich (które też „zaczęły się o hegemonię, a skończyły się o ideologię”¹⁾) Grecja upadła, ale „hellenizacja” rozlała się po wówczas osiągalnym świecie.

Jeśli po dwóch wojnach podobny los ma spotkać Europę, to jej cywilizacja również nie zginie, bo już za greckich czasów, przeszło dwa tysiące lat temu, cywilizacje przestały zanikać bez śladu. Przypuszczać należy, że nastąpi aliaż istniejących cywilizacji w cywilizację światową. Wśród ludzi, którzy utożsamiają chrześcijaństwo bez reszty z cywilizacją zachodnią, to twierdzenie wywołuje opór. Tymczasem katolicki pisarz Christopher Dawson liczy się z tą tezą : *If Europe should undergo the process of disintegration, the tradition of European Culture will still survive and will influence the civilisation of the modern world*²⁾ („Jeśli Europę czeka rozbitcie, jej kultura przetrwa i będzie współkształtować świat).

Uformowanie się tej przyszłej cywilizacji będzie ulegało burzliwemu naporowi. „Niektóre tylko czynniki kultury europejskiej

wieść będą mogły w skład jakiejś nowej kultury, kiedy rozpocznie się inwazja Azji” — ostrzega, ku chlubie socjologii polskiej, prof. Znanięcki już w 1919 r.³⁾

Przy formowaniu się więc tej cywilizacji potrzebny będzie czynnik kształtujący, gospodarzący tymi naporami. Jeśli tym czynnikiem będą USA, możemy liczyć się z „westernizacją” przyszłej cywilizacji.

Stany Zjednoczone mają po temu dane materialne, ale tylko predyspozycje duchowe. Te predyspozycje — to udział kulturalnie a-europejskich elementów w strukturze Ameryki.

„Indyjskie składniki stały się częścią kultury amerykańskiej, wprowadzając stały czynnik niepokoju i raz na zawsze przeszkodziwszy w pełnym współdziałaniu z kulturalnym życiem Europy”⁴⁾. Indyjski element jest podsycony imigracją z podrasowanej Ameryki Łacińskiej, zwłaszcza przez nieopanowaną imigrację sąsiedzką z Meksyku.

Zalew rasy żółtej, mimo zacieklej obrony Ameryki, potworzył w niej obszerne skupiska chińskie i japońskie, nie wstrzymał napływu Filipińczyków i mieszanów z Hawaj.

Rasa czarna, mająca i teraz obfity dopływ z Porto Rico, liczy 16 milionów coraz bardziej infiltrujących. Pisarz murzyński White oblicza, że rocznie do społeczności białych wsiąka około 20.000 dostatecznie już „wybielonych” Murzynów.

*In work, in play, in social organisation and aesthetic manifestations there are evidences of Africanism*⁵⁾ („W pracy, w rozrywkach, w życiu społecznym i artystycznym, wszędzie znajdujemy piętno Afrykanizmu”). Liczba Murzynów na urządach z 50.000 w 1933 skoczyła do 300.000 w 1952. „Kiedy rasa murzyńska osiągnie pełnię świadomości, zajmie w cywilizacji amerykańskiej wysokie miejsce” — przewiduje A. C. Barnes⁶⁾.

„Żydzi jak i Murzyni nie poddawali się asymilacji”⁷⁾. Ankieta Natana Marwina wśród Żydów na 51 uniwersytetach amerykańskich, wykazała, że 87 % studentów żydowskich otrzymało gruntowne wykształcenie religijne. Owe pięć milionów Żydów, element cywilizacyjny tylko w jednej trzeciej pochodzący z obszarów cywilizacji zachodniej, kulturalnie w stu procentach reprezentuje typ nie pokrywający się z podłożem tej cywilizacji.

Emigracja słowiańska, również w dużym procencie pochodzi z tych terenów, z których przyszły masy żydowskie, z terenów cywilizacji eurazjatyckiej, do której zarówno Toynbee jak Spengler, jak szereg innych historyków cywilizacji zalicza ziemie w zasięgu prawosławia.

Ale Ameryka nie tylko pełnymi garściami nabrała przybyźców z Rosji, Jugosławii, Rumunii, Bułgarii, Grecji, Libanu.

3) Znanięcki F. *Upadek Cywilizacji Zachodniej*. Poznań 1920.

4) Lawrence D. H. *Studies in Classic American Literature*.

5) Franklin J. H. *From slavery to Freedom*.

6) Woodson C. G. *The Negro in our History*.

7) Marcus J. R. *Early American Jewry*.

1) Clough S. B. *The rise and fall of civilisation*.

2) Przedmowa do książki prof. Haleckiego *The Limits of European History*.

Jej nabytki „miedzynorskie” — węgierskie, litewskie, łotewskie, estońskie, a przede wszystkim... polskie nie są bynajmniej tym samym, co nabytki włoskie, holenderskie, anglo-saskie, skandynawskie itd. Są to nabytki z obszaru cywilizacji mieszanej i aczkolwiek na pewno ściągnęły oburzenie zarówno moich rodaków, jak zapewne i Żydów, nie przestanę twierdzić, że te wszystkie nabytki wniosły Stanom Zjednoczonym, jak zresztą obu kontynentom amerykańskim wielką *elastyczność* amortyzującą zbliżające zderzenie się światowych cywilizacji.

Ten proces odrywania się od cywilizacji zachodniej począł się dawno, skoro pozwolił już w XVIII stuleciu pisać europejskim obserwatorom: „Amerykanin nie jest Europejczykiem, ani nawet potomkiem Europejczyka; stąd ta dziwna mieszanina krwi, której nie znajdziemy w żadnym innym kraju. Amerykanin jest nowym człowiekiem, który rządzi się nowymi zasadami”⁸). Amerykanie przez całe stulecie bronili się przeciw tym „uwłaczającym” głosom, jak my i teraz bronimy się przeciwko wszelkim stwierdzeniom, że nasza kultura miedzynorska ma cechy nie zawsze pokrywające się ze śródziemnomorską. Powoli jednak poczynają widzieć w tym swój aktyw. *The springs of American Civilisation are many, though in time they will flow together and produce something independently racial and peculiar*⁹) („Różne są źródła naszej cywilizacji, ale z czasem zbiegną się, aby sformować coś samorodnego i niezawisłego rasowo”). Na każdym polu widać tę narastającą odrębność, nawet na językowym: *Our language is no merely English language. The Indian, the Negro... have added their components and their spirit* — stwierdza językoznawca H. L. Mencken¹⁰). („Język nasz nie jest już tylko angielski. Indianie... Murzyni... dodali swoje składniki i włąli swego ducha”). Już i ośrodki oficjalnej nauki amerykańskiej poczynają stwierdzać, że *Foreign influences, placed in the American context, have acquired new forms, totally different from those previously manifested*¹¹). („Wpływy cudzoziemskie wplecione w amerykańską całość, przybrały formy nowe, całkowicie odmienne od dawnych”).

Wobec tej różnorodności przenikanie dalsze kultur, dochodzących do głosu nie napotka ślepej ściany jaką się otacza ustabilizowana europejska cywilizacja. Czyż dla nas, Polaków, wychowanych na tej cywilizacji nie jest aż dziwne patrzeć na te nieustanne nawoływania amerykańskie, aby poszczególne komponenty ich ludności nie traciły cech narodowej kultury, aby ograniczały proces *melting pot* (zszmelcowywania się w jednym garnarczku) do wspólnego wtopienia się w *American Creed* (wspólne wyznanie wiary w wolność człowieka, które powinno być bo-

żyszczem każdego obywatela amerykańskiego). Gotowi jesteśmy wietrzyć w tym podstęp usypiający czujność mniejszości narodowych. Kiedy jednak spostrzegamy, że podstęp nie może być uprawiany solidarnie przez setki tysięcy nauczycieli szkolnych, policjantów, sędziów, chlebobawców, poczynamy wykrzywiać się ironicznie: „Czyż taki nastrój Amerykanów nie świadczy o braku poczucia własnej osobowości kulturalnej?”

Czy jednak to nie instynkt nadchodzących zdarzeń każe Amerykanom ograniczać się do więzi *American Creed* i nie kwapić się do wtopiania swych obywateli w ramy takiego nacjonalizmu, którego wzór wypracowała Europa?

Polska emigracja zarobkowa poszła po linii tej amerykańskiej podświadomości. „Wychodźstwo polskie amerykanizuje się i polszczy się jednocześnie” — mówił mi przed wojną M. Haiman i w głosie jego wyczułem jakby nutkę zdziwienia, która towarzyszy empirycznym odkryciom. Poszerza to twierdzenie w rozprawie drukowanej na kilka lat przed wojną: „W łonie wychodźstwa zauważyć można jakby renesans uczuć polskich w młodym pokoleniu. Młodzież ta, a zwłaszcza młodzież wykształcona jest dziś bardziej polska niż przed dwudziestu laty, mimo przeciwnych nieraz pozorów”¹²).

To samo potwierdza każdy obserwator ze starej Polonii. Przybysze z emigracji politycznej przypierają ich do muru, miotają się, że to nonsens, że to *contradictio in adiecto*. „Starzy” przerywają rozmowę, ale zostają przy swoim. Nie są oni filozofami, którzy potrafią dawać sobie radę ze skomplikowanymi zagadnieniami międzyepoki. Po prostu, mówią, co widzą.

Im prędzej emigracja polityczna dorobi sobie formułkę uzasadniającą to, co „starzy” rozumieją z codziennego doświadczenia, tym skuteczniej przyczyni się do pogłębienia tego renesansu młodego pokolenia, o którym pisze Haiman. Wę wpływie na kulturę amerykańską mała liczebność tej emigracji (wynosząca, jak dotąd, około 80.000) jest uwielokrotniona wydatnym przesiąkaniem przez warstwy starej emigracji, połączonej krwioobiegami ze społeczeństwem amerykańskim i specyficznym walorem cywilizacyjnym naszej politycznej emigracji. Inne emigracje reprezentują zapewne większą *qualitas*, ale nasza reprezentuje specjalną szkołę dziejową, jaką nasz naród przeszedł, a przede wszystkim — pochodzenie ze strefy przejściowej między cywilizacjami zachodnią i eurazjatycką, sfery ani nie stężalej w doktrynie ani nie wypalonej kulturalnie.

Polski psychiatra, prof. Władyczko mawiał, że paląca się lampa cywilizacji tak wyciąga zasoby kulturalne, jak knot wyciąga zapas nafty. W dziejach emigracji zarobkowej widzieliśmy to wypalanie się. W walce o przywrócenie więzi kultury organicznej w amerykańskiej cywilizacji polska emigracja zarobkowa odegrała pozytywną rolę, ale jej kultura została w dużej mierze wypalona. Przyływ nowej emigracji wzmacnia wysy-

8) Crèvecoeur *Letters from an American Farmer*. 1782.

9) Woodson C. G. *The Negro in our History*.

10) *Dictionary of American English*.

11) Bowers D. F. *Foreign Influences in American Life* (zbiorowe wyd. Uniw. Princeton).

12) „*Nauka Polska*” rok 1936.

chające źródła. Nie jest to wzmożenie tzw. „aktywu polskiego” na dłuższą metę (przynajmniej w znaczeniu bezpośrednim) — tak uczą prawa socjologiczne. Ale jest to wzmożenie świeżości i chwytliwości aktywu amerykańskiego, w którym nadchodzące tragedie będą tę świeżość organiczną pogłębiać.

Bo *ease is inimical to civilisation* („łatwizna jest wrogiem cywilizacji”) według wyrażenia Toynbee’go.

W miarę zmniejszania się łatwizny, w miarę wychodzących na jaw zawodów z powodu nadmiernej wiary w cywilizację materialną, poczną się w społeczeństwie amerykańskim regenerować procesy organiczne, a wraz z nimi przywiązanie do własnych walorów kulturalnych i poczucie, że jest to wspólne dobro, którego należy bronić.

Korespondenci z Korei jednym głosem donoszą, że żołnierze amerykańscy *are still thoroughly unfamiliar with the real reason for their being in Korea*¹³⁾ („całkowicie nie rozumieją powodów dla których znaleźli się na Korei”). Stąd *The morale of our troops is „good” if resigned point-counting and bravery whose sole motive is self-preservation, can be called morale*¹⁴⁾ (*Morale naszych wojsk jest „dobre”, jeśli za morale można uważać zrezygnowane obliczanie ile jeszcze czasu musi się przebyć na froncie i odwaga której jedynym źródłem jest obmyślanie jak uniknąć niebezpieczeństwa*). Powoduje to troskę zaangażowanych specjalistów: *Tremendous job still had to be done to explain to US soldiers what issues were at stake in the Korean war*¹⁵⁾ („Olbrymią jeszcze należy przerobić robotę, zanim się przekona żołnierzy”). Fachowcom technokratycznym widać wydaje się, że drogą fachowej propagandy sprzedadzą żołnierzom potrzebę umiarkowania, tak jak za czasów pokojowych potrafili im sprzedawać inne towary.

Nic tu jednak indoktrynacja nie pomoże, nim jej nie przeprowadzi życie. 20.000 zabitych jest kroplą w morzu stuśsześćdziesięciomilionowym. Matki, które straciły synów w izolowanej samotności — szukają sensu ich śmierci. Kiedy ich izolacja pięknie, tę pracę duchową przejmie cały stający się naród.

Przejrzy i przyszły naród amerykański, jak przejrzał naród epoki jagiellońskiej, że jest „skazany na wielkość”.

I wówczas, w cierpieniu, spotka — jako i dawniej spotykał — Polaków.

Jak w XVIII wieku, kiedy tłum amerykański wyprzągnął konie w powozie Kościuszki, jak w czasie „drugiej wojny o niepodległość” w 1812, kiedy pułki amerykańskie przywdziewały polskie mundury, jak w czasie przełomowym „demokracji Jackso-

13) G. Barret. *NYork Times* XII, 51.

14) *Life* — listopad 1952.

15) *Sociology Rutgers Univ.*, dr. J. W. Riley.

na”, kiedy Edgar Poe zgłasza się na ochotnika do armii polskiej 1831, a Ameryka funduje sztandary, robi zbiórki i obchody. Jak w czasie Wojny Domowej, kiedy Amerykanie okręty chrzczą polskimi nazwami, pułki ubierają w polskie mundury. Otwarcie procesu Katyńskiego jest tego pierwszą jaskółką.

Proces tego zbliżenia będzie tym żywszy, że Amerykanie teraz nie mogą zająć takiego stanowiska, jak po upadku powstania listopadowego: „Skoro cała Europa jest winna zbrodni upadku Polski, uwiecznijmy fakt, że przynajmniej Ameryka nie była winna jej krwi”¹⁶⁾. Bo sprawa Polski, to sprawa Jałty, a Jałta — to błąd dziejowy, apogeum zaćmienia technokratycznego.

Z tego wszystkie musi Ameryka się dźwigać. Stoi przed nią przejmujący wyścig z czasem.

Jak długi czas jest potrzebny na linienie amerykańskiej cywilizacji materialnej?

„Gdy przemysłowcy US utracą marzenia o wyprodukowaniu jeszcze jednego ulepszonego otwieracza do konserw — okres całego jednego pokolenia może być stracony”¹⁷⁾.

No, właśnie zaczęło się bardzo ostrożnie ograniczanie przydziału stali na produkcję tych otwieraczy i innych *gadgetów* (drobnych wynalazków ułatwiających życie). Czy więc mamy czekać przez okres pokolenia?

Jeżeli Spengler twierdzi, że tysiąc lat potrzeba, aby z kultury narodziła się cywilizacja, to ile lat potrzeba, aby, odszedłszy od europejskiej kultury, dojść z powrotem od technokratycznej cywilizacji — tym razem do kultury własnej? *It is possible, but only just possible, that America will take notice of its responsibilities in time* („Jest to możliwe, ale bynajmniej nie pewne, że Ameryka na czas zrozumie odpowiedzialność jaka na niej ciąży”).

Miejmy jednak nadzieję, że międzypoki ze wzrostem technicznych środków porozumienia i lokomocji, mijają znacznie szybciej.

Wkład polskiej emigracji politycznej w dzieło całkowania się amerykańskiego narodu będzie wiele większy, niż jej liczebność, niż jej życiowa natychmiastowa przydatność.

Ameryka będzie się musiała „rozproszyc na garnizony i nadzory przy świecie, jak Rzymianie, Arabowie, Mongoli — za których tymczasem dzieło kultury budowali mający na to czas Grecy, Chińczycy, Persowie, Hindusi, którzy w rezultacie narzucili swoją kulturę zwycięzcom”¹⁸⁾.

16) *Buffalo Journal* 4.I.34.

17) Taylor E. *Richer by Asia*.

18) Eric Fisher *The Passing of the European Age*.

Wielkie niebezpieczeństwa stają przed Ameryką, żaden tu wkład nie będzie do pogardzenia, a tym bardziej taki wkład jak polski.

Policzmy jego aktywa.

Starą Polonię obliczamy na 6 milionów. Na te obliczenia należy patrzeć bardzo sceptycznie, jeśli się je widzi od strony polskiej. Bo czysty aktyw polski, to znaczy taki który żyje polską racją stanu jest zupełnie nikły.

Patrząc od strony amerykańskiej, to rzeczywiście może być sześć, a może być i więcej milionów Amerykanów pochodzenia polskiego żyjących w tym dziwnym kraju, któremu instynkt przyszłości każe trzymać poszczególne grupy w niezatartej pamięci o swym pochodzeniu. Te miliony ludzi przechowują czułą zdolność adaptacji walorów organicznych. Te 80.000 nowej emigracji polskiej (które, mimo wszystko, będą się powiększać), najświadomszej psychicznie grupy ludnościowej z obszaru Cywilizacji Zachodniej, ma z tymi milionami starej Polonii drogi niesłychanie szybkiego i łatwego porozumienia. A z kolei krwioobieg duchowy łączy te miliony polskiego pochodzenia z całą amerykańską ludnością.

Jakież walory ma wkład, który w ten sposób ustokrotnia się i szybko się rozpowszechnia?

1. Kulturę organicznej wspólnoty, bez której technokratyczna społeczność amerykańska nie ulepi jednolitego narodu i wiecznie będzie trzymać poszczególne grupy narodowe luźno wsypane w koszyk *American Creed*. Jest to ta różnica kultur, która w Polsce paskarżom narzuca imperatyw umierania za ojczyznę, gdy w Ameryce bohaterom Okinawy czy Corregidoru narzuca weterański materializm.

2. Bezinteresowność wydziedziczonych. Ludność świata wzrasta o 1,25 % rocznie, gdy jego produkcja zaledwie o 0,3 %; ale uprzywilejowana część świata spożywa coraz więcej kalorii na głowę, gdy jego reszta — coraz mniej. Bez planu światowego ta przepaść dzieląca ludzką część świata będzie się powiększać i świat, którego zadaniem jest się zrastać, będzie się rozszczepiał i podąży do anarchicznej zguby.

Planu światowego nie można stworzyć bez wyrzeczeń. Trudno się wyrzec idei związanych ze wspomnieniem stanu posiadania w Polsce, ale znacznie trudniej — związanych z aktualnym posiadaniem, jakim się cieszy Amerykanin. Żarliwe a bezinteresowne myślenie o losach świata wyrastające na pożywcę organicznej — to wielki aktyw.

3. Przejściowy charakter kultury polskiej, położonej między właściwą Cywilizacją Zachodnią a Cywilizacją Eurazyjską, jest wielkim wkładem w dobie starcia tych cywilizacji. Kto widzi przyszłość świata nie w zwycięstwie bezapelacyjnym Cywilizacji Zachodniej, tylko w syntezie różnych cywilizacji, której dokonanie przypaść powinno Stanom Zjednoczonym ten doceni wpływ czynnika z pogranicza dwu cywilizacji. Polacy w małej

skali mają przed sobą rolę, która przypadła Żydom w diasporze, kiedy stali się łącznikiem między cywilizacjami.

Kultura organiczna, nieobciążone myślenie i zdolność syntezy, to w obecnej Międzyepoce bardzo wielki aktyw.

4. Wreszcie — łączność ze światem cywilizacji materialnej, w którym mamy apostołować. To nie tylko żołnierz, to nie tylko męczennik zawitał donkiszotować w kraju technokracji. Przybyli męczennicy-szabrownicy. Oblatani, twardzi, dający radę we wszelkich okolicznościach.

Ten chlorofil, który niosą ich zaradne ręce, te witaminy, które osłaniają ich rozpychające się łokcie — nie ma obawy, nie przypadną. Do kruszynki zostaną połączony przez pacjenta.

Ongiś poeta B. B. Thatcher pisał z powodu powstania listopadowego :

*Poland wakes from slavery's charm
Poland lifts up her ancient arm
In her heroes every vein
Poland's life blood burns again.*

Teraz to my witamy równie entuzjastycznie Amerykę budzącą się z zaklęcia cywilizacji materialnej, czującą w sobie krew epoki Pięćdziesiątki, epoki Washingtona i Jeffersona i ponownie podejmującą oręż w obronie wolności.

Tak możemy wyglądać patrząc od strony Ameryki, od strony świata.

Spójrzmy teraz — od naszej strony.

Na pewno, że rola, którą odegramy w marszu świata do przyszłości jest ograniczona naszymi niedużymi możliwościami. Ale nie absolutna miara jest ważna, tylko relatywna. Inaczej tylko bogaci ludzie i bogate narody zuliby swój sens istnienia. Idzie o to, czy możemy mieć rezultaty poniżej, czy powyżej swoich możliwości. Wkład Polaków w Stany Zjednoczone może być znacznie wyższy, niż ich liczebność i niż skromne miejsce jakie zajmują w skali cywilizacji materialnej. Można zaryzykować twierdzenie, że w obecnej chwili prosty chłopak z barykady warszawskiej większe ma dla Ameryki znaczenie ze swoją postawą psychiczną, niż doktorant jakiegoś holenderskiego czy szwajcarskiego uniwersytetu ze swoją sumą wiadomości.

Drugą otuchę nam daje to, że jesteśmy Polsce, tu, w Ameryce, nad wyraz potrzebni. Gwarancją istnienia naszego narodu nie może być żaden układ sił. Jeśli Niemcy i Rosja znajdą się w tym układzie po jednej stronie, to Polska, leżąc między nimi, będzie zdławiona. Gdyby zaś Rosja i Niemcy znalazły się po przeciwnych stronach, to po każdej z tych stron czynnik decydujący stanie w poprzek podstawowym warunkom istnienia Polski.

Gwarancją naszego istnienia nie może być Międzymorze, bo jego siły dośrodkowe neutralizują sprzeczne wichry, właściwe

istmom, położonym między oceanami odmiennych cywilizacji. Po szczególne człony Międzymorza zawsze będą funkcją gry Rosji lub Niemiec.

Gwarancją istnienia Polski może być tylko rząd światowy, oparty na nadchodzącej cywilizacji Nowej Epoki. Czynnikiem kształtujący ten rząd musi rozporządzać zasobami materialnymi i duchowymi. Zasoby materialne reprezentują tylko Rosja i USA. Dostatecznych zasobów duchowych nie reprezentuje żaden z tych czynników. Ta jednak istnieje między nimi różnica, że Rosja nigdy uniwersalnych walorów reprezentować nie będzie, uosabiając jedną tylko i nieprzeżyłą Cywilizację Eurazjatycką. Stany Zjednoczone, nie zablokowane kulturalnie tak jak Rosja, odbijające od brzegu Kultury Europejskiej, przedstawiają większą zdolność obustronnej duchowej asymilacji z ludami świata i mogą wygrać wyścig, którego Rosja wygrać nie ma możliwości.

Dlatego wkładać wszystkie siły w przyspieszenie procesu kulturalnego Stanów Zjednoczonych, jest to przyczyniać się do zdrowia moralnego czynnika, który jedynie może kształtować świat. Świat Zjednoczony, w którym Polacy znajdą miejsce do życia.

Dlatego my, emigracja polityczna polska, stajemy na ziemi amerykańskiej ponownie z palącym pytaniem Kajetana Węgierskiego. Dlatego nawracamy do rozmów Washingtona z Niemciewiczem, pełnym niepokoju o przyszłość Ameryki po zwycięstwie. Dlatego sięgamy w pamięć tych bohaterskich lat, kiedy formowały się podwaliny duchowe Ameryki. Dlatego przez zadowolenie amerykańskie z codziennego dnia przybijamy się do słów Tennysona, które z podskórnego prądu amerykańskiej kultury wykwitły w epoce duchowo najbardziej jałowej:

*Puissant America, whose gen'rous sons
From British fathers sprung, have rais'd thy name
Beyond the Greek and Roman fame and shall
Extend the empire to the utmost bounds
Of this Globe.*

(Potężna Ameryko, której wolne syny,
Ojców latorośl brytyjskich, wysoko wynieśli Twe imię
Aż ponad grecką i nad rzymską chwałę i którzy
Rozszerzą panowanie po ostatnie krańce
Naszego Globu).

Melchior WANKOWICZ

Mistycy hiszpańscy

NOTA TŁUMACZA : Wybór niniejszy obejmuje typowe dla mistycznej poezji hiszpańskiej utwory ośmiu autorów na przestrzeni pięciu stuleci. Są wśród nich najznakomitsi, jak Lope de Vega, są drugo- i trzeciorzędni, jak Garcia de Tejada. Wszystkich łączy ta sama żarliwość religijna, niemal identyczna interpretacja tajemnicy Męki i Zmartwychwstania, oraz barokowa maniera stylistyczna. Tłumacz miał sporo trudności przy pracy, gdyż chodziło o zachowanie zawsze niełatwej formy sonetu i o jednoczesną wierność przekładu. Na ogół tłumaczenia są bardzo bliskie oryginałom, w niektórych wypadkach niemal dosłowne. Największych „odstępstw” dopuszczono się w przekładzie sonetu Rosalesa.

Z wyjątkiem anonimowego sonetu „Na Chrystusa Ukrzyżowanego” (przypisywano go kolejno Świętemu Janowi od Krzyża, Świętej Teresie, Lope de Vedze, ale autorstwo nie zostało stwierdzone), przełożonego w roku 1952, wszystkie tłumaczenia powstały w nocy z Wielkiego Czwartku na Wielki Piątek, roku 1953.

J. Ł.

Sonet na śmierć

*Z Ciebie, Jezusie, zmarły, idzie życie,
bowiem, umarłszy, śmierć zadałeś śmierci,
i dała życie Twa miłość tej śmierci,
co nas prowadzi w nowe, lepsze życie.*

*Śmierć pomysłniejsza jest niżeli życie,
zwalniając człeka od wieczystej śmierci,
przeto większego skarbu od Twojej śmierci
nie miało nigdy ni mieć będzie życie.*

*I życia zmysł prowadzi mnie ku śmierci,
śmierć życia bowiem może dać mi życie,
pozbyte lęku przed mocami śmierci.*

*Śmierć jest mi życiem, zaś konaniem życie,
i takem jest spragniony owej śmierci,
iż, widząc w życiu śmierć, miłuję życie.*

FRAY PEDRO DE PADILLA
Wiek XVI.

Do Boga

*Och, cierpliwości ciągłych wyczekiwań!
Och, twarde serce, iż Cię nie miłuję!
Znieważając Cię, już znużenie czuję,
a Ty nie nużysz się wciąż mnie przyzywać!*

*Ileż to razy Twoja miłość tkliwa
spogląda ku mnie, a nie utyskuje,
gdy praw Twych ani przestrzegać próbuję...
A Ty, mój Boże, cierpiąc, krwią opływasz!*

*Och, strózu ludzki! Z ziemskiej jestem gliny,
więc w słusznym gniewie nie bierz mnie pod Siebie,
podnieś, co Twoje, abym był pocieszon;*

*bom oszukany nie z zmysłów przyczyny,
grzeszny mnie zwyczaj zwycięża w potrzebie,
i próżny grzech mój, chociaż żyję grzesząc.*

FRAY PEDRO MALON DE CHAIDE
1530-1590

Zacny lotr

*Duszo, pośpieszaj do Krzyża,
iż Chrystus jest dziś dobrodziej
i szczodroblivy utracjusz,
albowiem czas mu ucieka.*

*Nie ostaniesz z własnej winy
bez tych skarbów niezmiernych :
Bóg bierze lotra ze Sobą;
taką moc ma pożądanie.*

*Iż wszyscy Go opuścili,
niech się świat ten nie przeraża,
że już lotrom daje wiarę,
skoro zbrakło ludzi zacnych.*

*Dziś, kiedy niebo rabują,
jest okazja, a więc wnijdźmy.
Bo kto wie, czy zaraz jutro
nie założą silnych zasuw.*

FELIX CARPIO LOPE DE VEGA
1572-1635

Na Chrystusa Ukrzyżowanego

*Bym Cię miłował, Panie, nie porusza
mnie raj, grzesznemu z dawna obiecany,
ani też piekło ze swymi szatany
miłości mojej ku Tobie nie zmusza.*

*Nie tym mnie wzruszasz, Panie! Lecz ma dusza
wzruszona jest, gdy Twe ogląda rany,
iżes na drzewie był ukrzyżowany
i nie minęła Cię żadna katusza.*

*A tak Twa miłość serce me urzekła,
że i bez nieba bym Ciebie miłował,
a lękał bym się Ciebie i bez piekła.*

*Niczego nie chcę, ani oczekuję,
bo choćbyś łaski mi nie obiecował,
miłowałbym Cię równie jak miłuję.*

ANONIM
Wiek XVI.

Z Bogiem do Boga

*Jeśli ku Bogu z Bogiem iść pragniemy,
Boży ludzie bez Boga — cóż myślimy?
I jeśli bramą jest Bóg, i w nią wchodzimy,
bez Boga światło Boskie — czyż znajdziemy?*

*Jeżeli Boga wreszcie obejmujemy,
a w Bogu sukurs, więc k'niemu dążymy,
czyliż bez Boga znaleźć Go potrafimy?
Boga bez Boga jakże odnajdziemy?*

*Dla Boga z Bogiem wasze wzdąć żywoty,
bowiem dla Boga z Bogiem sprawią wiele,
gdy na nie z Bogiem spadnie Boga dotyk;*

*ale bez Boga wasze czyny harde,
dla Boga, a bez Boga wszystkie cele,
że są bez Boga, Bóg je da w pogardę.*

ANONIM
Wiek XVII.

Prawda

*Ku wam podążam, najświętsze ramiona,
na których zasechł już krwi strumień świeży,
przybite, by mi kary nie wymierzyć,
otwarte, bowiem w nich jest ma obrona.*

*Ku wam, najśodsze oczy, w których kona
męczeńskie życie u wieczności dzwierzy,
czujne, by taską swą we mnie uderzyć,
albowiem dobroć w nich jest nieskończona.*

*Ku wam, przebite stopy, bym nie uszedł;
ku zwisłej głowie, by mnie przywołała;
ku tobie, krwi, bo wziąć ją w dłonie muszę;*

*ku wam, żelazne ćwieki i przeczyste
żebra, ażeby u świętego ciała
został i trwał na wieki wiekuiste.*

GARCIA DE TEJADA
Wiek XIX.

Na Chrystusa Ukrzyżowanego

*Naprzeciw Krzyża, Panie, oczy moje
znieruchomiały, gdyż śmiercią naznaczon,
a chociaż tego nie chcę, jednak płaczę,
grzeszyły, przeto patrzą z niepokojem.*

*I wargi, Panie, które prawom Twoim
przeczyły co dnia gniewem i rozpaczą,
choć nie chcę, ból swój w modlitwie tłumaczę,
grzeszyły, więc się śpiewać teraz boją.*

*I tak z spojrzeniem, co utkwilo w Tobie,
i tak ze słowem, w niewolę pojmanem,
jak Twoje ciało w męczeńskiej żałobie,*

*jak rozpstarte na Krzyżu ramiona,
i tak z mem życiem, też ukrzyżowanem,
i tak, gdy, Panie, każesz, chętnie skonom.*

RAFAEL SANCHEZ MAZAS
Urodz. 1894

Na Chrystusa Zmarłego

— Na Chrystusa Zmarłego
*Już tylko w rękach słabe życia drganie,
niezamieszkałe już, bezsilne ciało,
już róże stoją w blasku, już się stało,
i śpiewa strumień... Wstrzymajcie szlochanie!*

*Śmierć zwyciężyła, lecz nie była w stanie
pokonać życia, co ledwie podało
swoją cień ku zgubie, by z resztą ująć cało,
a czas się wstrzymał w miejscu, słodki Panie!*

*Przyszła godzina i oto widzicie
spełnienie nocy w rozpostartych rękach,
kiedy ogląda w niebie światłość żywą;*

*i oto grzech powraca razem z życiem,
i znów przybita do Krzyża Jutrzenka,
powolna wiatrów wezbranym przyplływom.*

LUIS ROSALES
Urodz. 1910

Przetłóżył z hiszpańskiego Józef ŁOBODOWSKI.



2 HOGARTH ROAD,
LONDON S. W. 5,
ENGLAND

PACZKI DO POLSKI

DOBRE, SZYBKIE I TANIE

Pełne Ubezpieczenie

LEKARSTWA MATERIAŁY ŻYWNOŚĆ

Piszcie Po Cenniki 100 Popularnych
Paczek Największego Polskiego Domu
Wysyłkowego w Europie.

HASKOBA LTD.

Najnowsza historia Polski

O „Świcie”

Pisząc swoje wspomnienia o „Świcie” ani p. Korboński („Kultura” Nr 9/71) ani p. Straszewicz nie tylko ze sobą nie komunikowali, ale nawet nie wiedzieli, że pracowali na tym samym odcinku — jeden w Kraju, a drugi w W. Brytanii. Ta mimowolna konfrontacja daje tym pełniejszy obraz mało dotychczas znanej działalności „Switu”. (Red.)

Rzecz, która ma być na tym miejscu podana, jest skreślona pod hamulcem i tylko na skutek forsownego nacisku, że „prawa bez kamuflażu stanowi naszą wolność na emigracji”.

Dobrze. Ale wypada mi się zastrzec, że pisząc o „Świcie”, będę oszczędny w nazwiskach, bo miłych bratanków miałem tam wielu, z których dotychczas żaden nie ujawnił świtowego pokrewieństwa, aczkolwiek należeli doń i pyszni poeci i znakomici dziennikarze i bohaterzy cicho-ciemni skoczkwowie. Przez nich samych nieujawnione nazwiska muszą pozostać w kropkach, bo to jedni nie chcą, drudzy nie mogą, trzeci czekają na wyrok w ubowskich turmach.

Zresztą wtenczas, gdy „Swit” istniał, często gęsto wieczorami wentylowało się temat, jak to kiedyś w przyszłości będzie: czy my, którzy przez angielski mikrofon dwa razy dziennie podszuwamy się pod Polskę walczącą i odstukujemy na maszynie naszą chrobrość — czy my, gdy „Swit” się szczęśliwie skończy, chwalić się będziemy, żeśmy w nim byli, czy też zamkniemy usta?

Jak nas zazwyczaj bywało czworo, albo pięcioro — tak w jakimkolwiek zespole, bez względu na skład, przemagało zdanie: zamykać usta! A zatem do rzeczy:

„Swit” był „tajną” rozgłośnią polską w Anglii, nadająca z okolic miasteczka Bletchley koło Londynu kilkuminutowe programy w języku polskim, opatrzone charakterystyką melodii granej na fujarce: „Bartoszu, Bartoszu, oj nie traćwa nadziei”.

Materiały drukowane w tym dziale są zamieszczane na odpowiedzialność autorów i nie wyrazem poglądów Redakcji.

„Swit” swoją działalność rozpoczął bodajże na wiosnę 1942-go roku (w datach nie jestem silny), a zakończył ją u schyłku 1944-go roku samotną audycją, nadaną przez piszącego te słowa, po uprzednim zlikwidowaniu zespołu.

Był on „podarunkiem” Anglików, uczynionym gen. Sikorskiemu do dowolnego rozporządzenia; później z natury rzeczy przeszedł na Mikołajczyka, wreszcie na Tomasza Arciszewskiego, ale ten, jako że krytyczne rzeczy się już działy, nie miał okazji zajmowania się „Switem”.

Pierwotnie — w myśl idei ofiarodawców — „Swit” miał tylko podsycać polską rezystencję, zapalać krew do walki i miał raczej posiadać nieinteligentny, spontaniczny charakter; dzięki presji, powstałej wewnątrz zespołu, stał się rozgłośnią par excellence polityczną. Niemal z miejsca wszedł na tor polemik, krytyki politycznych perspektyw.

Ale ma się rozumieć piekło okupacji i walka z Niemcami nie schodziła z pierwszego planu, szczególnie, gdy krajowe depezesz, skierowane do „Switu”, dostarczały obfitej treści. Zdarzał się jednak czas swobodniejszy, gdy depezesz nie było, wówczas jeździło się z tematami po całym świecie, ze szczególnym upodobaniem wschodu: bądź do Berlinga, bądź do Wasilewskiej, bądź też do dzieci polskich, które wymierały na Sybirze.

Nasi angielscy bossowie (o nich później) stosunkowo mało na tę dwufrentowość reagowali. Raz, pamiętam, niejaki mr. Lily westchnął, że „nie tylko mr. Mac-Laren, ale i mr. Anthony Eden ma wątpliwości, czy „Swit”, walcząc z Niemcami, nie walczy także i z Rosją?” Ale jak sięgnę pamięcią, żaden najbardziej antysowiecki tekst nie był nigdy przez „bossów” skastrowany, ani pokrojony, nigdy oni nie stawiali żadnych kategorycznych żądań — ku naszemu własnemu zdumieniu mordercze teksty, jak np. w związku z sowieckim profesorem Tarle, albo z londyńskim „Observerem”, nie były przez nich opatrywane ani jednym słowem cenzury. Mieliśmy tylko wrażenie, może mylne, że owe mordercze teksty, nadawane z Anglii przez angielską aparaturę — przez inną angielską aparaturę były starannie zagłuszane. Może zresztą się mylę. W każdym razie, na podstawie współpracy w najbardziej wczesnych momentach, po dziś dzień uważam Anglików za mistrzów we współ-bytowaniu z innymi narodowościami, nawet z tak buńczuczną, jak nasza, i nie dziwię się, że mimo fatalnych okoliczności dotąd jeszcze utrzymują imperium.

„Tajne stacje” w Anglii w czasie drugiej światowej wojny zatrudniały ładne kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Na użytek „tajnych stacji” zarekwirowane były nieliczne cottage'e, tudzież zamki duków i lordów, gdzie stada antylop pasły się na trawnikach, a egzotyczne ptactwo roiło się na sztucznych jeziorach; do nich

zaliczała się też willa, do której minuta punkt dojeżdżało się samochodem, aby nagrać na płyty zawczasu omówione i napisane teksty. W tej willi rezydował jowialny, brytyjski pułkownik i dwie Angieleczki, jak laleczki, z którymi jakikolwiek aliant z punktu chciał mieć romans. Tak tam wszystko było urządzone i tak mądrze zsynchronizowane, że ani razu się nie zdarzyło, aby wolny Polak spotkał się z wolnym Włochem, wolny Włoch z wolnym Francuzem, wolny Francuz z wolnym Niemcem, wolny Niemiec z wolnym Serbem, a wolny Serb z wolnym Polakiem. Instalacja nadawcza była *first class*. Jak nam gościnnie tłumaczono: nadawane przez nas radiowe fale szły w niebo, odbijały się od nieba pod ostrym kątem i spadały prosto w rejon, o które nam najbardziej chodzi. Proszono bardzo, aby tej tajemnicy nikomu nie zdradzać. Nie zdradzaliśmy.

Na kilkadziesiąt tysięcy ludzi, pracujących w „tajnych stacjach”, oczywiście składały się nie tylko ekipy radiowe i owe panienki. Zaliczali się także podstuchiwacze wrogich i przyjaznych stacji, ściągacze tekstów, tłumacze, dyskomani, grabadarczy, szperacze, redaktorzy i zecerzy całej kupy „Digestów”, powiawiacze wiadomości od jeńców i od zbiegów, badanych w „Patriotic School” — autorzy „top secretów”, radiotechnicy, buchalterzy i płatnicy, a także samo falanga drivererek, speców językowych, kucht i bo ja wiem kto jeszcze. Można z czystym sumieniem zaświadczyć, że w tajnej wojnie radiowej na Wyspie Angielskiej brała udział cała potężna armia.

Ala co naprawdę zdumiewało, to *Cuda Wojny Radiowej*. Zaczodziło się w głowę, czemu nigdy „Voelkischer Beobachter”, ani „Izwestia”, ani też żadna rozgłośnia jawna i „tajna” z Niemiec i Rosji — nigdy nie demaskowały tej plejady tajnych stacji z Anglii i vice versa? Czemu nawet gazdiniówki w Polsce nie demaskowały „Switu”, chociaż, jak donoszono, „Swit” był solą w oku? Więcej powiem: prawa ręka Goebbelsa dr Schmidt pisał w „Das Reich” o „Swicie” kilka razy, a także samo prof. Tarle w moskiewskiej „Prawdzie”, ale żaden nigdy nie demaskował i odnosił się do „Switu” jak do rzetelnej stacji podziemnej? Nikt chyba nie powie, że prawa ręka Goebbelsa, albo prawa ręka Stalina, nie wiedziały, skąd idzie „Swit”?!

I jeszcze więcej: zacytuję dwa fakty, które mi utkwiły w pamięci, będące prawdziwymi cudami wojny radiowej. Istniała w rejonie „Switu” tajna stacja włoska, przeznaczona wyłącznie na użytek wojennej marynarki włoskiej. Ostatnie audycje tej stacji podawały jedynie kierunek i miejsce, do którego włoska eskadra na Adriatyku ma płynąć, żeby bezpiecznie oddać się w ręce Aliantów. Włoska eskadra szczęśliwie dopłynęła do celu i rozgłośnia Wolnych Włochów od tego dnia przestała istnieć. Nikt nigdy z tego powodu nie wyraził zdziwienia.

Drugi cud bodajże ciekawszy: Na francuskim wybrzeżu Niemcy uruchomili jawną rozgłošnię radiową, która się nazywała „Calais 2”. Przeznaczona ona była dla załóg niemieckich łodzi podwodnych na Atlantyku i dla garnizonów na Wale Atlan-

tyckim. Czas jej nadawania kończył się o północy. O godzinie 24 i pół minuty — „Calais 2” zaczynało nadawać dalszy ciąg audycji, ma się rozumieć po niemiecku. Trzeba było wiele razy tej nocnej audycji „Calais 2” słuchać, żeby się zorientować, że coś tam nie jest w porządku. Były wszystkie Achtungi i ostatnie komunikaty z kwatery Führera, grano najpiękniejsze niemieckie marsze i śpiewano najtkliwsze niemieckie pieśni — i tylko od czasu do czasu nadawano spis załogi łodzi podwodnej, która została zatopiona w pobliżu Cap Nez, albo też listę Niemców, którzy przez kanadyjskich komandosów zostali porwani w Normandii, albo treść kartki, jaką żołnierz niemiecki napisał do swojej Liebchen w Monachium. Żołnierz ma się rozumieć był autentyczny, numer jego pułku autentyczny i Liebchen autentyczna — tylko żołnierz już nie żył, albo też siedział w campie. I oto nawet tej nocnej „Calais 2” nikt nigdy, o ile mi wiadomo, ani w Niemczech, ani nigdzie nie dementował.

Tak samo, jeśli sobie przypomnę, że nasz major Bryson (pewnie już dziś źle piszę jego nazwisko) i później squadron leader Calder zawsze nam serdecznie radzili, żebyśmy nie demaskowali radiostacji Kościuszko, która rzekomo także mówiła z Polski — musiało przychodzić na myśl, że w czasie drugiej światowej wojny istniał swego rodzaju gentlemen-agreement, radiowy pakt nieagresji. W okresie powszechnego bij zabij, taka dobroduszość mogła wyglądać na cud.



Reminiscencje o „Świcie” nie mają żadnych pretensji do historycznych przyczynków i na pewno okażą się pełne przeoczeń i przegapięć, które z czasem, nie wątpię, przez innych zostaną sprostowane i uzupełnione. „Switowi” oddałem 2 lata życia, a „Swit” mi za to zaszczycił radiowego bakcyła, który przez dalsze 9 lat, już na drugiej półkuli, gna mnie co niedziela do studia...

Na wojnę radiową „Swit” był zaopatrzony świetnie. Obowiązkowe były miękkie fotele, obiad i podwieczorek z gongiem, oraz całe sterty „Digestów”, tajnych raportów, i kilkudniowe albo i dłuższe wizyty kurierów z Polski; a przede wszystkim zapewniony był dopływ depesz od łączników pracujących dla „Switu”, którzy z Warszawy, z ulicy Kruczej albo Wspólnej, ślali błyskawicowe skrótów do M. S. Wewn., a M. S. Wewn. w godzinę później telefonicznie przekazywało je nam.

Tych fundamentalnych dla nas depesz czasami było dużo, ale czasami mijały tygodnie i nic nie nadchodziło, myśmy się lekali, że Bóg wie co się dzieje, aż wreszcie nadchodziła depesza z cenami na czarnym rynku. Wielka była ulga i wielka wstępowała otucha, że misterna sieć naszych połączeń nie została zerwana. W martwych okresach, kiedy kraj milczał, musiała pracować imaginacja. Wówczas dopiero przydawały się „Digesty”, pieczołowicie dostarczane przez Foreign Office. W tych „Digestach” szczególnie upodobaliśmy sobie wiadomości, dotyczące

Szwecji. Jak jeden ze szwedzkich dzienników napisał (cytuję bzdaj dosłownie) : „Włosy dęba stają na głowie, gdy się słucha, że największe nasze tajemnice są znane w okupowanej Polsce”.

Częste przerwy w łączności z krajem — łatwo było zgadnąć — pochodziły nie z lenistwa, ale z trudności; raz trudność polegała na tym, że tam musiano zmieniać miejsca transmisji, albo czekano na nowe aparaty, a najczęściej trudność wynikała stąd, że naszych korespondentów wykryto przy pomocy samochodowych patroli zaopatrzonych w najnowsze niemieckie wykrywacze, no i nasi korespondenci znajdowali się na Pawiaku, albo na drugim świecie.

Martwiliśmy. Wieczorami chodziło się do pubu na drinka.

Moralny gryz, który od czasu do czasu „Świtowi” dojadł — rozgrzeszał się nie tyle służbą Jego Królewskiej Mości, ile wolą naszych premierów i Kierownictwa Walki Podziemnej. To ostatnie wielokrotnie nas upoważniało do przemawiania w jego imieniu.

Premier Sikorski nigdy w „Świcie” nie był i nigdy go w związku z „Świtem” nie oglądałem, choć tuż przed fatalnym odlotem anonsowana była jego wizyta. Premier Mikołajczyk też u nas nie był, natomiast załoga „Świtu” go co tydzień regularnie odwiedzała. Usus był taki, że po przyjeździe do Londynu, premier przyjmował urlopowicza późnym wieczorem w Prezydium Rady Ministrów i na osóbkach gadał co w Kraju, co w Anglii, a co w polityce międzynarodowej.

Tu wypada wyjaśnić rzecz delikatną, która w rozsierdzonej emigracji szczególnie zgrabnie musi być wyłożona na stół. „Świt” był, można powiedzieć, w resorcie ludowców, to znaczy członkami PSL-u były obsadzone stacje nadawcze, a także samo przy odbiorze depeesz w Londynie zasiadali PSL-owcy. Ale w praktyce, jak było w „Świcie”? Otrzymywane depeesz z kraju nie zdradzały partyjnego klucza i mieliśmy przekonanie, że nie ma w nich celowych omijań czy podkreśleń. Wielki za to żywiliśmy szacunek dla tych, którzy je redagowali i widzieliśmy w tym jawny dowód harmonii. Podobnie rzecz się miała z rekrutacją do „Świtu”. Ja np. nigdy nie byłem ludowcem, ani też mężem zaufania jakiegokolwiek frakcji, a szczególnym zbiegiem okoliczności tkwiłem w „Świcie” niemal od zarania, aż do jego zgonu. W naszym składzie bywali piłsudczycy, którym nikt nie przeszkadzał w nadawaniu przepięknych audycji w dniu imienin Marszałka, i byli w nim także pepeesowcy, którzy krzepili wspomnieniami o Daszyńskim i Niedziałkowskim — i byli, owszem, ludowcy, którzy znowu z pasją ujmowali się za chłopami, masakrowanymi na Zamojszczyźnie, tudzież płodzili piękne wiersze o Rataju i o Witosie; wszystko jednym słowem w „Świcie” było, zgrabnie się godziło i bynajmniej nie robiło wrażenia grochu z kapustą.

Podkreślam : nikt nam tej harmonii nie psuł, wprost przeciwnie. To co teraz napiszę, zastrzegam się kategorycznie, nie

będzie bazowane na żadnych takich czy innych orientacyjnych sympatiach, bo jeśli chodzi o partie, jestem i umrę, jako stare niemowlę. Opowiem, jak było. Pewnego dnia wśród depeesz krajowych, przetelefonowanych do „Świtu”, odebraliśmy jedną następującą treść: *Artykuły Zygmunta Nowakowskiego w „Wiadomościach Literackich”, atakujące politykę zachodnich aliantów, są cytowane w niemieckich gadzinówkach, specjalnie w I.K.C.*

Do tej depeesz wyjątkowo (nigdy się to dotychczas nie zdarzało) została załączona instrukcja z Londynu: *Należy Nowakowskiego przez „Świt” napiętnować.* Podpisał: *Banaczyk, minister spraw wewnętrznych.*

O ile sobie przypominam, mało się dyskutowało. Po prostu się nie nadało.

Mężowie zaufania ludowców nie protestowali. Owszem, było na ten temat gadu-gadu, że „Świt” nie wolno babrać w partyjnych animozjach i, że choćby nawet na rękę było Niemcom, co Nowakowski napisał, przeciw znowu Nowakowski o naszych aliantach tak bardzo nie zełgał.

Po tygodniu dzwoni telefon z Londynu: — Było o Nowakowskim? — Nie było. — No, to pan minister prosi, żeby zaraz przyjechać.

Mnie wypadło z kolejki. Pojechałem do p. Libermanowej. Ta czarna, żałobna Pani skierowała mnie gdzie należy. Przy stojny, łysawy człowiek wnet wystąpił ze zdumiewającym pytaniem: Kto jest ministrem, pan czy ja?

Ja nie. Więc ja jeszcze raz do pani Libermanowej. Ona mnie wprost do gabinetu premiera. Ja do premiera: Nie jestem ministrem, jednakowoż „Świt” nie mógł pójść za dyrektywą pana ministra, ponieważ wszyscy jesteśmy zgodni, że „Świtowi” taka rzecz nie uchodzi*).

Jak dziś pamiętam: premier Mikołajczyk kazał prosić ministra Banaczyka. Rzekł mu przy mnie: Od dnia dzisiejszego nie wolno panu ministrowi wtrącać się do „Świtu”. „Świt” nie należy do pańskiej kompetencji. — A do mnie rzekł: Mieliście stu procentową rację. — W ten sposób „Świt”, ja i Nowakowski ocalał, choć ten ostatni nie wiedział o tym.

Druga rzecz, która w tej chwili gwałtem przychodzi na myśl, to ów krytyczny moment, gdy Mikołajczyk podał się do dymisji i premierem miał być Kwapiński. Po złożeniu dymisji przez Mikołajczyka, Anglicy zamknęli „Świt”. Pojechałem ja do Londynu i o wieczornej porze zameldowałem się u pani Libermanowej. Mikołajczyk przyjął mnie w dużej sali, w której stały pod ścianami Tudory czy też Ludwiki — i ja zaraz z żalem, że „Świt” już nie ma. Wówczas raz jeden zobaczyłem rozsierzonego Mikołajczyka: Co te Angliki myślą! dopóki nie ma nowego premiera, ja jestem ciągle premierem, jadę natychmiast

*) W innym wariantcie rzecz się później powtórzyła z gen. Sosnkowskim, z jednakowym, jeśli chodzi o „Świt”, skutkiem.

do Edena! — Pojechał do Edena i wrócił nocą: — Niech pan wraca na wieś i nadawajcie dalej spokojnie, „Świt” tak jak był, tak będzie.

Więc wróciłem ja na wieś i moim markotnym kolegom dałem animuszu, że Mikołajczyk jest przekonany i tak samo Eden jest przekonany, że dymisja nie dojdzie do skutku, wobec czego „Świt” ma zapewniony dalszy żywot.

W jednym się sprawdziło, w drugim pomyliło. Mikołajczyk przestał być premierem, został nim, jak wiadomo, Tomasz Arciszewski, przy którym „Świt” istniał, ale dogorywał. Zamilkł w kilka miesięcy potem.

Mikołajczyk, już po swojej dymisji, chciał się ze „Świtem” pożegnać. Przyjechaliśmy do Londynu we trójkę, a on przyjął nas u siebie prywatnie i tam wypowiedział słowa, które dzisiaj brzmiałyby jak dziwoląg. Rzekł nam: *Byliście zawsze głosem rządu. Choć ja już nie jestem premierem, nie wolno wam podrywać w kraju zaufania do emigracji. Musicie w dalszym ciągu popierać rząd. Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś razem będziemy pracowali.* — I pięknie podziękował nam.

Tak samo pamiętam, że mniej więcej w okresie konferencji teherańskiej Mikołajczyk własnoręcznie napisał dwa artykuły do „Świtu”, które były odczytane z satysfakcją, jako że rąbał w nich Sowietów, można powiedzieć, „po matuszkie”. Bardzo się w nich mocno wyrażał. Tych artykułów nikt nie zagłuszał i słychać je było świetnie. Szczególnym trafem mam też ze sobą notatki z niektórych wieczornych konferencji z Mikołajczykiem, który mógł imponować żywotnością, bo po całodziennej pracy tak mnie sprawy klarował, jakby przed parlamentem, i ja mu przypominałem, że pora się zdrzemnąć, on nigdy. Otóż na podstawie tych notatek konstruuje o Andrzeju Witosie, który w tym czasie był przez Sowietów używany jako czołowe narzędzie propagandy; Mikołajczyk takie poddawał pomysły: *Powiedzcie w „Świcie”, że Andrzej Witos, ze Związku Osadników, który kandydował z listy sanacyjnej do sejmu, był skazany na śmierć w republice Komi. Napisał on do mnie, że ratując życie, podpisał deklarację, iż będzie służył NKWD. Zaproponujcie w „Świcie”, czy by tak Andrzej Witos nie zechciał przyjechać do Anglii, albo do Ameryki i zobaczymy wówczas, czy będzie tak samo mówił, jak stoi w „Prawdzie” i w radio Kościuszki.*

W szybkiej erze „Świtu” często już dochodziły szeptki, że Mikołajczyk zdecydował się na wyjazd do Polski. Ja temu nie potrafiłem wierzyć. Po prostu mnie taki finał nie pasował do kupy. Konkretna wieść o tym doszła mi już nie w Londynie, lecz w Montevideo. Wy tłumaczyłem ją sobie przy pomocy czarnego Kota: Wład Kotek na płotek i mrugnął.

Jeśli chodzi o świtowe audycje, z perspektywy patrząc, nie ma się czego wstydzić, z wyjątkiem, że wypadki okazały się silniejsze od słów. Ci, co te audycje zachowali w pamięci, wiedzą,

z jakim mazurskim uporem powtarzaliśmy stale i przy każdej okazji, że wybuch generalnego powstania *u nas* w Polsce musi być zsynchronizowany z głównym sztabem alianckim, że Armia Krajowa jest członem armii narodów sprzymierzonych i jedynie w ramach planu światowej strategii może być zarządzane popolite ruszenie. Bodaj w kilka dni po moim doszłowaniu do „Świtu” (rok 1942), wyrzeźbiłem slogan, który „Świtowi” służył aż do Powstania Warszawskiego: że nie dzwony Kremla będą nam głosić godzinę naszego zmartwychwstania! Tak samo pamiętam, jak obficie została wykorzystana odezwa angielskiego dowództwa, skierowana do mieszkańców wyspy Krety, aby kreteńczycy nie rzucali się z pięściami na okupantów niemieckich, tylko cierpliwie czekali hasła, które im będzie dane w odpowiednim momencie. Co dobre dla Kreteńczyków, dobre i dla Polaków. Aniołowie-stróże nawet okiem nie mrugnęli na taki argument.

O mającym wybuchnąć Powstaniu Warszawskim wiedzieliśmy na kilka dni przedtem. Pamiętam emocję, niepokój i strach.

Po wybuchu Powstania depesz z Warszawy zaczęliśmy otrzymywać obfitość, jak dotąd nigdy. Depesze napływały co pół godziny. Wymagało duże zatwardziałości, żeby je na gorąco przerabiać na tekst. Przerabiało się. Mówiło się. Dzień po dniu zrywało się gardło. Gardłem człowiek robił huk bomb i rozpadających się murów, oraz walkę, triumf i rozpacz. Robiło się w „Świcie”, co się mogło. *Orało się...*

Całe piekło warszawskie na małych zwitkach papieru przeszło przez nasze ręce. Czy te depesze istnieją gdzie jeszcze? Walki o Stare Miasto, i ulica Piusa z jeńcami przywiązany do Tygrysów i Panter, i wszystkie naloty Sztuków i wszystko po kolei. Obłądną radość z pierwszego nalotu awionów południowo-afrykańskich wraz z koniecznym żądaniem, żeby ogłosić, iż strąceni brytyjczycy zostali pochowani, jak relikwie; i codzienne biuletyny o zbliżaniu się i oddalaniu huku sowieckich armat. A gdy się miało pod koniec tego wszystkiego, dano znać o zrzutach sowieckich z amunicją, która nie pasowała do posiadanej w Warszawie broni. Jedną z ostatnich depesz pamiętam, jak dziś: *Powiedzcie, że jeśli nie ma dla nas broni i amunicji, ani żywności, ani nie możecie dać osłony lotniczej, zrzućcie nam lekarstwa dla dzieci. Dzieci wymierają z tyfusu i czerwonki.*

W czasie Powstania człowiek robił, co mógł, nateżał się jak umiał, grzmiał w mikrofon i zmordowany, jak nieboskie stworzenie, kładł się spać. Zwykle o nocnej porze przelatywały nad cottagem eskadry bombowców, lecących na kontynent. Człowiek słuchał i nie miał złudzeń. Mniejsza z tym.

W okresie Powstania, na temat Sowietów mówiło się wszystko, co gorzka ślina na język przyniosła, przy smętnym potakaniu Anglików. Z prawdziwym przerażeniem słuchaliśmy wówczas polskich audycji „Głosu Ameryki” (czy jak to się wówczas nazywało), w których Powstanie Warszawskie, zgodnie z komunikatem Tassa, było całkowicie ignorowane. Jak dziś pamiętam, kiedy padło Stare Miasto a my oklapliśmy — ówczesny „Głos

Ameryki, który mówi do jednego z narodów sprzymierzonych" wesolutkim głosem przez 15 minut słuchaczom swoim w Polsce opowiadał, jak to Magda ze wsi Ptsyie wykiwała gestapowca nazwiskiem Müller.

Niniejsze świtowe reminiscencje są chaotyczne i nie ma w nich żadnej inklinacji do chronologii ani do konstrukcji, są one spisywane w goniwie wspomnień.

Ze szczególną zaciekleścią „Świt” prowadził walkę udry na udry ze wspomnianą już „tajną” radiostacją Kościuszki, uplasowaną w głębi Związku Sowieckiego, w której bodajże, jak dziś wiadomo, rej wodził Putrament — a także często gęsto zawzinał się na największą w dziejach polskich k. Wandę Wasilewską. Było prozą i wierszem i na wszelkie sposoby, mocne jak chrzan i złośliwe, jak gaz łzawiący — a „Kościuszkę” nie pozostawał dłużny i walił w odwet po grubiańsku pudowym młotem. Tego „Kościuszkę” wysłuchiwało się ze słuchawkami na uszach, ponieważ był nagrywany na rolki. Po dwóch latach starć między „Kościuszką” a „Świtem”, ustaliliśmy w „Świcie” odwieczne prawo propagandy, a mianowicie, że jedyną skuteczną propagandę rychnuje sukces. Za naszą propagandą szły zwycięstwa w Afryce, następnie w Italii i Normandii — za ich propagandą zwycięstwa pod Smoleńskiem, a potem pod Wilnem, Lwowem i Lublinem. Bliższa koszula ciała, niż suknia. Mizerna i zgoła tępa propaganda „Kościuszki” nabierała praktycznego sensu, a nasza, bardzo wysmienita, rosła kwiatki.

Mocowaliśmy się także z marszałkiem Smutsem z Unii Północno-Afrykańskiej, który pierwszy zapowiedział podział świata na sfery wpływów. Temu Smutswi łało się wówczas przez „Świt”, choć on najmniej był winien. Także samo niedyskrepcje na temat konferencji w Teheranie, gdzie rzekomo nie miało być tajnych klauzul, a na której oddano Wilno i Lwów — gdy nas o tym doszło od towarzyszy Mikołajczyka z jego podróży do Moskwy, sprowokowało prawdziwą furję. Temat wyrwaliśmy sobie i podawaliśmy z rąk do rąk. Pod adresem naszych aliantów padły wówczas zarzuty tak ciężkie i tak hańbiące, że nawet nasi aniołowie-stróżowie cieszyli się, ponieważ nikt już teraz nie mógłby twierdzić, że „Świt” jest nadawany z Anglii.

Co do naszych aniołów-stróżów, wszyscy oni rozumieli i nie-źle mówili po polsku. Ów major Bryson, setny wiskacz irlandzki, miał wiele z polskiego szlachcica z czasów króla Sasa: dużo pił, dużo gadał i pozwalał sobie i innym na wszystko. Na kilka mil w około nie było pubu, gdzieby dla niego kiedykolwiek zabrakło whisky. W zamierzczłych czasach był on konsulem brytyjskim w Rydze, służył w carskim wojsku i w czasie pierwszej wojny światowej ponoć wysadził w powietrze most w Stambule.

Ten z nami w najlepszej konfidencji przez jakie 14 miesięcy zostawał, aż go wreszcie zabrała do Londynu jego władza. Długo jeszcze potem się z nim spotykałem w Londynie, ponieważ był członkiem Klubu Gurmandystów i znał się na rzeczy.

Na jego miejsce zjawiał się czarujący squadron-leader Calder, piękny mężczyzna, swego czasu jeden z pierwszych footballistów Cracovii, o którym Boy miło wspomina w swoich „Słówkach”. Ten starszy pan czarował nie tylko urodą, lecz także i wspomnieniami. Wspominał i stale nawracał, że takich kobiet jak w Polsce nie ma na całym świecie, on zaś ma prawo tak twierdzić, ponieważ za młodych czasów posiadał najpiękniejsze polskie aktorki. Ma się rozumieć był żonaty z najbrzydszą kobietą, jaką znalazł w Szkocji. Miał psiaka, którego z angielska po polsku nazywał Dżimuś, a naszych tekstów prawie nie czytał.

Intelekt brytyjski reprezentowali w „Świcie” przelotni goście, którzy przyjeżdżali na dzień lub dwa, zwozili kupę londyńskich plotek, pogadali o tym i o owym i znikali. Z tych ostatnich na pierwszy plan wybijał się oxfordzki profesor Osborne, tak zwany Haroldek, dziwny facet. Miał on zwyczaj wystawiać się wolno i z namysłem, czy to po polsku, czy po angielsku, a w trakcie mówienia leniwym ruchem odpinał rozporek, wkładał weń rękę i grzebał. Wyciągał z rozpornika fajkę, nabijał tytoniem i zapalał. Nie był to żaden „practical joke”, tylko tak mu było wygodnie. Znał się on podobno dobrze z rodziną Marszałkowej Piłsudskiej i był też znany w innych kręgach polskich, poza „Świtem”.

Ten właśnie Osborne z Oxfordu czy też z Cambridgu przyjechał raz z własnego napędu pomysłem. Wykombinował on mianowicie apel do polskich chłopek, w myśl którego miały one zatruć po wsiach wszystkie studnie: przyjdzie Niemiec wody się napije, napije się i wnet zdechnie, zbrodniarz! Tym łatwym sposobem Polska miała szybko odzyskać wolność.

Ponieważ „Haroldek” rzecz tę traktował poważnie i już ją przeprowadził przez Serwisy i Offisy, więc trzeba było coś począć. Pojechał jeden z nas do Londynu do gen. Sikorskiego, no i trucizna została wykluczona z programu. Zmartwiony Haroldek przez długi czas miał pretensję i nie pokazywał się w „Świcie”.

Swoją drogą, jako że „Świt” działał z Anglii, sama możliwość torpedowania pomysłów profesorów oxfordzkich jest godna przychylnej wzmianki. W jednym tylko wypadku Anglicy okazali się nieugięci. Pewnego razu otrzymaliśmy depeszę, że kilkudziesięciu jeńców brytyjskich, stacjonowanych w Polsce, umknęło z niewoli i doszłusowało do oddziału A.K., który działał, bodajże, w Górach Świętokrzyskich.

Ucieszyliśmy się z tej depeszy i chcieliśmy zrobić wiwat na cześć braterstwa broni polsko-angielskiego nie tylko pod Tobrukiem, ale i pod Kielcami — ale napotkaliśmy w tym względzie na stop! Mr. Calder i mr. Lily zaczęli się łączyć z Londynem,

potem gadali ze sobą, a potem po polsku i po angielsku rzecz przedstawili tak : Gdyby „Swit” nadał o ucieczce jeńców brytyjskich Niemcy z podwójną gorliwością zaczęliby ich ścigać i w ten sposób narazilibyśmy ich na jeszcze większe niebezpieczeństwo; wobec czego oni proszą, żeby braterstwa zaniechać. Zaniechało się.

Wspomniany mr. Lily, zastępca mr. Brysona a później mr. Caldera, był dla odmiany nudystą. Rozmowy polityczne lubił przeplatać opowiadaniem, jak spędził week-end w ulubionej kolonii nad Tamizą i jak tam sobie na nagusa odsapnął.

W okresie krótkiego śpięcia o jeńców brytyjskich — między nami, Polakami, trwały rozmowy o cenie legalizmu i o tym, ile Moskwa za legalizm gotowa jest w wolnościowej walucie zapłacić. Jeśli ktoś miał pecha być w przyjaźni z min. Grosfeldem, z panną Fiedlerówną, albo też z Retingerem, ten twierdził, że do porozumienia z Rosją bije ostatni dzwonek. Gdy się o tym dyskutowało, albo sprzeczało, mr. Lily zapominał o week-endzie i pilnie starał się zrozumieć, co kto mówi. Po rozproszeniu się towarzystwa na nocny spoczynek, on jeden się nie kładł, szedł na górkę i stukał. Jako że był drobną fiszką, nawet nie tań, że jego obowiązkiem jest pisać. W zacisznej willi stukot maszyny do pisania usypiał tak samo, jak szum bombowców, lecących nad kontynent.

„Ostatni dzwonek”, nie wiem jak gdzie, ale w „Świcie” był ulubionym wyrażeniem tych, którzy później zdali się na kondycje, a dzisiaj siedzą w ubowskich turmach. Jeden z nich, bardzo mnie miły, w kilka miesięcy później, już po „Świcie”, miał nawet zamiar przyjechać do Montevideo, żeby wspólnie prowadzić tutejsze Radio. W ostatniej chwili poszedł za głosem „ostatniego dzwonka” i przyjął wysoką szarżę w nowej Polsce. Od kilku lat jest zamknięty, lub już nie żyje. Bardzośmy się lubili. „Ostatni dzwonek” był dla niego.

Jednakowoż te dzwonki nie miały żadnego wpływu na fizjonomię „Switu”, bo sięgnąwszy pamięcią, wszyscy byli do końca, że tak powiem, jak lwy. Raz wprowadzona atmosfera walki ożywała przed mikrofonem, a naturalne w tych czasach rozterki nic nie miały wspólnego ze „Switem”.

Robiąc w tył zwrot, napomknę o Katyniu. Za stanowisko, zajęte w sprawie Katynia, „Swit” otrzymał szczególnie serdeczne podziękowanie z Kraju. Istotnie, w kręgu między Niemcami a Rosją, stanowisko „Switu” było dobitne, a jednocześnie politycznie nie głupie. Jak się dzisiaj widzi, bodaj było mądrzejsze od zajętego przez Rząd. Stanowisko to na naszym gruncie prze-forsował jeden „kropkowicz”, który niedługo po tym zbrzydził sobie i odszedł.

Tak samo palenie ghetta w Warszawie, obserwowane z godziny na godzinę przez pryzmat depesz, zrodziło szereg drama-

tycznych reportaży, a te, jako że robione na żywo, były źródłem natchnienia dla pryncypalnych agencji. Temat był żalotny, więc i autorska satysfakcja z tego powodu była nijaka, taka krucza czy sępia.

Ja się specjalizowałem w ostrzeżeniach, oraz w wyrokach śmierci. Nie znając języka niemieckiego, ćwiczyłem się w poprawności wymawiania nazwisk różnych Sturmführerów i Obersturmführerów, aby ich z właściwym umlautem nastraszyć. Te ostrzeżenia na nas samych robiły ogromne wrażenie. Tym bardziej, jeśli po nadanym ostrzeżeniu, przychodziła wiadomość o wykonanym wyroku śmierci. Owa kampania ostrzeżeń, prowadzona z ramienia Polski Podziemnej, siała panikę wśród dręczycieli na Pawia-ku, w Oświęcimiu, czy też w Majdanku. Jak nam depeszowano, zapobiegła niejednej zbrodni.

Jako że „Swit” podszywał się pod miano radiostacji podziemnej, więc celem głębszego utwierdzenia wiary, odwoływał się do „tryków”. Tryki zainicjowali Anglicy. Oto np. dramatycznie przerywali audycję w połowie zdania, co według nich miało znaczyć, iż przed nasze studio zajechało Gestapo. Tak samo zarządzali kilkudniowe, albo i dłuższe w transmisjach przerwy, co znowu miało znaczyć, że „Swit” się kryje w piwnicach. Gdy jeden z naszego zespołu przestał mówić w „Świcie”, Anglicy wystąpili z projektem, aby powiedzieć, że zginął w mękach. Nie zrobiliśmy tego. Na podobnych trykach ich dowcip się wyczerpywał. Wówczas przychodziła w pomoc nasza polska inwencja. Jedną audycję nadałem z psem na pulpicie, czarnym, szkockim terrierem, który się wiercił, skomlał i poszczekiwał. Pies jasno dowodził, że „Swit” nadaje z chłopskiej chaty, albo z podwórka. Również prokurowało się szyfry. W tych „szyfrach” była cała poezja, poziomki, rdza na zapałkach, trąby związane w trójkąt i bo ja wiem jakie jeszcze nonsensy. Te „szyfry” skandowało się heksametrem, aby łatwiej było uwierzyć, że chodzi o zakamuflowane rozkazy do wielce sekretnych akcji. — Hallo Brzoza, tu mówi Czeremcha! Hallo Czeremcha, tu mówi Brzoza! — Jeśli ktoś te szyfry brał na serio, musiał mieć ból głowy. Nigdyśmy z Polski nie dostali żadnej pochwały, ani nagany, za te błazeństwa. Człowiek się później kajał w samotności, ale jeśli się miał podszywać, lepiej się było podszywać dobrze, niż źle. Takeśmy się pocieszali.

Pocieszaliśmy się też depeszami, w których stało : „Autorytet „Switu” jest bardzo wysoki”. Takie było życie.

Rozgrzeszali nas też autentyczni ludzie z Polski, którzy przed miesiącem byli w Warszawie i nagle się znaleźli na świtowych fotelach. „Swit” gościł ich niemal wszystkich, bądź w charakterze przelotnych informatorów, bądź mówców, bądź na dłuższy czas zasiedziały autorów i rezydentów. Ich zadanie u nas polegało na dostarczaniu kolorów lokalnych i zaszczepianiu krajowej

atmosfery. Takiego bukietu straceńców nigdy już nie zobaczą moje oczy. Zjawiali się przywódcy podziemia z wybitymi przez Gestapo zębami, skromni wykonawcy wyroków śmierci, kurierzy stąd i kurierzy stamtąd, byli tacy, którzy czerwienili się i jękali, gdy przyszło mówić o własnych czynach, byli też tacy, którym wspaniała rzeczywistość wydawała się blada, wobec czego uważali za niezbędne błagować. Ale wszyscy byli autentyczni; o co jak o co, ale o autentyczność nie potrzebowałyśmy się turbować, każdy przeszedł przez dziesięć sit i był czysty, jak złoto: miał *Virtuti Militari* i ordery alianckie poza tym.

Właśnie ci autentyczni, siedząc z nami wieczorami w sitting-roomie, w czambuł nam dawali rozgrzeszenie, jako że, według nich, w nowoczesnej wojnie, jedni muszą strzelać, a drudzy siedzieć na d. i huknąć.

Miały też miejsce konferencje polityczne. Brał w nich zazwyczaj udział jakiś wybitny gość z Polski, albo jakiś wybitny doradca Premiera, jakoteż co pewien czas wybitny Anglik z Foreign Office, albo z Intelligence Service w randze generała. Na tych konferencjach nieodmiennie wałkowało się postawę wobec Sowietów, żeby wilk był syty i koza cała. Z satysfakcją sobie uprzytamniałem, że w obliczu brytyjskich fisz nikt z nas nie wspominał o „ostatnim dzwonku”, ani o „konieczności obrony narodowej substancji”, tak ludowcy, jak socjaliści, jak i ja „outsider” na temat Sowietów z Anglikami użerałymi się ząb za ząb. Dziś sądzę, że ta nasza zgoda była najbardziej instynktowna, wszystko co później przyszło sprawiły nieszczęścia, złe okoliczności i kłęski, nie zła wola.

Przyjechał też raz do „Switu” ambasador brytyjski przy naszym rządzie, Sinclair O'Malley, z którym akurat mnie zdarzyło się mieć krótkie spięcie. Tak było: Mr. Calder wydał dla niego obiad z „yorkshire pudding” i z rabarbarowym kompotem, w czasie tego obiadu Ambasador zabrał głos i tak się wyraził: „Wielka Brytania robi wszystko, co tylko w jej mocy, żeby uchronić Polskę od samobójstwa, a Polska wciąż uparcie pcha się pod stryczek”. Wyrwałem się przez stół: — *You, sir*, ma pan niewątpliwie na myśli rok 1939, kiedy Polska popełniła samobójstwo na skutek brytyjskich gwarancji? — Zrobiło się ciszej, potem zrećnie naprostowana rozmowa poszła w kierunku *savoir-vivre*'u, a mianowicie, czy ser winien być podawany przed deserem, czy deser po serze? Kto myśli, że mnie ten incydent popsuł szyki, ten nie zna Anglików! Po skończonym obiedzie mr. Mc. Laren i mr. Osborne i jakiś tam trzeci mister, nuż mi ostentacyjnie ścisnąć ręce, a sam pan ambasador zaczął ze mną serdeczną pogawrkę, pytał skąd ja, kto mnie rodzi i jakie jest moje samopoczucie. Na zakończenie zaprosił mnie na drinka w Londynie. Jak się też później okazało, właśnie ja byłem ostatnim Mohikaninem w „Swicie”. Anglosasi bowiem mają rzadką cechę, że ludzi szanują w proporcji, jak im za skórę leją.

Prowadziłem w tych czasach samochód, na którym był karton *On His Majesty Service*. Dwie rzeczy mnie najbardziej zdumie-

wały: ten karton i to, że gdy „Swit” nadawał fragmenty z „Irydioną”, mnie przypadła rola Masynissy; prędzej bym się kiedyś spodziewał zostać samurajem, niż Masynisą *on His Majesty Service*...

Bardzo byliśmy zadowoleni, jeśli któryś z naszych krajowych korespondentów, nie mając nic na razie pod ręką, depeszował, że w Warszawie deszcz pada. Natychmiast nadawaliśmy przez „Swit”, że dziś deszcz pada — a ponieważ deszcz istotnie padał, więc któż w Polsce mógł wątpić, że „Swit” razem nie moknie? A jeśli trafiali się niedowiarkowie, to i oni, słysząc o deszczu, musieli przeżywać podniosłe chwile, ponieważ deszcz istotnie padał, a jeśli „Swit” nawet o deszczu wiedział, tym bardziej musiał wiedzieć o krwi, która codziennie się lała. Deszcz, albo słońce, albo burza z piorunami — bardzo pomagały w patriotycznym szarlatanstwie.

W charakterze współpracowników przekreśliło się przez „Swit” chyba ze 20 osób. Nieliczni z nich byli od początku i niemal do końca, inni zabłądli jak meteory i znikli, byli też współpracownicy okresowi, którzy co pewien czas najspokojnie odlatywali do Polski. Zdarzali się też tacy, których współpraca nie trwała dłużej, niż kilka dni, bo z punktu się demaskowali, że mając wiele do powiedzenia, ani jednego zdania nie potrafią wykrztusić.

„Swit” był otoczony głęboką tajemnicą, a nawet atmosferą konspiracji (wśród Polaków w Strattonie i w Klubie Alianckim, nie wiem jak, ale się szybko rozniosło), otóż raz w głębokiej tajemnicy przystano nam nowego kolaboranta. Przyjechał onże, młody, ryżawy chłopak i oczy mu biegały, jak u wiewiórki. Wzięliśmy go do siebie i zaraz pokazaliśmy mu jego stolik i wolną maszynę do pisania. On mało mówił, niezgrabnie się kręcił, potem jednego z nas odciągnął na stronę i poprosił, żeby przed odlotem mógł obejrzeć spadochron. Miał on bowiem zwyczaj każdy przeznaczony dla niego spadochron własnoręcznie rozwinąć, sprawdzić i złożyć. Werbowany „w głębokiej tajemnicy” rozumiał, że ma natychmiast lecieć do Polski. Nie poleciał, ale następnego dnia już go u nas nie było.

Ostatnia polityczna batalia „Switu”, którą żywo się interesowali Anglicy, dotyczyła akcji A.K. Po wkroczeniu Sowietów na ziemie polskie, nadeszła sensacyjna depesza o wysadzeniu przez A.K. mostu na strategicznej rzece (nazwy sobie nie przypominam), co w znacznej mierze ułatwiło zadanie Czerwonej Armii. Anglicy uczepili się tej depeszy i robili z niej wielkie hallo!

Znowu zaczęły zjeżdżać z Londynu ważniejsze osobistości z rozjaśnionymi minami, twierdząc, że ten fakt nareszcie *musi* zmienić stanowisko Rosjan wobec Polski i Armii Podziemnej. Jedna audycja za drugą szła na ten temat; skrupulatnie się wyliczało wszystko od zarania, co dla „alianta naszych aliantów” zrobiła Armia Krajowa i jaka gorzka ją za to wszystko spotyka zapłata. Kiedy na tę polsko-angielską ofensywę nadeszło ze strony sowieckiej opryskliwe pokwitowanie w postaci depechy Tassa o „ścisłej współpracy A.K. z Gestapo i Wehrmachtem” — Anglikom opadły ręce i nie podniosły się już więcej. Odtąd rozpoczęła się wegetacja, trwająca aż do likwidacji „Switu”, co nastąpiło tuż przed konferencją jałtańską.

Z wcześniejszych czasów przypominam sobie batalię o „czerwonych Volksdeutsche”. To określenie, dawane przez prasę podziemną sowieckim agentom w Polsce, zdobyło obywatelstwo w „Świcie” i podpadło nie Anglikom, bo oni nawet nie rozumieli o co chodzi, tylko niektórym polskim osobistościom, które uznały je za prowokujące i nie polityczne. O tych czerwonych Volksdeutsche miała miejsce bodaj jedyna poważna scysja na gruncie „Switu”, w czasie której nasi Anglicy słówkiem się nie odzywali, tylko nadstawiali uszu. Mniejsza jakeśmy się wybroniли, dość, że „czerwoni Volksdeutsche” figurowali w programach aż do ostatniego dnia „Switu”.

Zresztą szczerze trzeba powiedzieć: piętnowanie i naigranie się z Niemców i przepowiadanie ich nieuchronnej klęski, wypływało z natury rzeczy i samo sphywało na papier; w tym mieliśmy ze wszystkich stron pomoc i potężnych sprzymierzeńców, nie potrzeba się było wysilać, żeby zadowolić chęć własną i chlebodawców. Natomiast w obliczu grozy, idącej od strony Sowietów, byliśmy nie tylko sami, ale mieliśmy przeciwko sobie cały świat. Skutkiem tego tematy sowieckie mobilizowały dodatkowy spryt, animusz i talenty, o jakich dotąd nie mieliśmy pojęcia. Robiło się rzeczy misterne, aby ostrzec, przedstawić, wykazać trudności położenia między sowieckim młotem a niemieckim kowadłem. Konieczność politycznego manewrowania powodowała, że „aliant naszych aliantów” budził więcej krwiożerczych instynktów niż jawny wróg. Jeśli wypadalo się liczyć ze słowami, dopomagało się intonacją i głosem. Wiadomo było, że z Niemcami prędzej czy później będzie szlus, a z tymi drugimi zapowiada się na długo i końca nie widać.

Myśląc o „Świcie” z perspektywy czasu, można dojść do wniosku, że Wielka Brytania przez długi czas stawiała na „polskiego konia”. Nie tylko istnienie „Switu” jest dowodem, że liczyła się ona z możliwością uwolnienia Polski własnymi siłami — ale przede wszystkim zastępy cicho-ciemnych, legiony spadochroniarzy, tajne lotniska i mozolny, a wielce kosztowny łańcuch wszelkiego rodzaju połączeń. Spaliło to wszystko na panewce z powodu wejścia do gry czynników przez Anglików nie przewidzianych, więc zrećnie i szybko otrzepali oni ręce. Polski koń, „Polish horse”, przegrał angielskie derby.

Nie wiem, czy ten światowy szkic wyjdzie komu na dobre. „Tajne” stacje pewnie i dzisiaj jeszcze są zaliczane do arsenału nowoczesnej broni w zimnej czy ciepłej wojnie, a taka niedyskrecja, jak ta, niezbędnej wierze podcina skrzydła. Chociaż niekoniecznie. Wiara ludzka ma to do siebie, że oplata się namiętnie wokół każdego źdźbła nadziei i jest nieczuła na doświadczenia i argumenty. Jeśli kiedyś zdarzy mi się słuchać tajnej stacji z Polski, może i ja będę namiętnie wierzył we wszystko, co powie.

Kończąc ten wspomnieniowy chaos, wyjałowiony z wielu miłych mi bardzo imion i nazwisk, podam treść jednej krajowej depechy, którą chyba dosłownie pamiętam:

W dniu wczorajszym Niemcy nakryli stacje, pracujące dla was. Wasi korespondenci zlikwidowani. Postaramy się utrzymać łączność.

Ostatnią audycję „Switu”, jak wspomniałem, nadawałem sam. Ani rusz nie mogę sobie przypomnieć, co stało w tekście, czy było jakieś pożegnanie, czy jakaś obietnica na przyszłość, czy tylko codzienne: dobranoc państwu! Z tej ostatniej audycji utkwił mi jedynie moment, kiedy po raz ostatni przyglądałem się złotym rybkom, pluskającym w hallowym basenie owej sekretnej willi, skąd szły nasze fale.



Ile lat od tego czasu minęło? Dziewięć z hakiem. Te następne dziewięć lat też się może kiedyś poproszą o szkiocownik, aby w nim z kolei skreślić perypetie małego radia na drugiej półkuli, które wyrosło ze „Switu” i dotąd żyje. Ale to w tej chwili już nie należy do rzeczy.

Czesław STRASZEWICZ

OSTATNIE WIADOMOŚCI

*Jedynе piśmo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec
Ukazuje się trzy razy tygodniowo.*

W każdą niedzielę dodatek.

*Korespondenci: we Francji, Wielkiej Brytanii, Włoszech,
Kanadzie, St. Zjednoczonych, Wenezueli, Argentynie,
Australii i Nowej Zelandii.*

Ogłoszenia: 1 cm. 1 łam. — 4,20 DM (1 dol.).

Za słowo w ogł. drobnych 0,20 DM (5 ct. am.)

*Redakcja, administracja, drukarnia:
17a, MANNHEIM-SANDHOFEN, 4094 LSCO Schoenau
US Zone, Germany.*

Kraj

Powrót

(Reportaż zmyślony)

Z uczuciem ulgi opadłem na fotel w pokoju Stefana. Dźwigam z trudem mój szósty krzyżyk i nie mam już sił na takie zebrań.

Stefan usiadł na łóżku i w milczeniu kręcił papierosa.

— No, jakie są twoje wrażenia po trzech dniach pobytu w Polsce — spytał po chwili.

— Nic nie rozumiem. Nie wiem po prostu od czego zacząć. Wszystko jest obce i dziwne. Gdyby Chińczycy porzucili chińszczyznę i zaczęli mówić po polsku — w Pekinie czułbym się podobnie jak dziś czuję się w Krakowie. Obecni krakowianie to jest etnicznie inny szczep niż ludzie, którzy mieszkali w tym mieście do września 1939 r. Wczoraj u Hawelki przyszło mi na myśl, że z tego miejsca nie pozostało nic prócz nazwy. Na sali nie było ani jednego starszego pana, ani jednego grubasa, ani jednego emeryta, któremu by się nigdzie nie śpieszyło. Publiczność składa się z typów o jednolitej tuszy, o jednolitym wyrazie twarzy i co dziwniejsze wydaje się, że wszyscy są w tym samym wieku.

Stefan uśmiechnął się znużenie.

— Coś w tym istotnie jest. Współcześni Polacy są rzeczywiście innym narodem niż ci ludzie wśród których żyłeś do r. 1939. Ale jak może być inaczej? Ci, którzy w 1939 r. liczyli sobie zaledwie dziesięć latek — dziś są po czterdziestce i rządzą państwem. Ludwik Suchar o którym musiałeś słyszeć, należy do tego pokolenia. Ci, którzy urodzili się w Polsce ludowej mają obecnie 30 lat. Innymi słowy ktoś dziś pamięta twójego Hawelkę — dziadkowie po 60-ce?

— Kto właściwie jest ten cały Suchar?

Stefan wyciągnął się na łóżku i podłożywszy ręce pod głowę patrzył w sufit.

— Odpowiem ci angielskim określeniem — to jest właściwy człowiek na właściwym miejscu.

— Ty w to wierzysz?

— Tak, ja w to wierzę.

Po krótkiej pauzie Stefan obrócił się na łóżku i roześmiał się.

— Masz wrażenie, że znów uderzyłeś nosem w szybę. Nie rozumiemy się...

— Dobrze, wobec tego przekonaj mnie, że Suchar jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Czy uważasz, że tak zbaraniałem w tym Londynie, że szkoda podejmować najmniejszego trudu by mnie przerobić na titoistę?

— Ach, skończ już raz z tymi emigranckimi bredniami! Suchar tylko w opinii waszych londyńskich tygodniczków jest „Titem”.

— Uf!! — westchnąłem ciężko. — Mój drogi, sąd o Sucharze urabiam sobie nie na podstawie londyńskich tygodniczków, tylko na podstawie tego co pan Suchar pisze i mówi. Oczywiście, że Titą nie jest gdyż stoi na czele prowizorycznego rządu i musiał się zgodzić na wolne wybory. Pan Suchar jednak...

— Daj sobie raz spokój z tymi „panami” — przerwał Stefan niecierpliwie. — Termin „pan” brzmi w Polsce lekceważąco, niemal obelżywie. Gdybyś w przedwojennej Polsce powtarzał „Jaśnie Oświecony Beck” to miałyby to ten sam szyderczy podźwięk. Ludzie z partii mówią i piszą towarzysz Suchar, wszyscy inni mówią i piszą Suchar. To jest ogólnie przyjęta reguła, która dotyczy wszystkich.

— Niech ci będzie! Rezygnuję z wszelkiej burżuazyjnej tytulatury. Wróćmy jednak do tematu. Otóż nie zaprzeczysz, że program Zjednoczonej Partii Robotniczo-Chłopskiej jest czystym „titoizmem” co oznacza, że jest zmodyfikowanym i znacjonalizowanym komunizmem. Po wypadku w sierpniu ubiegłego roku Suchar wypłynął na powierzchnię a gen. Graca, który stanął na czele wojska po ucieczce Rokossowskiego udzielił mu pełnego poparcia. Okazało się, że w ramach polskiej partii komunistycznej istniała od dawna zamaskowana frakcja „titoistowska”, która czekała na okazję, by objąć władzę.

— Człowieku, przestań już raz deklamować brednie londyńskiej prasy emigracyjnej! Tylko całkowity ignorant może twierdzić, że przed 1968 rokiem mogła powstać w PPR frakcja „titoistowska”, czy jakakolwiek inna. Suchar do sierpnia ubiegłego roku był komunistą i Titą gardził.

— Czy był takim samym komunistą jak ci co uciekli?

— Nie, nie takim samym bo nie uciekł!

— A dlaczego nie uciekł?

— Uciekali ci, którzy swą pozycję zawdzięczali wyłącznie poparciu Sowietów. Uciekali ci, którzy zdawali sobie sprawę z tego, że są znienawidzeni.

— Mój kochany, wybacz staremu londyńskiemu emigrantowi wrodzoną i nabytą tępotę, lecz jeszcze ciągle nie rozumiem zasadniczej sprawy. W ubiegłym roku, w sierpniu, wojska sowieckie wycofały się z Europy środkowo-wschodniej. Międzynarodowa komisja kontrolująca była już w Warszawie w połowie sierpnia. Byliście, mój drogi, w dosłownym tego słowa znaczeniu uwolnieni. Emigranci w Londynie z wypiekami na twarzach wyczekiwali godzinami przy aparatach radiowych wiadomości, że się zaczęło...

— Co się miało zacząć?

— Człowieku, przecież czekaliście na tę chwilę 23 lata! Czekaliście...

Stefan przerwał mi niecierpliwym ruchem ręki.

— Czekaliście na etiudę rewolucyjną Szopena, na powstanie, na bicie dzwonów. Ale przeciw komu mieliśmy powstawać? Rokossowski uciekł, gen. Graca objął dowództwo i utrzymał porządek w całym kraju. A wy tam w Londynie zamiast etiudy rewolucyjnej posłyszeliście głos Suchara, że trzeci plan sześcioletni musi być nadal realizowany. Ty jeszcze wciąż nie możesz tego pojąć, że Polska jest krajem przemysłowym. Uprzemysłowienie kraju wywarło wielki wpływ na polski charakter narodowy. Polacy dziś nie tylko inaczej myślą ale i inaczej czują niż przed trzydziestu laty. Wojska sowieckie wycofały się na ogół w porządku. Ale gdyby ze strony Rosjan były jakiegokolwiek próby sabotażu, wysadzenia fabryk czy elektrowni nie byłoby stąd unieśli całych głów. Wszyscy wiedzieli z radia, że wojskom sowieckim nie wolno niczego wywozić. Obserwowaliśmy ich czujnie lecz spokojnie wiedząc, że jakakolwiek prowokacja z naszej strony mogła wywołać wojnę, może krótkotrwałą i lokalną ale wojnę, która toczyłaby się na naszym terenie. My dziś w Polsce mamy niepomniernie więcej do stracenia niż w 1939 roku i nie chcemy niczego stracić, rozumiesz — nie chcemy!

— Cóż to za burżuazyjna filozofia...

Stefan roześmiał się.

— To jest filozofia społeczeństw przemysłowych. Najłatwiej na romantyczne gesty zdobywają się ci, którzy nie mają nic do stracenia.

Z kolei ja się roześmiałem.

— Jednym słowem według twojej opinii współcześni Polacy są rozważni, rachunkowi, trzeźwi, nie skorzy do uniesień...

— W pewnym sensie — tak. Ale nie wymagam od ciebie byś to wszystko kładł na karb rewolucji przemysłowej ostatniego dwudziestolecia. Mamy inną kulturę i dlatego panuje u nas inny styl. Ty pamiętasz Polskę o kulturze szlacheckiej i inteligenckiej. Tę kulturę przywykłeś uważać za wykładnik polskiego stylu życia i umierania. Przyjmij za pewnik, że ostatnim przeblyskiem i zarazem podzwonnym tego stylu było powstanie warszawskie.

— Dobrze. Na razie nie podejmuję dyskusji na ten temat, bo chcę rozgryźć tego waszego Suchara. Wydaje mi się, że mnie zrozumiałeś. Zapewne byli i tacy, którzy w sierpniu ubie-

głego roku siedząc w Londynie przy radiu czekali na insurekcję, na historyczne widowisko a raczej słuchowisko. Ale tych sentymentalnych starców zostawmy w spokoju. Mnie chodzi o co innego. Nie mogłem pojąć i przynajmniej nie rozumiem tego i dziś dlaczego, na miłość Boską, Polacy w Kraju nie odrzucają precz tego całego komunizmu czy titoizmu z jego obrzydłym żargonem i wszystkimi sześcioletnimi planami? Dlaczego — niemal po upływie roku od chwili uwolnienia nie ma tu u was normalnej, jak Bóg przykazał, demokracji? Czy wiesz — dziś w prasie brytyjskiej spotyka się opinie, iż było błędem mniemać, że ustroj komunistyczny w Europie środkowo-wschodniej utrzymywał się tylko dzięki obecności armii czerwonej. A teraz ten cały Suchar! Wydaje mi się, że jego partia, która jest spadkobierczynią PPR odniesie w nadchodzących wyborach przytłaczające zwycięstwo. W ten sposób bez niczyjego nacisku, w atmosferze swobody i na drodze wolnych wyborów, ufundujecie sobie Titę i titoizm. Przecież to jest szaleństwo!

Stefan westchnął ciężko i znużonym ruchem odgarnął z czoła siwiejącą gęstą czuprynę.

— Doprawdy nie wiem od czego zacząć — podjął po dłuższej pauzie. — Ale weźmy dla ilustracji moje życie. Przed wojną byłem — jak wiesz — nauczycielem gimnazjalnym w Krakowie. Nie należałem do żadnej partii politycznej. Sympatyzowałem ze Stronnictwem Narodowym — co jak pamiętam miałeś mi bardzo za złe. Po wojnie był wielki brak nauczycieli. Pochodzę z warstwy robotniczej, mówię po rosyjsku i dzięki tym i innym okolicznościom pracowałem w moim zawodzie do 1964 roku. Jak myślisz — czego ja uczyłem przez długich 20 lat moich chłopców? Historii — wiesz przecież, że studiowałem historię. Ale chyba zdajesz sobie z tego sprawę, że z moimi uczniami nie przebrałem Lewickiego ani Zakrzewskiego lecz wbijałem im do głowy „nową” historię.

Stefan zamilkł na chwilę.

— Wiesz — podjął z ożywieniem — przyszło mi na myśl doskonałe określenie. — W zamierzonej epoce okupacji hitlerowskiej, ludzi którzy współpracowali z okupantem w języku wytwornej publicystyki określano mianem kolaborantów. Otóż w stosunku do komunizmu my wszyscy byliśmy kolaborantami. Kolaborowali profesorowie uniwersytetów, dziekani wydziałów teologii, nauczyciele szkół średnich i powszechnych, pisarze, malarze, literaci, dziennikarze, księża, pastory i rabinowie, filozofowie, myśliciele, lekarze, architekci, inżynierowie, dentyści, adwokaci, grabarze, szoferzy — wszyscy. Rozumiesz — wszyscy. Siłą komunizmu nie są kadry i aktyw. Te zawsze są nieliczne. Siłą komunizmu są kolaboranci. Mój indywidualny dramat kolaboracyjny rozpoczął się dnia 1 września 1952 roku, gdy w szkołach średnich wprowadzono pierwszy prawdziwie marksistowski podręcznik Historii Polski Missalowej i Schoenbrennerowej. Wówczas myślałem, że po prostu nie przejdzie mi przez gardło zdanie, iż w 1920 roku „kapitaliści i obszarnicy polscy rozpoczęli

napastniczą wojnę przeciwko ZSSR". Ale jaki był przede mną wybór? Oświadczyć, że nie będę dzieciom wbijał do głowy fałszów? Po takiej deklaracji w 24 godzin wylądowałbym w obozie przymusowej pracy a moja rodzina znalazłaby się na bruku. Prosić o zwolnienie ze stanowiska bez podania powodów było niezmiernie podejrzane i praktycznie nie wykonalne. Mój Wacek był wówczas w czwartej klasie. Chłopak miał wielkie zdolności do matematyki i rysunków. Wiedziałem, że wyrośnie na doskonałego inżyniera. Nie kolaborować oznaczało zamknąć mu drogę do wszystkiego z wyższymi studiami łącznie. Pomyślałem sobie, że przecież mój syn nie będzie musiał zawierać żadnych kompromisów. Bez sprzeciwu i bez zdziwienia wyrecytuje na egzaminie wszystkie brednie z podręcznika historii a gdy skończy politechnikę będzie budował fabryki i nigdy nie zajrzy nawet do żadnego historycznego dzieła. Czy na to by być dobrym inżynierem, szczęśliwym w swoim powołaniu, musi się znać prawdziwą, niefałszowaną historię? Przez pewien czas znałem się z sobą czy go nie wtajemniczyć w moją tragedię, nie uświadomić. Ale uświadomić go — to pomijając wszystkie inne doraźne niebezpieczeństwa związane z takim krokiem — oznaczało wszczerzyć mu w duszę kompleks, który by go żarł, niepokoił i może spacył całe jego życie. W gruncie rzeczy to byłoby z mojej strony tylko potwornym egoizmem dyktowanym chęcią uczynienia go współwinnym zdrady Polski i tej historii, której on nie znał i nie pamiętał. Dlatego postanowiłem wówczas nie dzielić się moim grzechem ani z synem ani z jego rówieśnikami. Patrząc na krzepkich, twardych, nieskompleksowanych chłopaków w mojej klasie — myślałem, że jestem wykonawcą zła koniecznego. Na to by ci chłopcy mogli się uczyć matematyki, fizyki, chemii, rysunków — by mogli w przyszłości być lekarzami, technikami, chemikami — muszą przez kilka lat uczyć się sfalszowanej historii i wskutek tego muszą być ludzie, którzy tę sfalszowaną historię będą im wykladać. Możesz powiedzieć, że to jest oportunist. Ale obojętnie jak to się nazwie — nie było innego praktycznego wyjścia. Nasi ojcowie, którzy w carskiej Rosji kończyli gimnazja musieli studiować historię, której obiektywizm również pozostawiał wiele do życzenia.

— Przepraszam, ale to jest zupełnie mylna analogia...

— Oczywiście, że mylna — Stefan zachnął się niecierpliwie. — Nasi ojcowie mogli przecież studiować w Krakowie, w Paryżu w Londynie a biblioteki wszystkich stolic stały przed nimi otworem. Ale mój Wacek mógł ukończyć szkołę średnią tylko tu, w komunistycznej Polsce. Cały świat był przed nim zamknięty. Gdybym był wówczas w 1952 roku sentymentalizował i powiedział sobie, że nie przejdzie mi przez gardło, iż Piłsudski był faszystą i zdrajcą — mój syn nie byłby dziś inżynierem! Będzie Suchar czy nie będzie Suchara — Polsce potrzebni są inżynierowie. Znacznie bardziej są potrzebni niż historycy. To młode techniczne pokolenie odegra daleko większą rolę w życiu naszego narodu niż owa przedwojenna humanistyczno-lite-

racka inteligencja, która umiała tylko dyskutować po kawiarniach, bredzić o mocarstwowości tak jakby niepodległość była jedną wielką akademią i zbiorowym wieczorem autorskim.

— Zostawmy przedwojenną inteligencję w spokoju. Ona nie jest już dziś problemem tylko wspomnieniem. Mój drogi, z tego coś mi do tej pory opowiedział mogę w pewnej mierze odtworzyć sobie...

— Nie łudź się! — przerwał Stefan gwałtownie — nie jesteś w stanie niczego sobie odtworzyć. Nikt nie jest w stanie wyobrazić sobie stanu duchowego astronoma, którego zmuszono by w XX wieku nauczać młode pokolenie, że ziemia jest płaska a słońce jest wozem ognistym, który ciągną po niebie konie Apolina. Nikt nie jest w stanie wyobrazić sobie co oznacza wpajać w młode głowy fałsz. Ludzie rozmaicie reagują na tę torturę. Wszystko co jest w tobie zdrowe i normalne domaga się powrotu do normy to jest do prawdy. W tym okresie usiłowałem żarliwie przekonać samego siebie, że komunistyczna wykładnia jest wykładnią słuszną. Cóż to byłoby za szczęście móc w to uwierzyć! Najżarliwszymi wyznawcami są ci, którzy pragną, by ich przekonano, którzy chcieliby uwierzyć. Przez ten okres przechodzi każdy kolaborant. Każdy liczy bowiem na to, że z chwilą gdy stanie się komunistą z przekonania odzyska szacunek dla samego siebie. W moim wypadku nie było to możliwe. Nadeszła chwila w której zdałem sobie jasno sprawę, że nikt nigdy mnie nie przekona. Trzeba było zatem przystosować się do sytuacji. Kolaborant pierwszym kompromisem odcina sobie odwrót raz na zawsze. Wycofać się, zmienić zajęcie oznaczało ściągnąć na siebie i na rodzinę kataklizm i pogrzebać wszystkie nadzieje syna. W pierwszym bowiem, typowym okresie kiedy usiłowałem choćby częściowo przekonać samego siebie — wyrobiłem sobie dobrą pozycję i zdobyłem zaufanie dyrektora. Oficjalnie byłem już zbyt zaawansowany, by móc bez kataklizmu wycofać się z mojej kariery. I tak jest ze wszystkimi. Kolaboranci są najpewniejszymi filarami reżimu, bo boją się nie tylko Bezpieki ale i samych siebie. Są podwójnie ostrożni a ponieważ nie są z przekonania komunistami z obojętną lojalnością przyjmują każdą zmianę „linii generalnej”. Najwięcej kłopotu sprawiają reżimowi ideowi komuniści i oni a nie kolaboranci padają ofiarami czystek i „przesunięć”.

— Ale dlaczego, Stefanie, mówisz o tym wszystkim w czasie terazniejszym tak jakby ten koszmar jeszcze trwał — jakby jeszcze tej nocy mogli nas aresztować agenci Bezpieki. To wszystko na szczęście należy już do przeszłości. W tej chwili nie ma żadnych kolaboratorów, są wolni obywatele...

— Mylisz się! W Polsce są setki tysięcy a może miliony byłych kolaborantów i dlatego jest Suchar.

— Nie rozumiem...

— Ja wiem, że nie rozumiesz. Sympatyzowałem przed wojną ze Stronnictwem Narodowym...

— Tak, pamiętam.

— Wyobraź sobie teraz taką sytuację. Przyjeżdża tu do nas pan X z Londynu i ogłasza, że pragnie odbudować przedwojenne Stronnictwo Narodowe. Czy ty uważasz, że ja mógłbym wstąpić do Stronnictwa Narodowego? Po tym wszystkim, co pisałem, mówiłem, wykladałem, nauczałem. A może wyobrażasz sobie, że za te lata łamań i upodzeń powinienem się teraz kajać, spowiadać, opluć, odwołać, odszczekać i pozwolić się sądzić ludziom, którzy przez pobyt na emigracji stracili wszelką łączność z narodem i po powrocie winni nie sądzić innych ale przejść okres naturalizacji w nowej Polsce...

— Ależ, człowieku, nikt was nie będzie sądził.

Stefan roześmiał się z goryczą.

— Ja wiem, tacy jak ty gotowi są nam przebaczyć — przebaczyć wspaniałomyślnie, wielkodusznie bez sądu. Ale my nie chcemy żadnych przebaczeń, my nie chcemy waszej głupiej wspaniałomyślności! Teraz gdy już znasz moją historię z całą pewnością uważasz siebie za lepszego Polaka. Ty jesteś ten bez skazy, nie zbrukany żadnym kolaborantstwem. Ale jesteś bez skazy nie dlatego, że cię wykuto w greckim marmurze — tylko dlatego, że przez 20 lat trzymano cię w emigracyjnym futerale! Nie wiem, który z nas jest lepszym Polakiem i lepszym człowiekiem? Nie wiem jak byś się był zachował na moim miejscu? Może byś się upodlił niepomiernie bardziej niż ja — może pod wpływem terroru i strachu byłbyś donosił i szpiegował. Nikt z was nie może powiedzieć co by robił a czego by nie robił gdyby przez 20 lat tutaj przebywał. Ale w końcu nie o to chodzi. Faktem jest, że znakomita większość kolaborowała. Kolaborowali ludzie nie tylko naszego pokolenia ale i młodzi wychowani w tym reżimie. Ludzie nie rodzą się komunistami. Nawet po 20 latach nieprzerwanych rządów komunistycznych prawdziwych komunistów z przekonania było w Polsce bardzo niewiele. W państwie totalnej dyktatury komunizm jest religią wyznawaną przez niezliczonych ale praktykowaną przez wszystkich. Pytasz się dlaczego nie odżyły u nas przedwojenne partie polityczne, dlaczego największą popularnością cieszy się partia Suchara, którego program polityczny określasz mianem titoizmu? Mój drogi — gdyby nie było Suchara musielibyśmy go stworzyć. On „ratuje naszą twarz” jego polityka nie wymaga od nas opluwania naszej przeszłości. On nie wymaga byśmy uznali się za zdrajców i musieli potępić w czambuł minionie dwudziestolecie. Program jego partii różni się nieznacznie od titoizmu jednak różnice dotyczą rzeczy bardzo istotnych. Ale dzięki temu, że Suchar nie zrywa brutalnie z przeszłością dzień wyzwolenia nie stał się w Polsce dniem sądu i chaosu. Suchar buduje dla nas pomost po którym bez upokorzeń i nie zatruci kompleksem winy będziemy mogli wrócić do Europy...

— Pomost, powiedziałbym, dość dziwny...

— Co widzisz dziwnego w tym pomoście? W Polsce nie może być po 20 latach — przewrotu, może być tylko stopniowy częściowy odwrót. I to nie od wszystkiego! Mój drogi, wyobraź

sobie, że półtora roku temu kiedy nikomu nie śniło się jeszcze o wycofaniu Sowietów z krajów podbitych — wylądował w czapce „niewidce” w Krakowie. Rozmawiasz z ludźmi i słuchasz ich trosk, żalów i obaw. Czy sądzisz, że ludzie wdychali do demokracji, do konstytucji z 1935 r., do przedwojennych partii politycznych? Nie — ludzie pragną zawsze poprawy sytuacji bieżącej. Pragną by ich nie aresztowano po nocach, by nie więziono bez sądu, by nie prześladowano kościoła, by nie było szpicli, donosicieli i obozów koncentracyjnych. Ale zapewniam cię, że nikt nie pragnie by nasze fabryki, elektrownie, zakłady przemysłowe czy kopalnie wróciły w ręce prywatnych kapitalistów. Nikt nie życzy sobie również prywatnej wielkiej własności ziemskiej.

— Na to wszystko co mówisz mogę się zgodzić. Ale tego rodzaju polityka mogłaby doskonale wypływać z programu postępowej partii, która z titoizmem Suchara nie miała by nic wspólnego.

— Ach, Boże, ty w kółko z tym titoizmem! Ale dobrze, jeżeli ci to ma ułatwić rozumowanie zgódźmy się, że to jest polski titoizm. W końcu nie będziemy się sprzeczać o terminy i słowa.

— A więc tak — jeżeli cię dobrze zrozumiałem program Suchara jest niezbędny, by „chronić twarz” kolaborantów, by nie stwarzać powszechnego kompleksu winy. Innymi słowy według twojej opinii były kolaborant by nie popaść w żenującą sprzeczność ze swoją przeszłością może być titoistą a nie może być endekiem, liberałem, ludowcem czy umiarkowanym socjalistą. Ale mój kochany, zastanów się do czego to wszystko prowadzi? Byli kolaboranci by „ratować swą twarz” decydują się na dalszą kolaborację...

— Mówisz nonsensy, bredzisz, dosłownie bredzisz!! — krzyknął Stefan w najwyższej pasji. — Dziś nie ma mowy o żadnej kolaboracji. Program partii Suchara to jest to wszystko co z komunizmu chcemy i musimy zatrzymać. Zrozumi, że niezależnie od naszych życzeń i przekonania komunizm przeorał Polskę od korzeni, od podstaw. Narzucona rewolucja jest także rewolucją. Można by dyskutować nad tym czy w r. 1949 możliwy był jeszcze powrót do układu zbliżonego do sytuacji sprzed 1939 roku. Osobiście sądzę, że już w 1948 roku było na to za późno. Lecz dziś po 20 latach można tylko układ i strukturę naszego państwa uformowaną przez komunizm dostosować do nowej sytuacji. Owe zmiany, które są wyrazem tego procesu dostosowania, są olbrzymie w swej istocie choć nie jest ich wiele. I dlatego ty tych zmian nie dostrzegasz i wydaje ci się, że właściwie nic się nie zmieniło. W programie Suchara pozostał państwowy socjalizm — zniknął totalizm. Nikogo u nas nie wolno więzić bez sądu, nie ma obozów koncentracyjnych ani Bezpieki, kościoły wszystkich wyznań mają pełną swobodę działania. Ale zechciej wreszcie pojąć, że dziś w Polsce po prostu nie ma ani endeków, ani piłsudczyków, ani ludowców. Wszyscy pragną liberalizacji tego ustroju jaki jest i nikt nie zamierza obecnemu ustrojowi prze-

ciwstawiąc jakiegoś fikcyjnego programu, który nie miałby żadnego związku z rzeczywistością.

— Państwowy socjalizm — jak ty to ogólnie określasz — jest nie do utrzymania bez dyktatury a dyktatura jest nie do pogodzenia z demokracją.

— Nie jestem tego taki pewien. Ty, mój drogi, przywykłeś identyfikować dyktaturę z rządami jednej partii. Ale to bynajmniej nie jest regułą. Weźmy dla przykładu Kanadę. Partia liberalna sprawuje tam rządy od 1935 r. i w każdych powszechnych wyborach od 30 lat zdobywa przytłaczającą większość w parlamencie. Kanada pierwsza w nowoczesnej historii dostarczyła przykładu, że możliwy jest ustrój demokratyczny jednopartyjny. Jeżeli przypomnisz sobie co działo się w wielopartyjnych demokracjach europejskich a zwłaszcza we Włoszech i w Francji to kto wie czy ocalenie demokracji nie leży na drodze, którą obrała Kanada. U nas w Polsce wielopartyjny system jest nie do odtworzenia. Komunizm tak nas zniwelował, że pragnienia i dążności ludzi są niemal identyczne. Osobiście przypuszczam, że partia Suchara zdobędzie 80 % mandatów w sejmie a tych kilka opozycyjnych grup, które ostatnio powstały — połączą się w jeden blok. Nie wierzę, by ten blok opozycyjny szybko wygrał wybory i doszedł do władzy. Robotnicy przemysłowi, majstrowie, technicy, inżynierowie — to jest u nas klasa rządząca. Tobie się wciąż wydaje, że Suchar jest rewolucjonistą. Jeżeli tak myślisz jesteś w wielkim błędzie. Suchar reprezentuje ciągłość w oparciu o zliberalizowany „status quo”. Musisz również wziąć pod uwagę, że rola partii rządzącej w takim państwie jak Polska nie da się nawet przyrównać do roli partii w demokracjach zachodnich. Partia Suchara jest głównym biurem planowania przemysłowego, jest organem, który kontroluje administrację i biurokrację tego olbrzymiego kombinatu przemysłowego jakim jest Polska. Powiedz mi jaka inna polska partia polityczna mogłaby się dziś podjąć tego zadania? Gdyby partia Suchara odeszła a jej miejsce zajęli tacy gentlemani jak ty — wszystko by stało się. Tylko partia Suchara posiada doświadczenie konieczne do prowadzenia tego gigantycznego zespołu fabryk i zakładów przemysłowych, które tworzą współczesną Polskę. Amerykanie zorientowali się natychmiast w sytuacji i udzielili pełnego poparcia Sucharowi. Fabryki muszą iść — pełne zatrudnienie musi być utrzymane. Jednym słowem — uwolnienie tak, demokratyzacja ustroju tak, ale nie kontr-rewolucja.

Zamilkliśmy. Stefan zapalił nowego papierosa i pociągnął łyk zimnej herbaty z szklanki, która stała na stolyczku obok łóżka.

— To jest naprawdę zdumiewające — podjął po chwili — do jakiego stopnia fałszywy obraz kraju urobiliście sobie na emigracji. Przez tych ubiegłych, długich dwadzieścia lat waszego propagandowego oberka zaczynaliście nieodmiennie od pieca — niepomni, że ów piec istniał już tylko w waszych wspomnieniach. Nie zauważyliście, że piec zburzono i że narodowy taniec

należy kontynuować od tych kominów, który w międzyczasie tu zbudowano. Mielicie instytuty badań spraw krajowych i wydałicie dziesiątki tomów poświęconych Europie środkowo-wschodniej. Wiedzieliście wszystko ale niczegoście nie rozumieli! Komunizm wydawał się wam narodzić na ciele narodu. Sądziliście, że wystarczy analizować objawy, rejestrować kliniczny obraz choroby i wygotować lancety. Ale socjologia to nie medycyna. Nie zdobyliście się na trzeźwy i ludzki sąd i nie wydobyliście z polskiej rzeczywistości przemian nieodwracalnych. Na emigracji nie napisano ani jednej rozprawy, która byłaby próbą odpowiedzi na zasadnicze pytanie: jak będzie wyglądała Polska po uwolnieniu? Które z przemian należy uznać za nieodwracalne i jakie z owej nieodwracalności wypływają konsekwencje polityczne, ekonomiczne, socjalne i psychologiczne? Nie zdobyliście się ani na jedną próbę rekonstrukcji nowego oblicza Polski. Cała wasza uwaga skupiona była na chorobie a natomiast głębokie przemiany jakie zachodziły w samym pacjencie kwitowaliście głupim frazesem, że „naród trwa” lub, że „Kraj trzyma się znakomicie”. Doprawdy gdy dziś przegładam wydawnictwa emigracyjne widzę dopiero w pełni, że „żelazna kurtyna” dla nikogo nie była tak nieprzenikniona jak dla was.

Zamilkliśmy. Spojrzałem w okno — dniało. Wstałem z krzesła by rozprostować kości. Podeszedłem do okna i otworzyłem je szeroko. Odetchnąłem miękko, różowiejącym powietrzem krakowskiego przedświt.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Gdynia - Tientsin

Po raz pierwszy w historii Polska i Chiny znalazły się równocześnie pod wpływem tej samej ideologii polityczno-społeczno-ekonomicznej i tego samego centrum dyspozycyjnego. Wyrazem tego stanu rzeczy w dziedzinie gospodarczej jest m.in. Chińsko-Polskie Towarzystwo Maklerów Okrętowych Sp. z o.o., założone w 1950 r.

Siedziba Towarzystwa mieści się w Tientsinie (158 Ma Chang Dao; telefon 30-7 5 2; adres telegraficzny — „Chipolbrok — Tientsin”); przy Centrali znajduje się polski przedstawiciel. W Gdyni (przy ul. 10 Lutego Nr 24) mieszczą się biura Oddziału Towarzystwa Maklerów, przy którym stale urzęduje chiński Superintendent z ramienia Centrali w Tientsinie; dyrektorem Oddziału gdyńskiego jest Polak.

Nasze przedwojenne możliwości na morzu były szczupłe, a działalność handlowa mała, toteż statki polskie były rzadkimi gośćmi na wodach Dalekiego Wschodu.

Po wojnie komunistyczny reżim w Polsce zwrócił wielką uwagę na rozwój marynarki handlowej i trzeba przyznać obiektywnie, iż osiągnął w tej dziedzinie poważne rezultaty. Toteż w Bloku Wschodnim polska marynarka handlowa zajmuje drugie miejsce, pod względem tonażu, po Związku Sowieckim.

Chiny komunistyczne posiadają flotę małą, i nie mają możliwości swobodnego poruszania się po morzach daleko-wschodnich wobec panującej tam sytuacji polityczno-wojskowej, której głównym wyrazem jest rząd nacjonalistyczny na Formozie. Chiny były zatem początkowo zupełnie odizolowane od reszty świata i trzeba było tej sytuacji w jakiś sposób zaradzić: w tym celu postanowiono uciec się do „kombinacji” polsko-chińskiej.

Ile w nawiązaniu tej polsko-chińskiej współpracy na morzu było woli dyrygentów ekonomicznych Kremla, a ile naturalnych, spontanicznych inicjatyw ze strony zainteresowanych krajów, tego nie można ustalić, jako że nie znane są protokoły z przeprowadzonych pertraktacji na temat tej współpracy. Na podstawie licznych wypowiedzi ludzi, którzy mają możliwość obserwowania efektu tej współpracy, należy sądzić, że została ona Polsce narzucona, że nie Polska lecz Chiny czerpią z niej realne korzyści, że cała ta inicjatywa jest czynnikiem negatywnym w polskiej narodowej ekonomii, że pierwsze skrzypce grają w niej Chińczycy a nie Polacy.

Rozpoczęcie rejsów do Chin poprzedzone było w Gdyni, w lecie 1950 r., dużym „szumem” propagandowym.

W interpretacji gdyńskich politruków rejsy chińskie miały mieć na celu nawiązanie stosunków ekonomicznych, politycznych, społecznych i kulturalnych pomiędzy dwoma zaprzyjaźnionymi krajami.

Inspektorat Okrętowy ówczesnego G.A.L.-u (późniejszego Polocan'u) wyznaczył statek s/s „Warta”, który — jako ambasador Polski ludowej — miał się udać w pierwszy inauguracyjny rejs do Chin, Wang Tao, Tsingtao, Tientsin, Taku Bar i Dairen, wioząc pierwszy ładunek i „gorące pozdrowienia od narodu polskiego narodowi wielkich ludowych Chin”!

S/s „Warta” został odesłany na gruntowny remont do stoczni naprawczych w Szczecinie. Ponieważ jednak organizacja techniczna nie dopisała, remont został zakończony z dwutygodniowym opóźnieniem, co spowodowało poważne komplikacje, gdyż wiele ładunków do Chin z portów zachodnio-europejskich na skutek tego opóźnienia — odpadło.

Zwrócono również wielką uwagę na dobór załogi, która miała być zaokrętowana na ten statek-ambasadora: Wydział Załogowy w Gdyni otrzymał polecenie, aby wyznaczona załoga przedstawiała kwiat personelu pływającego, zarówno pod względem zawodowym jak i ideologicznym. W praktyce jednak przeważało kryterium ideologiczne, toteż — zupełnie obiektywnie oce-

niając — załoga s/s „Warty” pod względem wykształcenia fahowego była poniżej średniej, na jaką w 1950 r. było stać marynarską reżimową.

Także i remont, pomimo dwutygodniowego opóźnienia, nie został przeprowadzony należycie, gdyż już w pierwszych dniach żeglugi urządzenia chłodnicze przestały funkcjonować i nikt z załogi maszynowo-technicznej statku nie umiał ich naprawić, wskutek czego wielka ilość świeżego prowiantu została, po sporządzeniu „rytualnych” protokołów, wyrzucona do morza.

Załoga s/s „Warty” została przyjęta we wszystkich portach chińskich, do których statek zawinął, z wielką pompą i gościnnością. Przyjęcia, przemówienia, zwiedzanie zabytków itd. — wypełniły program pobytu polskiej załogi w Chinach. „Chińczycy naprawdę postawili się. W pewnych momentach odnosiło się wrażenie, że to wszystko jest naturalne i normalne, że Polacy i Chińczycy to przyjaciele starej daty. Atmosfera przyjęć, przemówień, rozmów była do tego stopnia przekonująca. Opuściliśy Chiny zupełnie oczarowani”... — tak określił ten pobyt w Chinach jeden z załogi s/s „Warty” po powrocie do Gdyni.

Po s/s „Warcie” poszły w rejsy następne statki. Organizacja poprawiła się i obecnie co miesiąc przeciętnie 12 statków opuszcza Gdynię w kierunku na Chiny i tyleż przybywa z Dalekiego Wschodu do Gdyni.

Zadania polskiej marynarki handlowej w ramach działalności Chińsko-Polskiego Towarzystwa Maklerów Okrętowych są dwa:

- 1) — transporty materiałów z portów europejskich do Chin oraz:
- 2) — transporty towarów z portów daleko-wschodnich niekomunistycznych do Chin i vice versa.

W konsekwencji, pewna ilość statków odbywa rejsy na linii Gdynia — Chiny, podczas gdy inne statki są na stałe lub na pewien dłuższy okres odkomenderowane na wody Dalekiego Wschodu, jak np. m/s „Przyszłość”, s/s „Przyjaźń Narodów”, s/s „Braterstwo”, m/s „Pokój”, s/s „Jedność” itd.

Zadaniem pierwszej grupy statków są transporty do Chin nie tylko polskich towarów, lecz także sowieckich, czechosłowackich, węgierskich, niemieckich, szwajcarskich, włoskich, a wreszcie belgijskich, angielskich czy holenderskich, jak również transporty chińskich produktów do różnych państw europejskich.

Żaś zadaniem statków odkomenderowanych na Daleki Wschód i pozostających w bezpośredniej dyspozycji Centrali Towarzystwa w Tientsinie jest przede wszystkim transport kauczuku z Colombo i Rangoon do portów chińskich, jak również eksport chińskich towarów na rynki Dalekiego Wschodu, gdzie Chiny komunistyczne mają swobodę operacji handlowych.

Zajmijmy się teraz szerzej tymi dwoma zadaniami.

Statki polskie, które transportują towary z Europy do portów chińskich, zabierają je z reguły z Gdyni. Towary nie polskiego pochodzenia, szczególnie towary z zachodniej Europy,

przychodzą naprzód do Gdyni na polskich lub obcych statkach i są w Gdyni przeładowywane na te statki polskie, które idą w daleko-wschodnie rejsy. Dzisiaj rzadko się zdarza, aby polski statek, w drodze z Gdyni do Chin, zatrzymał się w porcie zachodnio-europejskim po zabranie ładunku, jak to zdarzało się jeszcze w 1951 r., gdy bezpośrednio z portów holenderskich czy belgijskich polskie jednostki handlowe brały towary dla Chin. Od dwóch lat z reguły wszystko to, co na statkach polskich płynie do Chin, przechodzi przez Gdynię, gdzie, jak powiedzieliśmy, mieszczą się biura Oddziału Towarzystwa Maklerów (innych zresztą oddziałów Towarzystwo w Europie nie posiada) i gdzie organizacja spedycyjna „Hartwig”, z siedzibą główną także w Gdyni, jest centralnym europejskim organizatorem wszystkich transportów z Europy do Chin na statkach polskich.

Nawet gdy dokumenty załadowcze, wystawione w portach zachodnio-europejskich, podają odbiorców w portach chińskich i operacja handlowa ma charakter zupełnie oficjalny i legalny, towary idą wprawdzie do Gdyni, na adres „Hartwig'a”, a dopiero potem do Chin.

Wiele towarów ze Szwajcarii (poprzez port w Genui lub porty holenderskie i belgijskie), z Włoch, Holandii, Belgii, a nawet z Anglii wysłano w ten sposób do Chin.

Po opuszczeniu Gdyni statki polskie udające się do Chin, unikają portów zachodniej Europy. Jedyńm wyjątkiem, o ile nam wiadomo, są nieliczne statki, które dla uzupełnienia paliwa zatrzymują się na kilka godzin w porcie Augusta (na Sycylii), aby w dalszej drodze nie korzystać z innych źródeł zaopatrzenia.

Rejsy statków polskich na linii Gdynia — porty chińskie nie są uwzględnione w miesięcznych rozkładach (sailing schedules) polskiej marynarki handlowej, jak to jest w zwyczaju w odniesieniu do innych linii żeglugowych. Dotyczy to również i statków polskich odkomenderowanych na wody Dalekiego Wschodu.

Nie ulega wątpliwości, iż w ten sposób zorganizowana wysyłka towarów ma na celu utrzymanie dostaw do Chin w atmosferze jak największej konspiracji wobec zagranicznych obserwatorów. Mamy powody do twierdzenia, że w Gdyni, poza chińskim Superintendentem, kilkoma funkcjonariuszami „Hartwig'a” oraz może dyrektorem Polocean'u, nikt nie posiada pełnego obrazu transportów z Europy do Chin na statkach polskich.

Dlatego też nie wiele możemy powiedzieć na ten temat. Na podstawie fragmentarycznych danych wiemy, że Polska wysłała do Chin tekstylia, maszyny rolnicze, maszyny elektryczne, instrumenty pomiarowe różnych typów, produkty chemiczne i farmaceutyczne, szyny kolejowe. Z Czechosłowacji idą maszyny i samochody. Rosja i Węgry oraz powyżej wspomniane kraje zachodnio-europejskie eksportują bliżej nieokreślone produkty przemysłu maszynowego, elektrycznego i chemicznego. Ale ponieważ tego rodzaju materiały są zwykle w dobrze zabitych skrzyniach,

na których brak określenia zawartości, nawet załoga statków nie jest w stanie powiedzieć, jaki ładunek ma w lukach.

Czy statki polskie transportowały względnie transportują materiały wojenne do Chin? Na pytanie to trudno odpowiedzieć twierdząco, ale i trudno mu zaprzeczyć. Wydaje się jednak, że raczej unikają one transportów o charakterze wojennym.

O transportach z Chin do Europy danych dokładnych nie mamy. Nie przedstawiają one jednak z całą pewnością nic osobliwego i podobne są do ładunków, które można spotkać na statkach angielskich, szwedzkich, duńskich, holenderskich czy norweskich, stale uprawiających rejsy na linii do Chin i odwrotnie. Czechosłowacja otrzymuje czasami pszenicę chińską, którą statki polskie wyładowują w Gdyni lub Szczecinie; Polska — herbatę, jelita baranie, sierść, soję.

W drodze powrotnej do Gdyni statki polskie zachodzą swobodnie do portów zachodnio-europejskich, w zależności od przeznaczenia posiadanych ładunków. Ich powrót z Chin — innymi słowy — nie jest otoczony taką tajemniczością, jak wyjazd z Gdyni i rejs na Daleki Wschód z ładunkami europejskimi.

Co się tyczy statków polskich, przebywających stale na wodach Dalekiego Wschodu, to ich głównym zadaniem jest transportowanie gumy z Colombo i Rangoon do portów chińskich. Nie możemy przytoczyć żadnej pełnej statystyki, która by zilustrowała liczbowo ilości gumy, dostarczonej Chinom komunistycznym w ostatnich latach. Statystyki eksportowe portów w Colombo i Rangoon jednak powinny być komuś dostępne.

Ale pewien obraz sytuacji da nam tabela porównawcza eksportu kauczuku z Colombo do Chin komunist., Stanów Zjedn. i Wielkiej Brytanii w listopadzie i grudniu 1952 r. (Cyfry podane przez jeden z dzienników ceylońskich) :

Kraj	w listopadzie 1952 r.	w grudniu 1952 r.
Chiny komunistyczne	6.750.000 lbs.	13.500.000 lbs.
Stany Zjednoczone	3.124.904 „	3.397.794 „
Wielka Brytania	2.724.403 „	1.545.403 „

Cyfry powyżej podane oraz późniejsze informacje wykazują, że Chiny Mao Tse Tung są największym odbiorcą ceylońskiego kauczuku. Jeżeli się zważy, że dzięki statkom polskim dostawy kauczuku z Ceylonu i Burmy docierały do portów chińskich, wówczas łatwo zrozumieć, jak wielkie znaczenie mają statki polskie w służbie Chin ludowych.

Oprócz tego statki polskie transportują do Chin inne surowce i materiały z portów daleko-wschodnich nie komunistycznych i odwrotnie : chińskie towary płyną na statkach polskich do portów południowo-wschodniej Azji.

Nie wiadomo czemu przypisać, że dotychczas żaden statek polski nie został zatrzymany przez jednostki wojenne z Formozy, skoro znane są represje wobec statków brytyjskich, włoskich, duńskich itd. Wiemy jednak, że dyrekcja Polocean'u ostrzegła

kapitanów polskich przed możliwością zatrzymania polskich statków przez pościgowce narodowych Chin z Formozy.

Wszystkie statki polskie, pływające w ramach polsko-chińskiej współpracy morskiej, idą pod polską banderą handlową i znakami Polocean'u (P.L.O. na tle trójkątu). Są jednak zasadnicze różnice w składzie załóg pomiędzy statkami pływającymi na linii Gdynia — Chiny a statkami odkomenderowanymi na wody Dalekiego Wschodu.

Typowy skład załogi przedstawia się następująco : na statkach, pływających na linii Gdynia — Chiny załoga jest polska, z małym odsetkiem marynarzy greckich, pochodzących z byłych oddziałów Markosa, którzy w Polsce znaleźli schronienie i pracę. Natomiast na statkach odkomenderowanych na morza chińskie załoga jest mieszana polsko-chińska, a skład jej jest określony umową polsko-chińską.

Dla przykładu podam skład załogi m/s „Pokój”, który po dłuższym pobycie na Dalekim Wschodzie, przybył kilka miesięcy temu do Gdyni (według informacji otrzymanych w Polocean'ie, skład załogowy na innych statkach tej grupy jest taki sam) : kapitan — Polak; 1-szy oficer — Chińczyk; dwóch oficerów K.O. (politruków) : Polak i Chińczyk; załoga pokładowa — całkowicie chińska; załoga maszynowa — całkowicie polska; dwóch kucharzy : Polak i Chińczyk.

Liczbowo skład przedstawiał się następująco : na 45 ludzi (z kapitanem włącznie) — 22 Polaków + 2 Greków oraz 21 Chińczyków.

Ze składu załogi łatwo wywnioskować, że na statkach odkomenderowanych, choć dowództwo pozostaje w rękach polskiego kapitana, praca jest podzielona pomiędzy Chińczyków i Polaków. Ponieważ statek jest własnością Polski — maszyny pozostają w pieczy polskiej; ponieważ eksploatacja zależy od Chińczyków — na pokładzie pracują wyłącznie Chińczycy (warto przypomnieć, że na statkach towarowych 1-szy oficer pełni równocześnie funkcję oficera załadowczego); ponieważ różne tradycje kulinarne — stąd potrzeba prowadzenia dwóch oddzielnych kuchni narodowych i dlatego obecność polskiego i chińskiego kucharza (Grecy jedzą z kuchni polskiej); ponieważ nie ma na razie wspólnego języka (rosyjskiego Chińczycy nie znają, podobnie jak Polacy) — stąd konieczność dwóch „przewodników wychowania ideologicznego” — czyli politruków.

Pierwsi oficerowie chińscy mówią po angielsku i w tym języku porozumiewają się z polskimi kapitanami; ze starszym mechanikiem, z reguły Polakiem, kapitan polski ma wspólny język; w ten sposób dowodzenie nie przedstawia trudności.

Na wstępie tego artykułu wspomnieliśmy o tym, że według opinii tych, którzy mają możność śledzenia działalności Chińsko-Polskiego Towarzystwa Maklerów i całej współpracy morskiej polsko-chińskiej, jest ona korzystna tylko dla Chin. Rola Polski ogranicza się jedynie do posłusznego wykonywania poleceń Kremła. Taka opinia opiera się m.in. na porównaniu ładunków, któ-

re Polska wysyła do Chin, z ładunkami, które Polska otrzymuje z Chin.

Nie jest to kryterium niezawodne, szczególnie z punktu widzenia handlowego w sensie zachodnim, powiedzmy, kapitalistycznym, bo jeżeli Chiny płacą Polsce gotówką za używanie polskich statków i za transporty — wówczas twierdzenie, że ta inicjatywa jest czynnikiem negatywnym w żegludze polskiej i polskiej gospodarce, byłoby niezupełnie ścisle.

Mamy tu do czynienia z zagadnieniem trudnym do rozwiązania, gdyż nie wiemy (w Gdyni też tego nikt nie wie), w jaki sposób odbywają się rozliczenia pomiędzy Chinami a Polską. Ponieważ rozliczenia te odbywają się na szczeblu ministerstw obu zainteresowanych państw, jest rzeczą niemożliwą, zabrać na ten temat głos w oparciu o dane cyfrowe, a to byłby jedyny sposób ustalenia prawdy.

Na zakończenie pragnę zaznaczyć, że nie wchodząc w kwestię korzyści, które Polska ludowa czerpie z istnienia Chińsko-Polskiego Towarzystwa Maklerów Okrętowych, działalność tego Towarzystwa stanowi poważny instrument w umacnianiu komunizmu w Azji. I obecną współpracę polsko-chińską pod tym kątem widzenia należy rozpatrywać.

P. S.

Gdynia, w sierpniu 1953 r.

Migawki z podróży

— „A jednak Polska pozostała krajem zachodnim!” — mówi mi młody Francuz, intelektualista katolicki, który w bieżącym roku podróżował 10 dni po Polsce, zatrzymując się w Warszawie i w Krakowie.

— „Przed rokiem byłem w Rosji Sowieckiej. Otóż różnica między Rosją i Polską — jako atmosfera, wygląd miast, ludzi — wydaje mi się nieporównanie większa od różnicy pomiędzy Polską a chociażby Francją”.

Mój rozmówca zastrzega się, że jego wrażenie może być powierzchowne. Nie mówi po polsku, z ludnością miał mało kontaktów. Cóż zatem skłania go do takiego sądu?

„Nie znalazłem Warszawy przed wojną. Ale miasto, zapewne dzięki wiosennej pogodzie, sprawia wrażenie niemal radosne. Warszawski tłum uliczny, przynajmniej w śródmieściu, wydaje się pełen życia : ludzie śpieszą się, wyglądają aktywni. Są na ogół dobrze ubrani, podobnie jak paryżanie. Mówiono mi w Warszawie, że ten poziom ubraniowy zawdzięcza się paczkom z zachodu. Specjalnie mnie uderzyło życie na Wiśle : setki kajaków, statki wycieczkowe, tłumy kąpiących się na plażach.

„Na samym mieście znać jeszcze liczne ślady zniszczenia. Góruje olbrzymi szkielet stalinowskiego „Pałacu Kultury”, stale oświetlony w nocy reflektorami. Budowa tego gmachu wznosi stałe tumany kurzu nad Warszawą.

„Sklepy są na ogół bardzo biednie zaopatrzone. Znać wielki brak towarów wszelkiego rodzaju.

„Ogromne wrażenie zrobiło na mnie napięcie życia religijnego w Polsce. W niedzielę byłem na wczesnej mszy w nowym, niedokończonym jeszcze kościele ceglany na Saskiej Kępie. Kościół był pełen po brzegi. Zauważyłem przewagę młodzieży — chłopców i dziewcząt w wieku od 14 do 18 lat. Mszę odprawił młodziutki ksiądz. Żałuję, że nie mogłem zrozumieć kazania, mówił z takim ogniem i przekonaniem, że cały kościół był jakby zelektryzowany. Chciałem zabrać ze sobą trochę pamiątek religijnych i byłem w paru katolickich księgarniach. Zauważyłem duży brak przedmiotów kultu, obrazków, mszalików itd. Księgarnie są jednak zasobne w broszury apologetyczne i książki.

Przejazdy dla celów turystycznych czy przyjemnościowych są w Polsce zakazane. Na drogach wystawione są częste punkty kontrolne, sprawdzające dokumenty samochodowe i osobiste pasażerów. Pierwsze miasto przez które przejeżdżałem — to Rawa Mazowiecka. Była niedziela. Na rynku po prawej stronie stoi kościół, po lewej dom partii z głośnikami nadającym stale jakieś propagandowe materiały. Kościół tak pełen ludzi, że zalegają schody i wylewają na rynek ścisłym tłumem. Przed domem partii — pusto. Trzej osobnicy markotnie podpierają mur. Wydało mi się to symboliczne dla polskiego życia.

„Nie znałem wsi polskiej i te chaty bielone, niebieskawe, otoczone malwami wydały mi się przepiękne. Pozornie, z okien samochodu, ta wieś wydawała się spokojna i szczęśliwa. Zauważyłem z pewnym zdziwieniem, że, przynajmniej na trasie Warszawa — Kraków, parcele są drobne i zewnętrznie nic nie przemawia za istnieniem kolchozów. Jak mówiłem, była niedziela i cała ludność dążyła na mszę albo z niej powracała. Zauważyłem wielką ilość strojów ludowych zwłaszcza w Tomaszowie Mazowieckim, gdzie na rynku zebrany był wielobarwny tłum ludowy. Uderzony byłem również olbrzymią ilością przydrożnych kapliczek, przeważnie poświęconych Matce Boskiej, pokrytych wprost pięknymi, świeżymi kwiatami.

„Częstochowa ma wygląd dość dostatni. Aleja wiodąca na Jasną Górę nazywa się teraz „Aleja 1 Maja”. Wokół klasztoru wielki tłum i atmosfera odpustu. Wędrowni handlarze sprzedają przedmioty religijne, niestety przeważnie bardzo brzydkie, w stylu naszego Saint-Sulpice — podobno zresztą dewocjonalia te sprowadzane są z Francji!

„Katowice dość mnie przygnębiły. Może szarość miasta wzmaga wrażenie ubóstwa i smutku. Nawet przechodnie wydają się bardziej przygnębieni, gorzej ubrani niż w Warszawie.

„Po drodze zwiedziłem straszne muzeum Oświęcimia. Ale niedaleko od Oświęcimia, pozostawionego bez zmian jako pom-

nik hitlerowskiego barbarzyństwa, koło Jaworzna, ujrzałem wzdłuż szosy widok pokrewny: druty kolczaste, wieże obserwacyjne — tak, to był obóz koncentracyjny, ale funkcjonujący.

„W Nowej Hucie wielkie „miasto robotnicze”, z którego tak dumny jest reżim sprawiło na mnie przygnębiające wrażenie. Wielkie domy mieszkalne, mające pomieścić koło 100.000 robotników są jeszcze w trakcie budowy. Budowa sama, tak reklamowana, wydała mi się bardzo prymitywna. Ceglane domy budowane są przez murarzy na drewnianych rusztowaniach — daleko od oficjalnej wizji mechanizacji i żelbetonu. Nie zrobiono też żadnego estetycznego wysiłku: całe osiedle ma szarową atmosferę i przypomina architekturę Oświęcimia”.

„Kraków mnie wprost zadziwił. Dla przyjemnego cudzoziemca nie znać różnicy pomiędzy Krakowem dzisiejszym i Krakowem przedwojennym. To co mnie uderzyło w Krakowie, tak jak zresztą i w innych miastach polskich, to wielka ilość ludzi o rysach charakterystycznych dla europejskiej klasy intelektualnej, których na próżno by szukać w dzisiejszej Rosji. Zamieszkałem w Grand Hotelu. W pierwszy wieczór mego pobytu odbywał się w salach hotelowych bankiet młodych pionierów (Zetempowców?) Przy dźwiękach harmonii tańczyły i grzecznie bawiły się młode pary. Odwiedziłem również parę nocnych lokali aby przekonać się jak ludzie „bawią się” w dzisiejszej Polsce (nocne życie kończy się zresztą wcześniej). Jeden z tych lokali był rodzajem piwnicy, która przypominała mi Saint Germain des Prés. Publiczność była bardzo młoda — nawet wyglądem zewnętrznym przypominała paryską młodzież „egzystencjalną” sprzed paru lat. Długie włosy, czarne swetry zawinięte pod szyję — typ Juliette Greco, może z pewnym opóźnieniem, przebił jednak Żelazną Kurtynę. Drugi dancing był bardziej luksusowy, pełen po brzegi, na małej posadzce tłoczyły się liczne pary tańczące — głośno, dymno i ciemno jak na przeciętnym dancingu na Montmartre.

„Nazajutrz zwiedziłem Wawel, oprowadzany przez młodą studentkę historii sztuki, nie mówiącą zresztą po francusku. Zauważyłem że trasa, którą przewodnik oprowadza turystów po krypcie królewskiej, omija grób Marszałka Piłsudskiego — ale na moją prośbę zaprowadzono mnie tam bez słowa. Sam zamek wawelski jest wspaniale utrzymany. Oczywiście wszyscy przewodnicy nalegają uporczywie na fakt „kradzieży” gobelinów przez rząd kanadyjski. Pogoda była piękna i na Plantach wszystkie niemal ławki zajęte były przez młodych studentów studiujących skrypty i podręczniki.

„Przez cały czas pobytu w Polsce mieszkałem oczywiście w hotelach i jadałem w restauracjach — posiłki wyśmienite, choć zapewne drogie w stosunku do płac. Ale w Krakowie na przykład jadłem pierwsze śniadanie w popularnej kawiarni — doskonała kawa ze śmietanką, rogaliki, masło.

„Ogólne wrażenie z tego krótkiego pobytu, z którego mogłem dać Panu zaledwie parę migawek fotograficznych było

lepsze niż się spodziewałem. W przeciwieństwie do Rosji, w Polsce dotąd nie czuć, przynajmniej powierzchownie, atmosfery strachu. Społeczeństwo wydaje się zwarte i pełne sił życiowych. Zaimponowało mi odrodzenie religijne. Stosunek do cudzoziemca, przynajmniej, jak w moim wypadku, do Francuza, nad wyraz życzliwy, a przez to samo odważny.

(a)

PREUVES

REVUE MENSUELLE LITERAIRE ET POLITIQUE
N° 32. — OCTOBRE 1953

RAYMOND ARON : La Russie après Staline; ARTHUR KOESTLER : L'ennui naît de la fantaisie; JACQUES BARON : Contradictions au Maroc; DAVID DUBINSKY : McCarthy ou : vraie et fausse défense de la liberté; HENRI CALET : Vue plongeante sur le temps; PAUL GILSON : Poèmes (présentation de Pierre MacOrlan); J. DE KADT : Henriette Roland-Holst; HEINRICH BOLL : Mon air triste; ANDRE VARAGNAC : La « classe » est-elle une notion périmée? WALTER TRITSCH : La rupture de l'équilibre bourgeois; etc.

PREUVES : 23, rue de la Pépinière, Paris (8°).

Téléphone : EUROPE 55-15 à 17 — C.C.P. 17.800 Paris.

Le N° de 112 p. ill. France : 120 frs — Etranger : 150 frs.
Spécimen gratuit sur demande

« Libres Propos »

REVUE MENSUELLE

a publié des textes de :

Georges ALTMAN — Jacques F. BLIN — François BONDY —
Manuel BRIDIER — Michel COLLINET — Michel DEBRE —
Jacques DOMINATI, Pierre DUMAS — Jacques ENOCK —
Pierre FATAUD — Pierre FELCE — Auguste GALLOIS —
Georges GAUDIOT — Claude GUIBLIN — Gérard JAQUET —
Jean KOSEK — André LAFOND — André MALRAUX —
François MAURIAC — Robert MARGERIT — Louis MERCIER —
Robert MOSSE — Roger MUS — Simone MUNIER —
Hugues PANASSIE — Aimé PATRI — Georges PASCAL —
Pierre RESTANY, Louis VALLON, Colette VERGNOLLE.

LIBRES PROPOS, 13 bis, rue de Poissy, Paris-5°

Prix du numéro : 50 frs

Abonnement, 1 an : 500 frs

étudiants : 400 frs

C.C.P. Paris 8.596.33

Archiwum polityczne

Kronika angielska

DREYFUSIADA

W chwili gdy piszę te słowa (pierwsza dekada września) w rokowaniach zjednoczeniowych nastąpił dramatyczny zwrot. PPS ujawniła oświadczenie C.K.Z.P.P.S. z dn. 11.8 br., w którym powiedziano m.in. : że „wstępnym warunkiem zjednoczenia politycznego jest ustąpienie p. Augusta Zaleskiego”. Innymi słowy P.P.S., po raz trzeci powróciła na swoją pozycję wyjściową. Jak wiadomo, dwie poprzednie akcje zjednoczeniowe rozbiły się z powodu ultymatywnego żądania PPS ustąpienia prezydenta Zaleskiego. Jednak tym razem dopiero, po siedmiu miesiącach rokowań wytoczono tę kolubrynę. W styczniu br. PPS poparła kandydaturę gen. Sosnkowskiego nie wysuwając żadnych warunków czy zastrzeżeń. Wiadomo również, że prezydent ustalił termin swej kadencji i zapowiedział, że ustąpi w czerwcu 1954 r. Dzieli nas od tego terminu zaledwie 8 miesięcy. Wydaje się więc, że ten problem przestał być problemem.

Trudno jest uwierzyć, że PPS nagle i niespodziewanie po wielu miesiącach rokowań doszła do wniosku, że nie może przystąpić do akcji zjednoczeniowej ponieważ prezydent Zaleski urzędować jeszcze będzie przez 8 miesięcy. Nie może ulegać wątpliwości, że przyczyny secesji PPS są innej natury. Dramatis personą nie jest w tym wypadku p. August Zaleski lecz p. Stanisław Mikołajczyk.

W sierpniowym numerze „Robotnika” p. A.C. stwierdził wyraźnie, że „nierozsądny byłby ostracyzm w stosunku do tej części włościństwa polskiego, której reprezentacji w Waszyngtonie przewodzi p. Mikołajczyk”. Spośród innych polityków wchodzących w skład Rady Politycznej wystąpił z podobną sugestią p. Fr. Berka, członek Zarządu Głównego Stronnictwa Pracy. W liście do redakcji londyńskiego „Dziennika Polskiego” wysunął on w sprawie Mikołajczyka następujący argument : „Jeżeli przyjmujemy tezę, że w imię potrzeb bieżącej polityki polskiej należy przejść do porządku dziennego nad poważnymi przewinieniami obozu sanacyjnego w przeszłości, nie bardzo wówczas rozumiem dlaczego nie mamy zastosować tych samych kryteriów w odniesieniu do osoby p. Mikołajczyka”.

Na tym tle doszło do rozłam w Stronnictwie Pracy. Powstał nowy odłam, który przyjął nazwę Stron. Pracy „Grupa Zjednoczenia Narodowego”. W ten sposób (dzięki p. Mikołajczykowi) istnieją w tej chwili cztery Stron-

nictwa Pracy każde z własnym prezesem, wice-prezesem, Radą Główną itd. Jest to, jak dotąd, rekord rozłamowy.

Trzeba jednak powiedzieć, że choć PPS postąpiła zgodnie ze schematem wysuwając żądanie ustąpienia prezydenta — to jednak efekt tego pociągnięcia, tym razem, był zupełnie inny. Albowiem Rada Polityczna nie wycofała się z rokowań a tym samym zламаła swą solidarność z PPS. Na posiedzeniu w dn. 3 września w którym wzięli udział przedstawiciele obu Rad, pp. Zdziechowski i Thugutt (reprezentujący Radę Polityczną) złożyli następujące oświadczenie: „Przystępując do drugiego etapu narad, które mają dotyczyć spraw niezalatwionych w okresie pierwszym, niżej podpisani uważają, że w naradach tych, dla których opracowane wspólnie Akty stanowią podstawowy materiał, powinni brać udział przedstawiciele tych stronnictw i ugrupowań, które już te teksty parafowały”.

Jak wiadomo, owe teksty parafowały wszystkie ugrupowania wchodzące w skład Rady Politycznej z wyjątkiem PPS. (Ze stronnictw i ugrupowań Rady Narodowej nie parafowały owych tekstów Związek Socjalistów (p. Pragiera) i ugrupowanie p. St. Mackiewicza).

Z powyższego wynika jasno, że od dn. 3 września pp. Zdziechowski i Thugutt nie będą już przemawiali w imieniu PPS lecz tylko w imieniu pozostałych czterech stronnictw Rady Politycznej.

W chwili gdy piszę te słowa nie ma jeszcze elementów, które pozwalałyby osądzić czy powyższa reakcja Rady Politycznej spowoduje jakieś poważniejsze następstwa w rodzaju — powiedzmy — wystąpienia PPS z Rady Politycznej. Niewątpliwie wydawać by się mogło, że cztery stronnictwa Rady Politycznej, które parafowały teksty zjednoczeniowe łatwiej znajdą wspólną platformę porozumienia ze stronnictwami Rady Narodowej, które również położyły swe parafy pod wzmiankowanymi tekstami, niż z PPS, która z rokowań się wycofała. Ale z ostatecznymi wnioskami trzeba być bardzo ostrożnym. Bo trzeba jednak pamiętać o tym, że choć teksty parafowano to przecież nie załatwiono dwóch zasadniczych spraw: ustosunkowania się do p. Mikołajczyka oraz składu Rady Jedności Narodowej.

Najważniejszy z tego wszystkiego jest p. Mikołajczyk. Można przyjąć, że w kołach politycznych polskiego Londynu istnieją trzy poglądy w tej sprawie: Przedstawiciele poglądu Nr 1 są bezkompromisowymi zwolennikami potępienia i definitywnego, wieczystego odcięcia się od osoby p. Mikołajczyka i jego współpracowników. Domagają się również, by Akt Zjednoczenia zawierał w swej treści wyrok potępienia jałtańczyków. Przedstawiciele poglądu Nr 2 wyrażają opinię, że choć należy odciąć się od Jałty — na emigracji nie mamy ani tytułu ani prawa do ferowania wyroków, gdyż ani Rada Polityczna ani Rada Narodowa nie są Trybunałem Stanu. Zwolennicy poglądu Nr 3 sądzą, że bez względu na dawne błędy p. Mikołajczyk i jego obóz winni się znaleźć w ramach akcji zjednoczeniowej i wejść do nowej zjednoczonej reprezentacji politycznej.

Gdybyśmy powyższe trzy poglądy spróbowali narzucić na siatkę ugrupowań i partii politycznych — to przekonalibyśmy się, że zwolennikami poglądu Nr 1 są w pierwszym rzędzie te ugrupowania w Radzie Narodowej, które do tej pory tekstów zjednoczeniowych nie parafowały. Ten pogląd wyznają również ci spośród polityków obozu rządowego, którzy marzą skrycie, by do zjednoczenia nie doszło. Z organów prasowych heroldem poglądu Nr 1 jest londyński tygodnik „Orzeł Biały”.

Pogląd Nr 2 reprezentują ugrupowania Rady Politycznej z wyjątkiem PPS. Ta ostatnia skłania się wyraźnie ku pogładowi Nr 3.

Właściwie należałoby postawić zasadnicze pytanie: skąd nagle p. Mikołajczyk urósł do rangi demonicznego bohatera polskiej polityki emigra-

cyjnej? Dlaczego stosunek do jego osoby ma decydować o powodzeniu względnie upadku akcji zjednoczeniowej? Dlaczego w związku z tą groteskową „dreyfusjadą” przyjaciele zrywają ze sobą, znajomi przestają się witać na ulicy, stronnictwa rozpadają się na ćwiartki? Wydaje mi się, że prezes Mikołajczyk nigdy w snach nie marzył o takiej popularności i nie doceniał hamletyzmu swojej własnej osoby. Jeszcze gotów sam w to wszystko uwierzyć.

W tej całej sprawie należy zwrócić uwagę na szczegół następujący. Ci politycy, którzy zjednoczenia nie chcą, wyszukują sprawę p. Mikołajczyka w tym celu, by do zjednoczenia nie dopuścić. Przybierając rejtanowską pozę, w potopie patriotycznej frazeologii, panowie ci krzyczą z patosem: nie możemy! Czytając artykuły „Orla Białego”, lub wypowiedzi „wodza” — prorządowych socjalistów p. Pragiera w londyńskich „Wiadomościach” — czytelnik mógłby nabrać przekonania, że istnieje przed nami tylko dwie alternatywy: albo zjednoczenie plus Mikołajczyk — albo niedopuszczenie do zjednoczenia i uratowanie honoru Polski. To ci politycy z obozu rządowego, którzy chcą za wszelką cenę storpedować zjednoczenie — usiłują ogłowi emigracyjnemu przedstawić problem zgody narodowej jako referendum „za” lub „przeciw” Mikołajczykowi. Na cóż bowiem może liczyć czterech czy pięćosobowy Związek Socjalistów p. Pragiera w przyszłej Radzie Jedności Narodowej? Może się zdarzyć, że stronnictwa polityczne z prawdziwego zdarzenia nie zechcą uznać grupki p. Pragiera za równorzędnego partnera politycznego. To samo dotyczy ugrupowania p. St. Mackiewicza. Zjednoczenie nie leży w interesie tych grupek, które swój byt zawdzięczają obecnemu rozbięciu politycznemu. Nie ulega wątpliwości, że gdyby nie było sprawy p. Mikołajczyka ci politycy wymyślili by inną „sprawę”: by znaleźć patriotyczną „rację” do zwalczania akcji zjednoczeniowej.

Trzeba stwierdzić z całym naciskiem, że sprawa jedności narodowej nie jest referendum „za” lub „przeciw” Mikołajczykowi. Dr Bielecki, prezes Stronnictwa Narodowego, w wywiadzie udzielonym agencji NBI sprawę Mikołajczyka oświetlił w następujący sposób: „Puszcza się pogłoski, że Rada Polityczna jest za Jałtą bądź jałtańczykami. Jako żywo nieprawda. Nie mogło być żadnej wątpliwości co do potępienia aktów jałtańskich. Nie ma tu i nie było różnic między gen. Sosnkowskim a Radą Polityczną. Powiem więcej. W okresie kiedy Jałtę narzucono, nasze stronnictwo wspólnie z Polską Partią Socjalistyczną i Stronnictwem Pracy stworzyło rząd antyjałtański pod przewodnictwem T. Arciszewskiego i najbardziej stanowczo zwalczało dyktat jałtański. Dodam wreszcie, że o ile mnie pamięć nie myli, w owym czasie nie było jeszcze w życiu polskim prawie żadnego z ugrupowań, które dziś zasiadają w Radzie Narodowej i tak głośno gardlują za potępieniem jałtańczyków. Myśmy to już dawno i na czas zrobili, zanim nie które ugrupowania Rady Narodowej na świat przyszły. Nie o to zatem chodzi. Istnieje zgoda co do poglądu na Jałtę i tych, którzy przy Jałcie ciągle trwają. Ale nie możemy się zgodzić na to, aby stronnictwa podpisujące akt zjednoczenia zamieniały się w Trybunał Stanu dyskryminujących tych czy owych”.

Wydaje mi się, że prezes Bielecki w powyższej wypowiedzi ujął sedno sprawy. Nikt nie jest ani za Jałtą ani za jałtańczykami — wszyscy są przeciwko Jałcie i przeciwko jałtańczykom. Ale będąc przeciwko Jałcie i jałtańczykom można równocześnie reprezentować pogląd, że nie ma najmniejszego powodu, by stronnictwa parafujące Akt Zjednoczenia przypisywały sobie fałszywie uprawnienia Trybunału Stanu. Wyrokowanie i potępienie zostawmy przyszłym niezawisłym sądom w niepodległej Polsce. Winniśmy być wstrzeźliwi w potępieniu, ponieważ nie tylko p. Mikołajczyk popeł-

niał ciężkie błędy. Popelniali je i inni. Przed Jaltą były katastrofy za które nie p. Mikołajczyk ponosi odpowiedzialność. W sumie stwierdzamy: jesteśmy przeciwko Jalcie lecz jesteśmy również przeciwko temu, by Akt Zjednoczenia miał być aktem prokuratorским. Nie zakładamy przecież groteskowej ligi anty-mikołajczykowskiej tylko pragniemy stworzyć Radę Jedności Narodowej, którą oczekują ważniejsze zadania niż debatowanie tygodnikami nad błędami p. Mikołajczyka.

WYKŁADOWCY POLITYCZNEJ DOGMATYKI

Już Cat-Mackiewicz zauważył swego czasu na łamach londyńskich „Wiadomości” — że bagaż polityczno-ideowy jaki wnieśli do obozu piłsudczyków secesjoniści ze Stronnictwa Narodowego był wybitnie ujemny. Politycy ci przejęli z obu kierunków elementy najgorsze i nie typowe. Nie są ani pełnokrwistymi piłsudczycami ani prawdziwymi endekami. Duchowo mają tyle wspólnego z Piłsudskim co Pierwsza Brygada z Legionem Młodych lub Kompania Kadrowa ze Strażą Przednią. Z tej grupy rekrutują się pomniejszyciele Piłsudskiego, którzy do wielkiego i romantycznego nazwiska chcieliby doczepić „izm” i przemienić je w system i doktrynę. Jeżeli w okresie dwudziestolecia próbowano u nas wyhodować jakąś polską odmianę totalizmu czy faszyzmu to ogrodnikami szczególnie zainteresowanymi w tym plodozmianie byli endeko-piłsudczycy.

Roślinki nie wyprodukowano ale ogrodnicy wylądowali na emigracji z kompleksem niewyżytego totalizmu. O ile anty-demokratyzm starszej generacji tzw. sanacji wypływał nie z ideologii i doktryny lecz raczej ze swojej wiary w „trzymanie za mordę” o tyle endeko-sanatorzy to niedoszli teoretycy i doktrynerzy tegoż systemu.

Organ tejże orientacji, londyński tygodnik „Orzeł Biały” w n-rze 33 (580) wystąpił z interesującym artykułem w całości poświęconym „KULTURZE”. Artykuł jest interesujący, bo odsłania tok rozumowania typowy dla mentalności ludzi, których nie ma się demokracja.

Pan Z. S. autor cytowanego artykułu o „KULTURZE” nawiązując do polemiki wywołanych listem p. J. Majewskiego — stwierdza, że redaktorzy „KULTURY” „nie liczą się w najmniejszym stopniu z uczuciami i wartościami, uznanymi niespornie przez zdrowe środowiska polskie”.

Ale jakaż istnieje metoda wybadania czy dana wartość uznana jest przez społeczeństwo za niesporną? Istnieją dwie metody. Pierwsza, której hołduje „Orzeł Biały” polega na dekretowaniu. W n-rze 34 tegoż tygodnika ukazał się artykuł wstępny pt. „Dogmaty”, w którym zadekretowano co jest „sporne” a co jest „niesporne”.

Istnieje jednak i druga metoda wybadania czy dana wartość uznana jest powszechnie za niesporną a mianowicie wolna dyskusja. Wydaje mi się, że tylko ta metoda, której my hołdujemy, prowadzi do niesfalszowanych wyników.

Lecz to jeszcze nie wszystko. Czy fakt, że dany pogląd jest uznany za „niesporny” przez zdrowe środowiska polskie może służyć za dowód słuszności tego poglądu? Nie wszystko co jest przez ogół uznane za niesporne jest słuszne. Gdybyśmy opierali się na założeniach „Orla Białego” musielibyśmy potępić brytyjskiego publicystę, który zwalcza Jaltę, ponieważ układ jaltański przez „zdrową” i znakomitą większość parlamentu brytyjskiego został niespornie przyjęty.

Nie ulega wątpliwości, że ustać by musiał wszelki postęp gdyby brakło zespolów ludzi, którzy mają odwagę poddawać krytyce wartości uznawane przez „zdrowe” środowiska za niesporne. W Polsce przed-wrzesniowej zbyt pochopnie przyjmowaliśmy wiele rzeczy za wartości niesporne, które niestety okazały się bezspornie błędnymi. W krajach gdzie wartości niesporne dekretuje się w formie „dogmatów” ogłaszanych na łamach urzędowych tygodników „KULTURA” oczywiście nie mogłaby wychodzić.

Wróćmy jednak do meritum sprawy. Jako członek Zespołu KULTURY byłem współautorem Noty Redakcji, w której sformulowaliśmy nasze stanowisko w sprawie listu p. J. Majewskiego. Przeczytałem dziesiątki listów i dziesiątki artykułów wywołanych tym wystąpieniem. Czytałem uchwały związków, deklaracje Kombatantów i grożenia kodeksem karnym. Jako polski publicysta uważam studium tych materiałów za rzecz bardzo cenną i pouczającą. Jedno jest dla mnie bezspornie pewne a mianowicie, że żaden z tych rejtanów i protestantów, żaden z tych panów, który „jednogłośnie” głosił za uchwaleniem potępiającej deklaracji — nie czytał tekstu Noty Redakcji. Słowa: Lwów i Wilno uruchomiły bezkrytyczną emocjonalną reakcję, która wyklucza wszelkie rozumowanie i uniemożliwia zrozumienie najprostszego tekstu zredagowanego w potocznej polszczyźnie. To jest moment na który cychają demagodzy. To jest moment, na który cychają ci, którzy swoje „dogmaty” i wpływy opierają na emocjonalizmie i którzy we wszelkim przejawie krytycznej myśli upatrują (i słusznie) śmiertelne niebezpieczeństwo. To są ci, którzy do dziś sądzą, że polskim społeczeństwem można rządzić sloganami — „nie damy”, „dojdziemy” — z pełną wiarą w bezkrytycyzm polskich mas.

Nagonka na „KULTURĘ”, którą skwapliwie dyskontuje „Orzeł Biały” prowadzona jest pod hasłem, że Zespół KULTURY wyrzeka się Wilna i Lwowa. Przyjrzyjmy się tekstowi Noty Redakcji. Czytamy w nim m.in.: „Na emigracji nikt nie jest upoważniony do zaciągania jakichkolwiek zobowiązań dotyczących zmiany granic. Jesteśmy zwolennikami zmian, ale zwolennikami tylko takich zmian, za którymi wypowiedzą się w przyszłości upoważnione reprezentacje narodów polskiego i ukraińskiego”.

Czy redaktorzy „Orla Białego” nie zamierzają uznać zmian w sytuacji polsko-ukraińskiej w jej aspekcie politycznym i terytorialnym, gdy zmiany te zostaną ratyfikowane przez Sejm suwerennej Rzplitej? Zespół KULTURY niczego innego nie proponował. Nota Redakcji była opracowana z wielką uwagą i po gruntownym namyśle i podtrzymujemy ją w całej rozciągłości.

Ale zarówno w tej sprawie jak i w sprawie zjednoczenia — pewnym czynnikiem zależy nie na swobodnej dyskusji tylko na demagogii. Jeżeli ktoś ośmieli się stwierdzić, że nie ma powodu Aktu Zjednoczenia redagować w formie wyroku Trybunału Stanu — demagodzy rozzdzierają szaty i krzyczą, że ci, którzy są przeciwnikami Trybunału Stanu na emigracji są za Mikołajczykiem, za Jaltą, za rozbiorami a więc są zdrajcami i matkobójcami.

Jeżeli ktoś powie, że w ramach legalnego porządku pragnie dążyć do znormalizowania stosunków polsko-ukraińskich i do zmian politycznych i terytorialnych, które byłyby potwierdzone aktami ustawodawczymi parlamentów odnośnych narodów — znajdują się natychmiast demagodzy, którzy projektodawcę okrzyczą za zdrajcę i sprzedawczyka.

„KULTURA” za jedno ze swych zadań uważa walkę z bezmyślnym emocjonalizmem (czyli: tanim patriotyzmem) i tymi ośrodkami politycznymi na emigracji, które ów emocjonalizm demagogicznie wykorzystują dla swoich mocno spóźnionych ambicji. Uważamy, że fundamentem kultury politycznej jest swobodna dyskusja i wolność słowa. Prawdziwa wolność

słowa a więc taka, która umożliwiła i p. J. Majewskiemu wypowiedzieć swoje zdanie. Można się z jego opinią nie zgadzać ale fakt, że mógł ją wypowiedzieć świadczy dobitnie, że coś jednak przełamało się na korzyść w naszym życiu społecznym. Gdyby wszystkie polskie pisma były w dyspozycji demokratów z „Orla Białego” wolno by było pisać jedynie w zgodzie z zadekretowanymi „dogmatami”. I wówczas cała nasza prasa upodobniłaby się do tego niebotyku namaszczonej nudy.

Juliusz MIEROSZEWSKI
(LONDYNCZYK)

Wybory w Niemczech

W dniu 6-go września odbyły się drugie z kolei wybory do zachodnio-niemieckiego Parlamentu (Bundestagu). Choć powszechnie spodziewano się sukcesu partii kanclerza Adenauera, rozmiar sukcesu przekroczył najśmielsze przewidywania. Stronnictwo dra Adenauera — Unia chrześcijańsko-demokratyczna — zdobyło przeszło 12 mil. na przeszło 28 mil. głosujących, czyli 45,2 %, oraz 244 mandaty do Izby Związkowej na ogólną ilość 487, czyli 50,1 %. Ma ono przeto absolutną większość w Izbie, wprawdzie tylko 1 głosu. Jest to osiągnięcie na stosunki niemieckie niezwykle. Za Republiki weimarskiej żadne stronnictwo nie zdobyło nigdy 45 % głosów, nie mówiąc o posiadaniu większości w Reichstagu.

Partia dra Adenauera bardzo znacznie powiększyła ilość zdobytych głosów w porównaniu do wyborów z r. 1949. Partia socjal-demokratyczna utrzymała z niedużą stratą swój stan posiadania. Nadzieje jej przywódców wysunięcia się na najsilniejszą partię — nie podzielną zresztą w dołach partyjnych — spotkały się z niepowodzeniem. Socjaliści pozostają niemniej nadal drugą najsilniejszą partią (28,8 % ogółu głosów i 150 mandatów). Dość poważną porażkę ponieśli partnerzy koalicyjni dra Adenauera — Partia Wolnych Demokratów (FDP) i Partia Niemiecka (DP). Odsetek uzyskanych przez te partie głosów zmniejszył się w porównaniu z poprzednimi wyborami i w konsekwencji mają one mniej posłów w Bundestagu. Obydwie partie przechodzą kryzys wewnętrzny i dzielą się na dwa wyraźne odłamy. Prawe skrzydła jednej i drugiej partii zabiegały o pozyskanie głosów hitlerowskich i innych skrajnych elementów. Na tym tle doszło do starcia z umiarkowanym skrzydłem. Z uwagi na zbliżające się wybory odłożono decyzję co do linii postępowania, tym więcej że groził rozłam. Wewnętrzne spory w łonie tych partii nie mogły pozostać bez wpływu na wyborców. Utracone przez te partie głosy zyskała głównie Unia chrześcijańsko-demokratyczna i w ten sposób stracone głosy pozostały niemniej w ramach koalicji. Wolni demokraci (liberałowie) mieli znaczne szanse powiększenia swego stanu posiadania przez zdobycie dodatkowych głosów klasy mieszczańskiej, a szczególnie protestantów. Ci ostatni, należący w większości do Unii chrześcijańsko-demokratycznej nie czuli się szczęśliwi w tym małżeństwie z obawy majorzacji przez katolików. Zrozumiał to zresztą dr Adenauer i w okręgach wyborczych o przewadze elementu protestanckiego wysunął jako kandydatów swego stronnictwa protestantów. Niewątpliwie w znacznej mierze dzięki temu Unia zdobyła

np. w Szlezwik-Holsztynie w indywidualnych wyborach w okręgach wszytkie mandaty (14), kiedy w 1949 miała tylko 7.

Do Izby Związkowej w Bonn wchodzi po raz pierwszy Ogólno-Niemiecki Blok tj. partia uchodźców. Przywódca jej, Waldemar Kraft (obywatel polski od 1919-1939), który na przestrzeni ostatniego roku wyróżił z nieznannej postaci do roli polityka, którym w Niemczech i zagranicą w ostatnich miesiącach dużo się zajmowano, stale głosił, że za jego grupą opowie się od 16-20 % ogółu wyborców i że zdobędzie 50-60 mandatów. Kraft liczył na to, że masa uchodźcza będzie zwarcie głosowała na jego partię, oraz że różne skrajne elementy, jak b. hitlerowcy i zawiedzeni wojskowi, również za nim się opowiedzą. Większość jego kandydatów do Bundestagu rekrutowała się spośród b. hitlerowców, jak zresztą on sam. Wśród kandydatów w Dolnej Saksonii był niejaki Karl Naumann, kuzyn osławionego Wenera N., wybitnego hitlerowca, pozbawionego w ostatniej chwili prawa kandydowania. W toku kampanii wyborczej Kraft występował przeciw upośledzeniu b. hitlerowców i posługiwał się hasłami, obliczonymi na schlebienie instynktom nacjonalistycznym, sądząc że tą metodą zyska swej partii zwolenników. Grupa Krafta liczyła też na to, że zdobędzie liczne głosy tych, którzy 4 lata temu głosowali na partię gen. Remera (zakazaną w roku ub.), a ponadto skłonnych oddać głos na Niemiecką Partię Rzeszy, której szanse po wykluczeniu W. Naumanna i pułk. Rudela, oraz unieważnieniu jej listy w kilku krajach, ogromnie zmalały.

Tymczasem partia uchodźców nie zdołała przeprowadzić w żadnym okręgu wyborczym swego kandydata. Sam Kraft, w kraju w którym jest wice-premierem i nadto dzierży dwie teki (ministra skarbu i sprawiedliwości), przepadł w okręgu księstwa Lauenburg w Szlezwik-Holsztynie. Wyborca niemiecki, postawiony przed wyborem Krafta czy potomka żelaznego kanclerza, nie wahał się wybrać tegoż wnuka księcia Otto von Bismarcka. Jest to duży cios dla ambicji Krafta i dla jego prestiżu i pozycji partii w Niemczech. Nadzieje na odegranie wielkiej roli w rządzie związkowym w Bonn są pogrzebane. Partia Krafta wchodzi niemniej do Izby Związkowej w liczbie 27 posłów na zasadzie przydziału mandatów z listy państwowej wobec uzyskania ponad 5 % ogółu głosów. W pewnej mierze zespół Krafta może być jęczkiem u wagi, jeśli nowy rząd dra Adenauera będzie potrzebował kwalifikowanej większości (2/3) głosów czy to dla przeprowadzenia zmiany konstytucji, czy też innych aktów ustawodawczych, które będą jej wymagały.

Zdobyte przez Ogólno-Niemiecki Blok zaledwie 5,9 % ogółu głosów świadczy, że masa uchodźcza już silnie wrosła w warunki zachodnio-niemieckie i jego życie, że czuje się mocno związana z ludnością stałą, jej potrzebami i postulatami, oraz że narówni z nią widzi w głównych stronnictwach obrońców wspólnych interesów. Partia Krafta, którą on sam nazwał rok temu partią z „misją”, a zatem bez jasnego programu, szczególnie w zakresie polityki wewnętrznej, jest w istocie reprezentacją interesów określonej kategorii osób. Po pełnym wcieleniu uchodźców w życie gospodarczo-społeczne zach. Niemiec traci ona swą rację bytu. Tego bał się Kraft, próbował przeto zaszczepić podstawy partii i zbudować dla niej oparcie o szersze warstwy ludności.

„Misja Krafta polega zaś na tym, że uważa on siebie i swą partię za szczególnie powołanych do formułowania i głoszenia programu ekspansji niemieckiej, oczywiście na wschód. Wypowiedzi Krafta w tej mierze nie świadczą jednak ani o jego dojrzałości ani o wyrobieniu politycznym. W jego to umyśle narodziła się koncepcja, że „na wschodzie nie należy wysuwać żadnych granic, natomiast dążyć do ustalenia współżycia z innymi narodami, a w tej drodze Niemcy odzyskają nie tylko terytoria, które do nich należały w 1939 r., ale również w 1914”. Jest to wypowiedź typowego pangermanisty, który niczego się nie nauczył i nie rozumiał wydarzeń i zmian,

spowodowanych przez agresję hitlerowską i klęskę Niemiec. Z uwagi na to, że posłowie Bloku będą wykazywać w Bundestagu szczególne zainteresowanie dla ziem polskich, należy śledzić ich poczynania.

Cechą charakterystyczną wyniku wyborów jest zanik małych ugrupowań partyjnych czy to prawicy czy lewicy. Dzięki klauzuli ustawy wyborczej, postanawiającej że mandaty z listy państwowej mogą być podzielone jedynie między te stronnictwa, które czy to zdobyły choćby jeden mandat indywidualny w okręgu wyborczym czy też co najmniej 5 % ogółu głosów, nie wchodzi zupełnie do Izby Związkowej komuniści, skrajni nacjonalści (Niemiecka Partia Rzeszy), neutraliści (Ogólno-Niemiecka Partia Ludowa dra Heinemanna), ani wręcz separatysty (Bawarska Partia).

Zarysowała się też tendencja w Republice Związkowej do systemu dwupartyjnego. Partia dra Adenauera i partia socjalistów Ollenhauera liczą razem 394 posłów na ogólną ilość 487, czyli ponad 3/4. Z punktu widzenia niemieckiego jest to objaw dodatni. Czy ma on charakter trwały? Odpowiedź na to nie jest prosta. Osobiście sędzę, że na ten wynik złożyły się bardzo specyficzne warunki Republiki Związkowej, oraz okoliczności, w jakich się odbywały tegoroczne wybory.

Niemcy zachodnie nie są krajem niezależnym. Formalnie nadal obowiązuje status okupacyjny, mimo że jego postanowienia, ograniczające swobodę działania rządu federalnego, zostały bardzo mocno rozluźnione. Niemcy są przedmiotem zabiegów dwóch bloków: zachodniego i wschodniego. Mocarstwa zachodnie starają się pozyskać Niemcy na warunkach układu — równy z równymi. Moskwa natomiast chciałaby dyktować i podporządkować Niemcy swej woli. Czy niezależny Niemiec mógł ufać Moskwie i wahać się jak głosować? Wszak przeciętny Niemiec dobrze orientuje się w tym, co się dzieje w strefie sowieckiej i w świeżej pamięci ma wypadki z 17-go czerwca. Polityka dra Adenauera nieufności do awansów i propozycji sowieckich jest też wyrazem nastrojów olbrzymiej większości Niemców i ma jej poparcie. Jedynie zestarzały i naiwny dr Wirth i kilku jego popleczników mogą myśleć o nowym Rapallo, a intelektualiści typu Heinemanna o „neutralności” dla Niemiec. Przeciętny Niemiec marzy w głębi duszy o dniu rewanzu na Rosji. Wojskowy — by odegrać się i wymazać klęskę, cywil — by pomścić krzywdy własne czy bliskich. Nie sam, bo nie da rady. Jeśli przy tych nastrojach amerykański sekretarz stanu mówi Niemcom: głosujcie na Adenauera, gdyż ma on nasze zaufanie, a jego program polityczny da wam zjednoczenie i naprawienie krzywdy podziatu, Niemiec widzi w tej wypowiedzi obietnicę pomocy Ameryki dla realizacji planów — na bliską przyszłość zjednoczenia Niemiec, a na dalszą — rozszczeń rewindykacyjnych. Przez oddanie głosu na dra Adenauera przeciętny Niemiec manifestował swe uczucia antysowieckie. Wybory były też plebiscytem, aprobującym politykę zagraniczną rządu dra Adenauera, i wyrazem zaufania dla niego osobiście.

Rezultat wyborów wzmacnia prestiż dra Adenauera wewnątrz Niemiec, zachodnich i wschodnich, oraz wobec zagranicy. Jest on dominującą postacią w dzisiejszych Niemczech. Nie ma sobie równych wśród własnych partnerów politycznych, ani przeciwników. Dowiodły już tego wiece wyborcze. Z ramienia swego stronnictwa był nie tylko głównym, ale w istocie jedynym mówcą. Choć nieobdarzony darem wymowy i łatwością zdobywania sobie sympatii mas, niemniej gromadził tłumy, gdy przemawiał. Może Niemiec nie wymaga mówcy popularnego i ze swadą, a jedynie polityka, dla którego ma respekt. Słuchano też jego suchych i rzeczowych wywodów prawie z nabożeństwem.

Opozycja miała trudną sytuację. Jej koncepcja polityki zagranicznej jest szlachetna i nie przemawiała do przekonania przeciętnego Niemca. Żądanie rokowań z Moskwą w kwestii zjednoczenia, gdy Moskwa tego nie chce, a w każdym razie do tego się nie spieszy i wysuwa warunki nie do przyjęcia, jest rzeczą iluzoryczną. W dziedzinie polityki wewnętrznej opozycja miała jeszcze twardsze zadanie. Krytyka warunków gospodarczo-społecznych nie znajdowała oddźwięku w masach niemieckich. Każdy Niemiec widzi rozmach odbudowy i ogólną poprawę warunków, a wraz z tym swojej sytuacji życiowej. Pracują prawie wszyscy zdolni do pracy i nieźle zarabiają. Drożyzna jest wprawdzie duża ale i zarobki są podwyższone. Poza tym przeciętny Niemiec jest praktyczny z natury. W rozmowach z przygodnym Niemcem, członkiem klasy pracującej, można było słyszeć opinię: sympatyzuję ze socjalistami, nie mam jednak zaufania do partii i ludzi, trwających od dawna w opozycji, i boję się inowacji. Wolę Adenauera, gdyż widzę u niego jasną linię postępowania, wiem co mnie czeka i wierzę, że w miarę czasu obniży koszt życia, co poprawi mój byt.

Gdyby nie tradycyjna wierność klasy robotniczej dla socjalistów, porażka ich byłaby dużo większa. Nowe głosy zdobyli socjaliści głównie kosztem komunistów.

Dwa główne stronnictwa niemieckie (oraz Centrum) oparte są o zasady demokratyczne, czego nie można powiedzieć o pozostałych partiach. Hasła skrajne nie znalazły podatnego gruntu w tegorocznych wyborach. Przeżycia wojenne nie są jeszcze zatarte i zniszczenia są zbyt widoczne, co działa otrzeźwiająco. Masa niemiecka odseparowała się też od grup i programów, które mogłyby wciągnąć kraj w awantury. Nie należy tego jednak interpretować, że zasady demokratyczne zapuściły w Niemczech głębokie korzenie i że tęsknota za rządami autorytatywnymi została wykarczowana z psychiki niemieckiej. A może w osobie Adenauera ten i ów Niemiec widzi uosobienie rządów silnej ręki? Jakąbądź ocenę damy podłożu, które przyczyniło się do wyniku tegorocznych wyborów, obawiać się należy że w innych warunkach emocjonalność duszy niemieckiej ujawni się w całej pełni, oraz że hasła skrajne znajdą licznych zwolenników i poparcie.

11 września 1953.

J. MARLEWSKI

Niemcy Wschodnie

Przyjęło się dość powszechnie twierdzenie, że Niemcy należą do narodów, którymi łatwo jest rządzić, ponieważ posiadają szacunek dla autorytetu wszelkiej władzy, okazują posłuch wszelkim jej rozkazom, bezkrytyczne zaufanie dla słowa drukowanego itp. Formuła ta, choć w części tylko słuszna, bazuje się na niewątpliwych faktach. Głosiciele jej mogą powołać się na to, że większość Niemców w okresie rządów hitlerowskich dała się użyć bez dostrzegalnego sprzeciwu za narzędzie najbardziej podłych zbrodni, jakie dotychczas widział wiek XX. Z drugiej jednak strony Niemcy nie są bynajmniej narodem pozbawionym całkowicie tradycji rewolucyjnych. Jeśli już pominąć czasy tak daw-

ne jak okres wojen chłopskich pod przewodnictwem Tomasza Münzera, nie sposób zapomnieć rewolty ludu berlińskiego w roku Wiosny Ludów czy współczesnych niemal rewolucji proletariackich w początkach republiki wejmarskiej. Rozruchy czerwcowe na obszarze wsch. Berlina i sowieckiej strefy okupacyjnej zawierały te same momenty zrywu rewolucyjnego ludu przeciwko tyrańskiej władzy. Można by w nich również doszukiwać pewnego podobieństwa do powstania pruskiego przeciwko Napoleonowi w r. 1813. Jeśli stanowiły taką niespodziankę dla świata, to nie tylko dlatego, że wielu ludzi nie wierzyło w zdolność Niemców do przeciwstawienia się rodzimej czy obcej tyranii, ale i dlatego, że był to pierwszy wypadek otwartej rewolty na obszarze rządzonym przez reżim zorganizowany wg. wzorów stalinowskich. Dlaczego mogło dojść do tego w Niemczech, a nie np. w posiadającej tyle tradycji powstańczych Polsce — oto pytanie na które należy udzielić odpowiedzi.

◆

Część Niemiec okupowana przez wojska sowieckie zaliczana jest nieraz do grupy państw satelickich, choć takie postawienie sprawy nie jest całkowicie słuszne. Reżim wprowadzony na obszarze Niemiec wsch. istotnie nie różni się obecnie prawie niczym od podobnych reżimów, narzuconych Polsce czy Czechosłowacji. Istnieje jednak postawowa różnica w sytuacji wsch. Niemiec i innych państw okupowanych przez Sowiety. Różnica ta wynika z faktu, że tzw. demokracje ludowe obejmują całość lub przynajmniej większość obszaru zamieszkiwanego przez dany naród, podczas gdy N.R.D. (Niemiecka Republika Demokratyczna — strefa okupacji sowieckiej) obejmuje niecałe 30 % terytorium i zaludnienia niemieckiego.

Polityka sowiecka zmierza od zakończenia wojny do uzyskania wpływów na całość obszaru niemieckiego lub co najmniej do wyłączenia wszelkich innych wpływów na obszarze Niemiec zach. Część Niemiec, którą Rosjanie dzierżą w swym ręku jest w tym dążeniu niezmiernie cennym atutem, który starają się wyzyskać z mniejszą lub większą zręcznością i powodzeniem.

Proces sowietywizacji Polski czy innych państw „satelickich” nie jest obciążony szeregiem ubocznych momentów, z którymi Rosjanie w poważnym stopniu muszą się liczyć na obszarze Niemiec wschodnich. Każde posunięcie polityki sowieckiej w okupowanej przez nich części Niemiec musi być oceniane pod kątem przydatności lub szkodliwości w rozgrywce o całe Niemcy. NRD znajduje się więc w sytuacji wyjątkowej i w pewnym sensie uprzywilejowanej.

Wyjątkowość sytuacji Niemiec wsch. uwypukla jeszcze bardziej sprawa Berlina, miasta z górą trzymilionowego, położonego w centrum sowieckiej strefy okupacyjnej. Zachodnia część miasta, obejmująca ponad dwa miliony mieszkańców, nie podlega okupacji sowieckiej. Jest najdalej na wschód wysuniętą wyspą

wolności. Najbardziej jednak zdumiewający, w tej i tak dość osobliwej sytuacji, jest fakt, że owa wyspa świata wolnego nie jest bynajmniej całkowicie odizolowana od otaczającego ją obszaru. Mieszkaniec zach. Berlina może poruszać się swobodnie we wschodniej części miasta a jeszcze przed rokiem mógł to samo czynić na obszarze całej okupacji sowieckiej. Jeszcze większe znaczenie posiada fakt, że te same możliwości posiadają ludzie spod okupacji sowieckiej w odniesieniu do zach. Berlina. Praktycznie wygląda to tak, że mieszkaniec Lipska czy Magdeburga przyjeżdża pociągiem czy autobusem do wsch. Berlina, a stamtąd już normalnym środkiem komunikacji miejskiej do zachodniej części miasta.

Te rzeczy warto sobie uświadomić przy rozważaniu możliwości sowietywizacji Niemiec Wsch. System stalinowski (mimo wszelkich zmian jakie nastąpiły po śmierci Stalina nic istotnego nie zmieniło się w systemie przez niego stworzonym) może funkcjonować sprawnie tylko w warunkach hermetycznej izolacji od świata wolnego. System ten, choć pogardzający człowiekiem, musi jednak liczyć się z istnieniem ludzi, dla nich bowiem został stworzony. Ludzie poddają się terrorowi, gdy nie mają żadnej możliwości odparcia go, lub ucieczki przed nim. Wystarczy nieszczelność oddzielającej od reszty świata kurtyny a zaczyna wyciekać jak woda z dziurawego wiadra. W ostatnich miesiącach, poprzedzających wypadki czerwcowe, do zachodniego Berlina napływało co dzień ok. półtora tysiąca uciekinierów niemieckich spod okupacji sowieckiej. Dla większości ludzi zagrożonych prześladowaniem w innych krajach pod okupacją sowiecką, nie ma prawie żadnego ratunku. W tej samej sytuacji mieszkaniec NRD wsiadał po prostu z rodziną do pociągu i po kilku godzinach podróży lądował w wolnym Berlinie. Możliwość ucieczki przed terrorem zakreśla więc granice dla samego terroru. We wschodnich Niemczech przekroczenie tych granic oznaczało stopniowe wyludnienie kraju, leżące odłogiem nieuprawione gospodarstwa chłopskie, nieobsadzone miejsca przy maszynie w fabrykach i za biurkami planujących inżynierów, niewykonanie planu.

Zachodni Berlin dawał ludziom spod okupacji sowieckiej nie tylko możliwość schronienia się przed groźącym prześladowaniem, ale także coś bardziej niebezpiecznego z sowieckiego punktu widzenia : możliwość porównywania. Posiadał ją codziennie mieszkaniec wschodniego Berlina, nie był jej pozbawiony także Niemiec ze strefy sowieckiej. Było rzeczą aż nadto zrozumiałą, że ludzie spod okupacji sowieckiej odwiedzający zach. Berlin zwracali uwagę przede wszystkim na to czego brakowało im w domu. Wzrok ich poił się bogactwem wystaw sklepowych, zarzuconych żywnością i artykułami codziennego użytku, luksusem eleganckich dzielnic miasta i pewną barwnością życia w przeciwstawieniu do szarzyzny i monotonii dnia codziennego w miasteczku turyngskim czy saksońskim. Mało kto zastanawiał się nad tym, że ta błyszcząca fasada kryje szereg mniej pojętych rze-

czy, jak np. 1/4 mln. bezrobotnych. Mieszkańcy Erfurtu czy Halle powracali do domu pełni opowieści o rajskim niemal życiu mieszkańców Zachodu. Ich własny niedostatek napawał ich teraz dużo większą goryczą, a ta z kolei przeradzała się w nienawiść pod adresem tych, którzy takie warunki życia we wsch. Niemczech stworzyli.

Ale zachodni Berlin przemawiał do mieszkańców strefy sowieckiej nie tylko bogactwem i barwnością swej fasady. Ludzie pod okupacją sowiecką łaknęli nie tylko chleba, ale i słowa wolnego od cenzury sowieckiej. To słowo rzucał im Berlin nieprzerwanie za pośrednictwem dwóch potężnych radiostacji. Docierało ono bez trudu do każdego zakątka NRD, gdzie w każdym niemal domu aparat radiowy nastawiony jest na fale RIAS lub NWDR. Niemiec spod okupacji sowieckiej, przeglądając przy śniadaniu gazetę lokalną mógł słuchać komentarza zachodniego do wiadomości, które w niej znajdował. Jak tu porównać z tym sytuację Polaka czy Węgra, który nieregularnie i z dużo większym ryzykiem wyląwia spośród trzasków zagłuszanego aparatu nieliczne zrozumiałe słowa. Do tego zaś: ilu Polaków posiada aparaty mogące odbierać audycje odległych radiostacji?

Robię te porównania, aby podkreślić odmienną sytuację Niemiec wsch. i krajów demokracji ludowych. Pozostaje to bowiem w ścisłym związku z interesującymi nas wydarzeniami czerwcowymi.



Stopniowa sowietyzacja Niemiec wsch. przebiegała w sposób podobny, choć nie identyczny jak w demokracjach ludowych. Główna różnica wyrażała się odmienną tempa sowietyzacji oraz faktem istnienia okupacji wojskowej, przewidzianej na dłuższy okres czasu. Stopniowe przekształcanie ustroju wg wzorów sowieckich, zapoczątkowano — jak w krajach „satelickich” — likwidacją wielkiej własności junkrów pruskich oraz upaństwowieniem kluczowych pozycji przemysłu ciężkiego. Życie polityczne oprzeć się miało na współdziałaniu czterech partii „antyfaszystowskich”: komunistów, socjaldemokratów, liberałów i chrześcijańskich demokratów. W pierwszej, po kapitulacji, odezwie KPD (z 16.VI.45) jest mowa o tym, że: „w momencie zniszczenia hitlerysty należy prowadzić do końca dzieło demokratyzacji Niemiec, zapoczątkowane w r. 1848. System polityczny należy przekształcić wg. wzorów mieszczańsko-demokratycznych” i dalej: „jesteśmy zdania, że błędem byłoby narzucać Niemcom system sowiecki, ponieważ nie odpowiadałoby to obecnym warunkom rozwojowym Niemiec. W obecnej sytuacji w interesie Niemiec leży obranie innej drogi: ustanowienie antyfaszystowskiego, demokratycznego reżimu, republiki parlamentarno-demokratycznej, ze wszystkimi prawami i wolnościami demokratycznymi dla obywateli”. Wskazuje się na to, że w okresie

okupacji urzeczywistnienie socjalizmu jest i tak niemożliwością. Stwierdzenie takie nabiera znaczenia jeśli przypomnieć sobie, że w owym czasie obliczano okupację Niemiec na 25-30 lat.

W niecały rok później, na 15 kongresie KPD (kwiecień 1946) poprzedzającym połączenie się z socjaldemokratami w SED (Sozialistische Einheitspartei Deutschlands) mówi się nawet o tym, że podstawowe nauki marksizmu nie mogą być traktowane schematycznie jako sztywne kanony wiary, lecz muszą być *przystosowane* do specyficznych warunków niemieckich. Oznacza to „własną niemiecką drogę rozwoju” (z referatu Antona Ackermanna do niedawna członka-kandydata Politbiura SED i urzędującego min. spr. zagr.).

W pierwszym okresie okupacji socjalizm stawia się więc jako bardzo odległy cel i mówi się nawet o jakiejś bliżej nieokreślonej „niemieckiej drodze do socjalizmu”. W dwa lata później Ackermann musi wprawdzie publicznie stwierdzić, że to ostatnie stwierdzenie było ciężkim błędem, że do socjalizmu iść można tylko jedną drogą wytyczoną przez ZSSR i w oparciu o ZSSR. Oświadczenie Ackermanna było na razie jedynie odbiciem starć ideologicznych, nurtujących partię, i interesowało jedynie jej członków. Na zewnątrz o socjalizmie nie mówi się jeszcze w r. 1948, nie ma o nim także mowy w akcie erekcyjnym Niemieckiej Republiki Demokratycznej z paźdz. 1949 r. Przywódcy SED podkreślają niejednokrotnie z naciskiem, że system polityczny wprowadzony w Niemczech Wsch. nie jest systemem demokracji ludowej, która od początku pomyślana jest jako szczybel przejściowy do socjalizmu. SED nie wchodzi także oficjalnie do Kominformu. Nawet ogłoszenie planu 5-letniego dla NRD w listopadzie 1951 nie stało się okazją, aby mówić o „budowie podstaw socjalizmu”. Punkt zwrotny miał nadejść dopiero w lipcu 1952 na II konferencji partyjnej SED.



Okupacja Niemiec wsch. przez Sowiety miała z początku zgoła inny charakter niż okupacja Polski, Czechosłowacji, czy nawet Węgier i Rumunii. Kraje „satelickie” od początku posiadały własny aparat państwowy z rządem na czele. Przekazywanie poleceń Moskwy odbywało się na najwyższej płaszczyźnie: rządu czy politbiura partii komunistycznej państwa satelickiego. Okupacja sowiecka w krajach demokracji ludowych była mniej dostrzegalna niż we wsch. Niemczech, gdzie Rosjanie rządili przez szereg lat bezpośrednio nawet na szczeblu powiatowym czy gminnym. Do r. 1949 nie istniał rząd centralny wschodnio-niemiecki, zorganizowano tylko administracje prowincjonalne. Dla przeciętnego mieszkańca Niemiec wsch. właściwym reprezentantem władzy był umundurowany żołnierz sowiecki. Urzędnik, policjant czy funkcjonariusz partyjny niemiecki był przez szereg lat jedynie doraźnym egzekutorem albo po prostu tłumaczem rozkazów, wydawanych niemal na oczach ludności. Ten stan rzeczy

nie budził w ludności sprzeciwu, ponieważ był rezultatem klęski, ponieważ na innych obszarach okupowanych Niemiec działało podobnie. Od momentu utworzenia NRD i powołania rządu Grotewohla sytuacja zaczęła się zmieniać i upodabniać do stanu rzezy panującego w demokracjach ludowych. Okupant sowiecki usuał się stopniowo na dalszy plan, choć przy różnych okazjach ingerował oficjalnie w sprawy wewnętrzno-niemieckie, rolę reprezentowania systemu sowieckiego wobec ludności przyjęła zaś rodzima administracja niemiecka z rządem i politbiurem partii na czele. Partie mieszczańskie, po pierwszym okresie pewnej niezależności, uległy zglajchszaltowaniu i degradacji do roli satelitów partii rządzącej. Zadaniem organów niemieckich stało się odtąd narzucanie ludności szeregu zarządzeń, które budziły coraz większy sprzeciw. Ten fakt tłumaczy dlaczego demonstracje czerwcowe skierowane były głównie przeciw rządowi i partii rządzącej w Niemczech wsch. nie zaś przeciwko okupantowi.

W pierwszych latach powojennych powszechny niedostatek, brak żywności i artykułów pierwszej potrzeby przyjmowany był przez Niemców jak wydarzenie spowodowane siłą wyższą. Głodujący w Saksonii robotnik dowiadywał się o rozruchach głodowych ludności Zagłębia Ruhry. Gospodarcze położenie Niemców pod okupacją zachodnią nie mogło w owym czasie budzić zazdrości w mieszkańcu strefy sowieckiej. Był tu wprawdzie terror polityczny, który nie znajdował żadnego odpowiednika w zach. Niemczech, ale po kilkunastu latach terroru hitlerowskiego Niemcy nie zdążyli jeszcze poznać smaku wolności.

W r. 1948 nastąpiły dwa wydarzenia, które przynieść miały wielkie zmiany w tym nastawieniu: reformę walutową i blokadę Berlina.

Wycofanie starej Reichsmarki nastąpiło na obszarze Niemiec w lecie 1948 r. Reforma walutowa przeprowadzona została osobno w zach. i wsch. części Niemiec. Od tego momentu w położeniu gospodarczym ludności obu obszarów zarysowywała się zasadnicza różnica i w miarę lat pogłębiała się coraz bardziej. Rezultatem reformy pieniądza w zach. Niemczech był bujny rozwój sił produkcyjnych (indeks wzrostu produkcji przemysłowej przy założeniu 1938 r. = 100; 1948 — 70; 1949 — 85; 1950 — 107; 1951 — 132), gwałtowne podniesienie się stopy życiowej pracującej ludności i... wzrost bezrobocia. Rozpoczęto na wielką skalę budownictwo mieszkaniowe, rynek zarzucony został żywnością i artykułami codziennej potrzeby po cenach dostępnych dla pracującej ludności. Pozwoliło to z miejsca na zniesienie systemu kartkowego.

W Niemczech wschodnich reforma walutowa również przyniosła pewne zmiany na lepsze. Położenie gospodarcze uległo i tutaj pewnej poprawie. W związku z kilkakrotną obniżką cen wolnorynkowych i pojawieniem się większej masy towarowej na ryn-

ku stopa życiowa ludności wzrastała nadal w latach 1949-1950, jednak proces ten był znacznie powolniejszy niż w Niemczech zach. i nigdy nie osiągnięto nawet w przybliżeniu tamtejszego standardu życiowego ludności zarobkującej. Od r. 1951 krzywa wykreślająca kształtowanie się poziomu życiowego ludności pod okupacją sowiecką zaczyna się niepowstrzymanie obniżać. Proces ten trwa do chwili obecnej.

W tym krótkim okresie względnej prosperity, jaki nastąpił w strefie wschodniej sowiezacja czyni jednak dalsze postępy. Powstają pierwsze państwowe sklepy detaliczne, rozpoczyna się wypieranie czynnika prywatnego z handlu i przemysłu. W przemyśle i górnictwie rozpoczyna się propagowanie ruchu stachanowskiego, od robotnika żąda się coraz większej wydajności pracy.

Niewątpliwe polepszenie położenia gospodarczego ludności w Niemczech wsch. nie przyniosło jednak stronie sowieckiej spodziewanego efektu propagandowego ponieważ równocześnie z przeprowadzeniem reformy walutowej nastąpiło wydarzenie zasadniczo zmieniające sytuację Niemiec w polityce międzynarodowej. Rozpoczęła się blokada zach. Berlina przez Sowiety.

Okupanci zachodni ratujący ludność miasta przed katastrofalną alternatywą: głód lub kapitulacja wobec żądań sowieckich, stali się nagle, niemal z dnia na dzień, sojusznikami. Nie bardzo dotychczas dostrzegana różnica między okupantem wschodnim i zachodnim stała się nagle dla większości Niemców zasadnicza. Codzienna walka o zdobycie chleba, pochłaniająca w pierwszych latach powojennych główny wysiłek przeciętnego Niemca, zeszła nagle na drugi plan. Na czoło wysunęło się zagadnienie wyboru między światem wolnym lub stalinowskim więzieniem narodów. Ogromna większość Niemców w obu częściach kraju nie miała najmniejszych wątpliwości po której stronie należy się opowiedzieć. Ameryka, pragnąc uczynić ten wybór nieodwracalnym, zaczęła dążyć do związania Niemiec z systemem politycznym świata zachodniego. Wymagało to czynienia szeregu koncesji na rzecz Niemiec zach., które stopniowo stawały się jedną z kluczowych pozycji w walce o świat.

W takiej grze okupant sowiecki nie był w stanie przeliczyć swych partnerów zachodnich. Próba organizowania nastrojów ludności w oparciu o tradycję współpracy Prus z Rosją, wywołanie duchów Yorków i Scharnhorstów, dawała efekty zgoła komiczne. W nowopowstałej sytuacji zmiany tych nastrojów nie dałoby się uzyskać nawet za cenę poważnych koncesji gospodarczych na rzecz ludności. Ale prób takich ze strony sowieckiej tak czy owak nie czyniono. Wręcz przeciwnie, rozpoczęto realizację pierwszego planu pięcioletniego (1951-55). Forsowanie inwestycji kosztem spóżyca ludności zaczęło szybko dawać znane rezultaty. W sklepach państwowych często poczęło braknąć żywności, od chłopów zaczęto żądać coraz większych kontyngentów, robotnikom narzucono mimo protestów tzw. umowę zbiorową, wypieranie inicjatywy prywatnej postępowało coraz szybciej. Roz-

wój wypadków w Niemczech wsch. szedł coraz wyraźniej w kierunku, któremu oficjalny stempel dać miała II konferencja partyjna SED w lipcu 1952.

We wszystkich dotychczasowych posunięciach Moskwy na obszarze wsch. Niemiec widoczne było jeszcze, że dokonywane są z myślą pozostawienia sobie możliwości kontynuowania planów politycznych w skali ogólnoniemieckiej, choć rozwój wypadków czynił te plany coraz bardziej iluzorycznymi. Moskwie pozostawała właściwie tylko alternatywa przehandlowania okupowanej części Niemiec wzamian za neutralizację całego obszaru lub definitywne zrezygnowanie z tego przez włączenie Niemiec wsch. do systemu państw satelickich. Przebieg II konferencji partyjnej SED zdawał się przemawiać za tym, że zdecydowano się na to drugie. W punkcie 6 rezolucji powziętej na konferencji, stwierdzono bowiem, że „warunki polityczne i gospodarcze, jak również stopień uświadomienia klasy robotniczej i większości ludzi pracujących powodują, że realizacja socjalizmu w NRD stała się podstawowym zadaniem”. W innych punktach zapowiedziano przystąpienie do kolektywizacji gospodarstw chłopskich, reformę prawa cywilnego (dotychczas w całych Niemczech jednolitego), utworzenie narodowych sił zbrojnych i in. Tak więc w połowie 1952 r. NRD znalazła się w punkcie rozwojowym, który w krajach demokracji ludowych osiągnięty został 2-3 lata wcześniej.

Tempo w jakim przystąpiono do „realizacji socjalizmu” wskazywało na to, że komuniści niemieccy postanowili nadrobić możliwie szybko te zaległości. W pierwszej linii przystąpiono do uszczelnienia żelaznej kurtyny dzielącej Niemcy na dwie części. Systemem sowieckim stworzono szeroki pas pokryty zaskiekami z drutów i wieżami obserwacyjnymi. Dziesiątki tysięcy Niemców zostało w krótkim czasie wysiedlonych ze strefy przygranicznej i nadmorskiej. W odniesieniu do Berlina jedynym obostrzeniem był zakaz poruszania się mieszkańców zach. części miasta w sowieckiej strefie okupacyjnej. Wschodniego Berlina zakaz ten nie dotyczył. W krótkim okresie trzech miesięcy zdążono zorganizować pierwszych siedemset kolchozów (1 czerwca 1953 r. było już ich ponad 7.000) likwidacja prywatnego handlu przybrała formy masowe. W związku z tworzeniem żywnościowych rezerw strategicznych dla armii wschodnio-niemieckiej (oficjalna nazwa: skoszarowana policja ludowa) sytuacja aprowizacyjna staje się katastrofalna. Ażeby zapewnić regularne przydziały kartkowe przynajmniej dla urzędników i robotników rząd nakazuje odebranie kartek żywnościowych wszystkim posiadającym samodzielne warsztaty pracy, jak również osobom, których źródła dochodów są nieustalone. To ostatnie zarządzenie uderza w masy najbiedniejszej ludności, żyjącej z dorywczych zarobków i głodowej renty. Działalność partii na odcinku młodzieżowym i pragnienie zapewnienia sobie wyłączności wpływu na mło-

dzież doprowadza w krótkim czasie do otwartej walki z organizacjami katolickimi i protestanckimi, oraz masowych aresztowań pośród duchowieństwa i młodzieży pracującej w organizacjach wyznaniowych. Rozpoczyna się przymusowa rekrutacja młodych roczników do służby wojskowej oraz do pracy w kopalniach rudy uranowej na pograniczu niemiecko-czeskim. Rezultatem jest masowa ucieczka do Berlina ludności zagrożonej prześladowaniami czy rekrutacją. Miasto to zapełnia się setkami tysięcy uchodźców. Masowość tej ucieczki wskazuje wyraźnie na to, że granice „dopuszczalności” stosowania terroru w specyficznych warunkach niemieckich, dawno już zostały przekroczone. Ten stan rzeczy trwa we wschodnich Niemczech prawie rok. 9 czerwca 1953 r. następuje nagle sensacyjny zwrot w postaci komunikatu Politbiura SED.

Oświadczenie Politbiura oznaczało całkowity odwrót z obranej przed rokiem linii działania. Sensacyjnie brzmiało już jedno z pierwszych zdań: „Politbiuro wychodzi z założenia, że partia i rząd popełniły szereg błędów” co stało w zupełnej sprzeczności z podtrzymywaną dotąd tezą, że partia jest nieomylna.

W komunikacie stwierdzono, że „interesy takich grup ludności jak chłopi indywidualni, kupcy, rzemieślnicy i inteligencja były dotychczas zaniedbywane”. Politbiuro wysunęło pod adresem rządu propozycje: korektury planu 5-letniego na odcinku budowy ciężkiego przemysłu, zwiększenie produkcji artykułów masowego spożycia, moratorium podatkowe dla sektora prywatnego w gospodarce, wezwanie do powrotu chłopów i innych osób, które uciekły z NRD, połączone z obietnicą niestosowania żadnych represji i zwrotu chłopom wywłaszczonych gospodarstw, przyznanie chłopom prawa do występowania z kołchozu, przyznanie kartek żywnościowych całej ludności strefy, zaniechanie wszelkich prześladowań organizacji kościelnych i wyznaniowych oraz wprowadzenie dalekoidących ułatwień dla mieszkańców NRD pragnących odbyć podróż do Republiki Związkowej i odwrotnie.

Ten zwrot w polityce sowieckiej wskazywał na to, że zaczyna ona nabierać znowu owych cech elastyczności, jakie zatrikała w ostatnich latach życia Stalina. Nowe posunięcie za jednym zamachem wprowadzało Sowiety na nowo do rozgrywki o Niemcy. Nadzieje, jakie Sowiety wiązały z proklamowaniem „nowego kursu” w Niemczech wsch. miały jednak zostać bardzo szybko przekreślone. Zanim świat zdążył ochłonąć z jednej sensacji, przysłała druga jeszcze większa — wydarzenia z 17 czerwca we wsch. Berlinie.

Istnieje szereg prób wytłumaczenia, dlaczego doszło do wybuchu właśnie w momencie, gdy Niemcy spod okupacji sowieckiej mieli prawo oczekiwać przynajmniej na pewien czas złago-

dzenia terroru politycznego i poprawy gospodarczej. Ze strony sowieckiej twierdzi się, że wypadki czerwcowe były aktem przygotowanym i sprowokowanym przez Zachód. Wg wersji sowieckiej celem tej demonstracji miało być udaremnienie realizacji „nowego kursu”, zapoczątkowanego komunikatem Politbiura. Strona zachodnia podkreśla natomiast, że rewolta czerwcową była aktem od początku do końca spontanicznym, aktem protestu długo ciemionych ludzi, którzy nie wierzą już żadnym obietnicom ciemniyciela.

Tak przedstawiają się wersje skrajne. Istnieją również wersje pośrednie, z których jedna przypisuje inicjatywę wywołania rozruchów kierownictwu SED. Rzecz pomyślana była rzekomo jako demonstracja niewielkiej grupy robotników, która miała pomaszerować przed Friedrichstadt Palast, gdzie obradował berliński aktyw partyjny i przedłożyć tam szereg postulatów, zmierzających do polepszenia sytuacji gospodarczej klasy robotniczej. Przewidziane było zaaprobowanie tych postulatów i wyzyskanie propagandowe tego faktu jako przekonywującego dowodu demokracji wewnętrzno-partyjnej i wprowadzania w życie nowego kursu. Do pochodu przyłączyły się jednak tysiące innych robotników i wówczas organizatorom wymknęło się z rąk panowanie nad tłumem, który zamiast w kierunku przewidzianym pomaszerował przed siedzibę ministerstw i zamiast obniżki norm domagać się zaczął ustąpienia rządu i przeprowadzenia wolnych wyborów. Dalsze wypadki potoczyły się jak lawina i nie można już było ich powstrzymać.

Wg innej wersji rozruchy sprowokować miała część przywódców SED z Ulbrichtem na czele, aby w ten sposób wykazać, że odwrót z dotychczasowej drogi sowietyzacji Niemiec wsch. jest błędem i prowadzi jedynie do wzmocnienia sił reakcji. Jednak rozmiar rewolty miał być zaskoczeniem dla jej organizatorów. Ostatnia wreszcie wersja przypisuje ludziom z Bonn inicjatywę rzucenia pierwszej iskry na zapalne prochy przez przygotowanie strajku robotników budowlanych na jednym z bloków przy Stalin Allee (dawna Frankfurter Allee) we wschodnim Berlinie.

Wydaje się, że tylko jedną z tych wersji odrzucić można bez zastrzeżeń — mianowicie wersję sowiecką wg której wypadki od początku do końca były wyreżyserowane i kierowane przez stronę zachodnią. Jeśli chodzi o wersje pozostałe, to każda z nich zawierać może ziarnko prawdy i na rzecz każdej dałoby się przytoczyć szereg przekonujących argumentów. Nie jest pozabawiony np. znaczenia fakt, że w komunikacie Politbiura SED mówi się głównie o polepszeniu sytuacji chłopów, rzemieślników, kupców i inteligencji a prawie wcale nie wspomina się o sytuacji robotników. Niezrozumiałe wydaje się również, że w momencie tak zasadniczego złagodzenia kursu pojawia się zapowiedź podniesienia normy dla robotników budowlanych o 10 %. Właśnie to stało się bezpośrednim powodem strajku na bloku 40 przy Stalin Allee i wyruszenia pochodu 70 robotników tego bloku. Czy do marszu tego namówili ich ludzie Ulbrichta, czy Ade-

nauera, czy wreszcie powstał on z ich własnej inicjatywy wydaje się rzeczą dość drugorzędną. Istotne znaczenie posiada bowiem fakt, że już po bardzo krótkim czasie pochód 70 robotników urósł w tysiące, że przyłączał się do niego po prostu każdy mijany robotnik. Przed siedzibą rządu na Leipziger Strasse zebrał się już wielotysięczny tłum, który na próżno usiłowało uspokoić kilku ministrów. W zalegających ciemnościach tłum rozszedł się do domów z postanowieniem: jutro przyjdzie tu nas jeszcze więcej. Było to 16 czerwca wieczorem.



Przebieg wypadków następnego dnia jest zbyt znany, aby go tu rekonstruować. 17 czerwca demonstrował już cały wschodni Berlin z okolicami, a w dzień później rewolta objęła wszystkie niemal większe ośrodki miejskie NRD.

Jak doszło do tego, że wypadki przybrały i że mogły przybrać taki rozmiar? Próbowano zastanawiać się nad tym czy było dowodem rozsądku politycznego mas demonstrowanie w momencie zapowiedzi złagodzenia kursu, czy nie należało raczej odczytać rezultatów tej zapowiedzi. Mechaniki powstawania pewnych procesów społecznych nie da się wytłumaczyć przesłankami rozsądku czy logiki. Jeden z publicystów niemieckich porównał rewoltę czerwcową do pożaru lasu po długim okresie zupełnej suszy. Być może nie uda się nigdy stwierdzić kto rzucił pierwszą iskrę powodującą pożar, jest natomiast nietrudny do stwierdzenia fakt, że materiału łatwopalnego zebrało się w ciągu ostatniego roku, od momentu proklamowania realizacji socjalizmu w NRD — aż nadto. Złych doświadczeń z okupantem sowieckim i wprowadzonym przez niego stalinowskim systemem rządów mają Niemcy dostatecznie dużo. Jest rzeczą całkowicie wytłumaczalną, że masy niemieckie nie myślące kategoriami politycznymi poczytały tzw. nowy kurs po prostu za objaw słabości. W psychice niemieckiej istnieje bardzo silnie zaakcentowany moment pogardy dla słabości przeciwnika. Łączy się z nim pokusa niszczenia wroga w momencie gdy demonstruje swoją słabość. W przekonaniu tym, że reżim wschodnio-niemiecki jest słaby i chwieje się utwierdzała ludność akcja propagandowa Zachodu. Obok długo tłumionej nienawiści moment ten wywarł zasadniczy wpływ na masowość udziału ludności w rozruchach.

Sam udział mas w demonstracjach nie mógł im jednak zapewnić charakteru otwartej rewolty. Odegrał tu rolę inny czynnik, który na początku już określono jako wyjątkowość sytuacji NRD pośród państw zza żelaznej kurtyny. Nikt chyba nie wątpi, że próba wywołania podobnych rozruchów np. w Polsce została by stłumiona krwawo w zarodku. Reżim stalinowski dysponuje dostatecznymi środkami technicznymi, aby tłumić wszelkie odruchy buntu. Zupełną bierność Volkspolizei i wojsk sowieckich pierwszego dnia demonstracji, 16 czerwca, łatwo wytłumaczyć można momentem zaskoczenia. Ale już następnego dnia rano

połączone siły policji niemieckiej i armii okupacyjnej mogły przy użyciu brutalnych środków nie dopuścić do zebrania się tłumów przed budynkiem rządu i w innych punktach miasta. Jak się natomiast rzecz miała w rzeczywistości? W ciągu całego przedpołudnia wojsk sowieckich w ogóle nie użyto do akcji, zaś policja niemiecka ograniczyła się wyłącznie do działań defensywnych (tworzenie kordonu przed budynkiem rządowym itd.). Pierwsze czolgi i ciężarówki z żołnierzami sowieckimi, krążyły początkowo przez długi czas pośród demonstrantów nie strzelając wcale lub strzelając dla postrachu w górę. Gdy później padły pierwsze strzały w tłum, zaprzestano ich zaraz gdy tylko demonstranci zaczęli się rozpraszać. Kilka bardzo bojowo nastawionych gazet berlińskich pisało o bezwzględnej i brutalnej akcji Rosjan. Gdyby to była prawda, liczba ofiar byłaby kilkunastokrotnie wyższa. W rzeczywistości ofiar tych nie było więcej niż przy demonstracji komunistów paryskich 14 lipca br.

Było oczywiste, że władze okupacyjne wyraźnie pragnęły uniknąć przelewu krwi, a później ograniczyć go przynajmniej do minimum. Nie decydowały o tym oczywiście względy humanitarne, o które trudno posądzać Ulbrichta czy Semjonowa, lecz wyłącznie momenty polityczne. Za wszelką cenę chciano zachować w ręku atuty w nowej fazie rozgrywki o Niemcy.

Fakt iż wojska sowieckie użyte zostały do akcji w sposób wstrzemięźliwy nie osłabia wartości — można by niemal powiedzieć — czynu rewolucyjnego uczestników demonstracji. Nie mogli oni wiedzieć, że Wysoki Komisarz sowiecki w Niemczech, Semjonow, polecił dowódcom jednostek pancernych strzelać tylko w ostatecznym wypadku. Samo pojawienie się czołgów nie wywołało bynajmniej paniki pośród tłumów, które rozstępowały się aby przepuścić czołgi, ale pozostawały na miejscu.

Zapoczątkowanie rewolty i przeważający udział w demonstracjach jest niezaprzeczalnie zasługą robotników niemieckich. Nie było przypadkiem, że największe nasilenie przybrały rozruchy w środkowej i południowej części kraju, najbardziej uprzemysłowionej, a co za tym idzie, posiadającej liczne masy proletariatu miejskiego. W rolniczej Meklemburgii krytyczne dni przebiegły niemal bez oddźwięku. W drugiej fazie demonstracji (od południa 17 czerwca) do akcji włączyły się tłumnie i inne grupy ludności. W godzinach popołudniowych rozruchy przybrały na pewnych odcinkach charakter ekscesów z plądrowaniem sklepów, podpalaniem domów itd. Było to już „zasługą” szumowin wielkomijskich i pewnych grup pravicowych. Demonstrujący robotnicy starali się, tam gdzie to było możliwe, zapobiec tego rodzaju wyczynom obniżającym powagę manifestacji politycznej. Na podkreślenie zasługuje fakt, że w szeregu miast niszczono portrety Lenina, Stalina i Ulbrichta natomiast oszczędzono portrety Marksa. Jeśli chodzi o hasła wysuwane najczęściej przez demonstrantów, to nie miały one jakiegoś specjalnego charakteru proletariackiego, lecz wyrażały żądania całej ludności: ustąpienie rządu, wolne wybory, zjednoczenie Niemiec itp.

Udział mieszkańców zach. Berlina w demonstracjach nie jest przez nikogo kwestionowany. W tłumach manifestantów stanowią oni jednak zdecydowaną mniejszość.

Przedstawiciele życia politycznego zach. Niemiec, prasa i radio prowadziły szeroką akcję propagandową w celu dyskontowania w wolnym świecie zasługi dokonania pierwszej otwartej rewolty na obszarze za żelazną kurtyną. Choć, jak stwierdzono wyżej, rewolta ta możliwa była tylko dzięki wyjątkowej sytuacji i koniunkturze, uznać należy, że próba dyskontowania tego rodzaju zasług jest dobrym prawem Niemców.

Wydarzenia niemieckie nie spotkały się z poważniejszym oddźwiękiem w krajach demokracji ludowych. Głośne wydarzenia czeskie poprzedziły rozruchy we wsch. Niemczech, w Polsce zaś nie nastąpiło nic, co posiadałoby jakiś związek z rewoltą niemiecką. Pewne próby lansowania niesprawdzonych wiadomości o rzekomych rozruchach w Polsce i przedstawienie ich w tej formie, jak gdyby były oddźwiękiem wydarzeń niemieckich, były rezultatem nadmiernej gorliwości kilku pism niemieckich. Wiadomości te nie zostały z żadnej strony potwierdzone i wygląda na to, że stanowiły po prostu część wymienionej kampanii propagandowej.

Witold KOSTRZYŃSKI

Nowa Turcja

Nowożytnie dzieje Polski i Turcji przebiegały równoległymi torami. Złota doba u nas posiadała odpowiednik w szczytowym okresie osmańskiej Porty za Solimana Wspaniałego (1520-1566), zaś umowa z Rosją w Kuczuk Kajnardzi (1774), która zapoczątkowała upadek imperium Osmanów, zawarta została w dwa lata po pierwszym rozbiore Rzplitej. W 19-tym i na początku 20-go wieku niewola Polski szła w parze z „życiem w śmierci” „chorego człowieka nad Bosforem”, długi zaś proces odrodzenia Turcji, datujący się od rewolucji 1908 roku, rozwijał się niemal analogicznie do polskiego: i tu i tam walczono z rozkładowym wpływem wielu pierwiastków tradycji oraz z potęgami zaborczyimi pod wodzą tak różnych, ale i tak podobnych do siebie, wielkich postaci Atatürka i Piłsudskiego. W dobie między wojnami państwa nasze również miały wiele cech pokrewnych. Oba były szczątkami dawnych mocarstw, zredukowanych omal do granic narodowo-etnograficznych. W Polsce — nie tradycja Jagiellonów kształtowała naszą „rzeczywistą rzeczywistość”, lecz idee Dmowskiego: potępialiśmy w większości dawną

ekspansję na Wschód i broniliśmy interesów wąsko-narodowych. Uzasadniając podobną politykę nowej Turcji w słynnym przemówieniu z 1927 r. *) Ataturk dowodził, iż „wewnętrzna struktura państwa (osmańskiego), które rozprzestrzeniało się z zachodu na wschód i granicami swymi obejmowało różne przeciwstawne sobie elementy, o kłócących się dążeniach i kulturach, musiała być z konieczności wadliwa i słaba... jej ostatecznym wynikiem było pogrzebanie imperium Osmanów...” (str. 377 i 388).

Dopiero druga wojna światowa przerwała analogię rozwoju obu państw. Wpłynęło na to i położenie geograficzne Polski między dwoma wrogimi sąsiadami, podczas gdy Turcji zagrażała tylko Rosja; oddziaływały i odmienne szkoły polityczne: tradycja realizmu i przebiegłości politycznej Turków i niezdolność polska ani do machiawelskiego manewru, ani do polityki „szaleństwa”, o której kiedyś wspominał Piłsudski *). Z drugiej strony niewiele jednak brakowało, byśmy się razem znaleźli za kratami tego samego więzienia. Przypadek, iż Zachód wcześniej posiadał bombę atomową i chwilowe osłabienie potęgi sowieckiej w zapasach z Niemcami nie pozwoliły Moskwie na politykę faktów dokonanych wobec Turcji pod koniec wojny lub po rozmowach w Potsdamie.

Czy losy nasze nie spotkają się znowu jutro na wspólnej drodze historii? Wiele przemawia, że tak właśnie się stanie. Oba kraje leżą w bezpośrednim zasięgu imperialistycznych ambicji Moskwy, patrzącej na każdego niezależnego sąsiada, jak na więźnia na honorowym urlopie, który z własnej woli lub pod przymusem powróci z czasem do swej celi. I albo rosyjskie więzienie zostanie przebudowane na dom ludzi wolnych i my odzyskamy wolność, albo wcześniej czy później zostaniemy wraz z Turkami współlokatorami tego „martwego domu”. Wspólna wolność lub wspólna niewola jest konstantą naszych dziejów na dłuższej fali. Oto dlaczego temat Turcji posiada dla nas specjalne znaczenie.

TREŚĆ CYWILIZACJI TURCJI

Kemal Ataturk, wyraziciel ideałów duchowych dzisiejszej Turcji, wierzył w uzachodnienie swego kraju i rozumiał wartość demokracji politycznej. Jego etatyzm i rewolucjonizm, owe podstawowe zasady, z których wypływały wszystkie programy i reformy, były tylko metodycznymi wskazaniem prowadzącymi do

*) Było to najdłuższe bodaj ze znanych historycznych przemówień i trwało przez całych sześć dni. Istnieje tłumaczenie angielskie: „A Speech Delivered by Ghazi Mustapha Kemal, President of the Turkish Republic, October 1927”, str. 724. Wydawca K.F. Koehler, Lipsk, 1929.

*) „...Aby to co było szaleństwem, stało się także i rozumem Polski”.

wyzwolenia narodu z duchowego średniowiecza, nędzy i wyzysku przez obcych. Ataturk zresztą nie był ani pierwszym ani ostatnim reprezentantem idei, dążącym do osiągnięcia demokratycznego celu w drodze przejściowej totalizacji ustroju. Bronisław Malinowski w wydanej w czasie drugiej wojny światowej (już po jego śmierci) książce „Freedom and Civilization” podkreślał konieczność częściowego zawieszenia zasad demokratycznych na Zachodzie w imię zmobilizowania sił, niezbędnych dla zwalczania totalizmu. *Similo similibus curantur* — jest zasadą odwieczną.

Nie etatyzm więc ani rewolucjonizm określają treść tureckiego życia lecz nieprzerwany i pogłębiający się proces europeizacji i demokratyzacji jest naczelną cechą ewolucji społeczeństwa tureckiego. Zadziwiającą jest łatwość, z jaką odbywa się ten proces, świadcząc o ukrytej predyspozycji do zachodzących przemian. Staje się ona zrozumiała, gdy zastanowimy się nad treścią cywilizacji tureckiej w istocie nieorientalnej. Związki Turcji z resztą Azji porównać można, z pewną zresztą przesadą, do łączności współczesnych Węgrów lub Finów ze światem Turanu, natomiast spokrewnienie Turków z cywilizacjami i rasami morza Śródziemnego jest organiczne i wszechstronne. Gdy się jedzie trolleybusem przez ulice Ankary lub pociągiem ze Stambułu do Aleppo, przecinając całą Małą Azję, obserwuje się typy o rysach, ruchach i zachowaniu takim samym, jak w Rzymie, Paryżu czy Warszawie. Z jedną tylko różnicą. Jeszcze więcej zimnej rezerwy i prawie zupełny brak głośniejszych południowych rozmów i gestykulacji. Publiczność turecka przypomina pod tym względem londyńską. Te same cechy charakteryzują ludność wnętrza kraju.

Omawiając dzieje turkizacji Małej Azji Arnold J. Toynbee *) podkreśla, iż jej muzułmański i turecki charakter jest jedną z największych zagadek historii. Przybyłe w 11-tym wieku z Centralnej Azji hordy nomadów tureckich zastały kraj dość gęsto zaludniony, jak na ówczesne stosunki. Lecz pomimo przewagi liczebnej i kulturalnej, ludność środkowej i wschodniej Anatolii szybko zmieniła język, religię, a po części i obyczaje, i cały ten proces nie odbył się w drodze masakr lub masowej kolonizacji. Charakter fizyczny obecnej ludności tureckiej przeczy takiemu przypuszczeniu. Centralno-azjatycki typ bardzo rzadko występuje w Turcji a przeważa typ alpejski z odchyleniami armenoidalnymi. Przemawia to za tym, że tubylcza ludność wchłonęła fale najeźdźców, przyjmując jednocześnie ich język i religię. Nie po raz pierwszy zresztą w dziejach ludność Małej Azji w ten sposób zmieniała swe oblicze. Była ongiś hetycką, potem grecką, wreszcie stała się turecką. Toynbee stara się wytłumaczyć

*) *The Western Question in Greece and Turkey, A study in the Contact of Civilizations*, London, 1923. Jakkolwiek praca ta jest nieco przestarzała, jednak w zarysach oddaje dobrze poruszone zagadnienie.

łatwość procesu turkizacji środkowej i wschodniej Anatolii charakterem cywilizacji bizantyńskiej, która ludność ludność większą pozostawiła na poziomie prymitywu kulturalnego, łatwo ulegającego wpływowi nowej i prężnej kultury. W dodatku Bizancjum było na wskroś arystokratyczne i kastowe, zaś Islam i Turcy nieśli ze sobą hasła równości wyznawców Proroka.

Jednak turkizacja zachodniej i północno-zachodniej Anatolii trwała przez 13-ty i 14-ty wiek i natrafiała na duże trudności. Lecz i w tym wypadku pociągały Greków duże możliwości we wcześniej sturczonyj części kraju. Organizacja chanatów w środkowej i wschodniej Anatolii była po części dziełem sturczonych Greków, wyzbytych bizantyńskiego skostnienia i marazmu. Jako klasyczny przykład Toynbee przytacza dzieje tureckiej rodziny Evrenos, której protoplasta grecki, ostatni gubernator Brussy, po krwawych zapasach z najeźdźcami, nie otrzymując pomocy z Konstantynopola, poddał się i wraz z częścią swych poddanych przyjął Islam. W dwie generacje później potomek tegoż gubernatora podbił dla Osmanów Macedonię i stał na czele pierwszego najazdu na Moreę. Za te zasługi rodzina Evrenos otrzymała w lenno Yenice Vardar, które było w jej rękach aż do 19-go stulecia.

I tak hetyckim a przede wszystkim greckim podłożem można tłumaczyć u Turków zdecydowane tendencje w kierunku zachodnienia. Zrozumiała jest przy tym pewna nagłość, z jaką proces ten ujawnił się po części jeszcze w 19-tym stuleciu, a głównie po drugiej wojnie światowej. Za czasów osmańskich przeważał napór cywilizacyjny Persów i Arabów, wpływy zaś odległego Zachodu, a więc pierwiastki śródziemnomorskie, były w śpieniu i dopiero w obecnym okresie historycznym, po wstrząsach pierwszej wojny światowej i rewolucji kemalistowskiej, ujawniły się z całą siłą.

Wy tłumaczalny jest również fakt, iż w latach 1918-30 równoległe z procesem zrywania z tradycją panowały powszechnie nastroje wrogie mocarstwom zachodnim, gdyż ruch kemalistowski kształtował się w wojnie z W. Brytanią, Francją, Grecją i Italią, które planowały rozbiór nie tylko imperium, ale i samej narodowo-tureckiej Anatolii. Jako średnia wypadkowa tych wszystkich wpływów zrodziła się właśnie kemalistowska wizja narodowej Turcji, wyzbywającej się mrzonek panislamizmu, panturanizmu, a dążącej do ideału nowego świata, wyrosłego z Rewolucji Francuskiej i zachodnio-europejskiego racjonalizmu.

KEMALIZM I WALKA Z ISLAMEM

Kemalizm, biorąc filozoficznie, jest spóźnionym, tureckim wydaniem kartezjanizmu. Wiemy jednak, że kartezjanizm na Zachodzie nie dążył do walki z wiarą, podczas gdy kemalizm nabrał cech areligijnych. Warunki tureckie tłumaczą to zjawisko,

powstałe na podłożu kompletnego zdegenerowania teokratycznego ustroju osmańskiego, który nawet w obliczu klęski nie chciał ponieść najmniejszej ofiary na rzecz interesu narodowego. Turcja osmańska była o 200-300, a w niektórych wypadkach o 500 lat spóźniona w porównaniu do Zachodu. Pierwsza wzmianka o heliocentrycznym systemie Kopernika w języku tureckim ukazała się dopiero w 1685 r. i to w kilku zaledwie wierszach; dopiero w 1716 r. wprowadzono matematykę do wojskowej szkoły inżynierów; reformy Tanzimatu, datujące się od 1839 r. były w istocie formą obrony teologicznych zasad Islamu w waice z nowoczesną nauką i jeszcze pod koniec panowania Abdul Hamida II-go, tuż przed rewolucją 1908 r., wyraz *filozofia* został skreślony przez cenzurę ze słowników języka tureckiego.

Islam w Turcji aż do reformy Ataturka, jak w średniowieczu europejskim, był istotnym składnikiem codziennego życia, szkolnictwo — religijne, mentalność — przesycona płytką, lecz łatwo przechodzącą w fanatyzm, bigoterią. W tych warunkach wszelkie wysiłki ograniczania wpływów religii były równoznaczne z podważeniem zasad całego dotychczasowego życia, nabierały cech rewolucyjnych w pełnym tego słowa znaczeniu, uniemożliwiając pokojowe modus vivendi między nowym a starym. Gwałt i siła pozostały jedynym argumentem, tak jak amputacja zgangrenowanego członka pozostaje jedynym środkiem dla uratowania organizmu. W czasie dyskusji nad sprawą sułtanatu i kalifatu, Ataturk, starając się zachować zimną krew, mówił: „Nie istnieje zagadnienie, by wiedzieć, czy chcemy pozostawić władzę w rękach narodu czy nie; Jest to po prostu kwestia faktycznego ustalenia czegoś, co już zostało dokonane i co *musi być bezwarunkowo* przyjęte, jako takie. I to musi stać się *za wszelką cenę*. Jeżeli wszyscy zebrani tutaj, Zgromadzenie Narodowe i ktokolwiek inny, przyjmą to za rzecz naturalną, z mego punktu widzenia — postąpią właściwie. W przeciwnym razie zaistniałe warunki zmuszą do zastosowania koniecznych posunięć, *jednak w tym wypadku pewne głowy mogą spaść z karków*” (str. 578).

W praktyce narodziny nowego ładu w Turcji nie przybrały, jak na miarę zachodzących przemian, drastycznych form. Suficki mistycyzm od dawna podminowujący Islam, nie wytwarzał woli walki o własne interesy, zaś sama religia w masach, podobnie jak prawosławie ludu rosyjskiego przeistoczyła się w „bytowe ispowiedniczeństwo” — stając się zlepkiem tradycyjnych przepisów codziennego postępowania, średniowiecznych przesądów, chiromancji, zaklęć, amuletów i łatwo zapalnego fanatyzmu. W życiu gospodarczym zasady Islamu utrudniały rozwój inicjatywy gospodarczej, potępiając operacje bankowe, i obniżały możliwości konkurencyjne przedsiębiorstw muzułmańskich. Wobec tego na czoło życia gospodarczego w świecie Islamu wysuwały się mniejszości chrześcijańskie: Grecy i Ormianie w Turcji; Koptowie w Egipcie; Maronicy w Syrii i Libanie.

Nie wiele było więc obrońców starego ładu, poza elementami zacofanymi lub jednostkami broniącymi dawnego życia z klasowych i egoistycznych względów. O nich właśnie wspominał Ataturk, mówiąc o typie polityka „który nigdy w życiu — być może — nie mówił pacierza, lecz dziś poleca Bogu ducha winnej ludności odprawiać nocne modły, nie licząc zwyczajowych, pięciokrotnych, w ciągu dnia” (718).

NISZCZENIE I BUDOWANIE

Geniuszowi Ataturka i sprzyjającym okolicznościom należy zawdzięczać, iż reformy, które w normalnych warunkach pociągnęłyby za sobą krwawą łaźnię w rodzaju sowieckiej, lub wymagałyby dwóch-trzech stuleci stopniowego wprowadzenia, zostały przeprowadzone w niespełna lat 30 i bez żadnych ofiar. I tak na samym początku skasowano kumający się z mocarstwami, okupującymi Konstantynopol, sultanat (1922), ogłoszono republikę (1923), wreszcie zniesiono kalifat (1924), co oddzieliło ostatecznie religię od państwa. Uległy szybkiej likwidacji zakony derwiszów, szkoły religijne, zakazano klerowi pojawiać się w szatach duchownych w publicznych miejscach. W drastyczny sposób wprowadzono ubiór zachodni, prześladując zwłaszcza symbol dawnych czasów — czerwony fez. Największą i najwspanialszą w Islamie świątynię — Aja Sofię zamieniono w muzeum, powierzając je pieczy europejskich konserwatorów i archeologów. W niepowstrzymanym kataklizmie przebudowy i europeizacji chrześcijańską niedzielę uznano za dzień wypoczynku w miejsce tradycyjnego piątku; wprowadzono europejski kalendarz; pragnąc ułatwić walkę z analfabetyzmem i oderwać młode pokolenie od chorobliwej tradycji w r. 1928 zastosowano latynizację alfabetu; etapami zaprowadzono nowoczesne prawodawstwo, oparte na wzorach szwajcarskich, francuskich i niemieckich. Również i ostatnia twierdza tradycji — rodzina z wielożeństwem i poddaniem kobiety władzy męża uległa naporowi reform. W 1930 r. kobietom nadano prawo udziału w wyborach do rad miejskich, zaś w 1934 r. — pełne prawa wyborcze do parlamentu. Chaos wynikający z braku nazwisk rodowych i zwyczaju używania tylko imienia wraz z imieniem ojca i przydomków tworzonych ad hoc, rozwikłano nakazem obrania stałych nazwisk rodzinnych. Parlament przy tej okazji nadał Mustafie Kemalowi Paszy nazwisko Ataturka — ojca Turków.

W reformach tych można było wyczuć oddziaływanie m.in. prymitywnych zasad Rewolucji Francuskiej i symplizmu prądów materialistycznych 19-go wieku, z wpływami na czele modnego w kołach rewolucyjnych Turcji L. Büchnera (1824-99), niemieckiego wyznawcy czystej materii i nauk przyrodniczych. Pod-

niecała niekiedy kemalistów rewolucja faszystowska; jak i przykłady śmiałej polityki Sowietów. W okresie 1918-25, gdy mocarstwa za zielonymi stolikami krajały żywe ciała narodów stosownie do swych przejściowych a w dodatku źle pojmowanych egoistycznych interesów, w atmosferze wewnętrznej zdrady i pięknych pozorów, kemaliści musieli operować ideałami łatwymi, zapalnymi i trafiającymi do przekonania dynamicznych odłamów zacofanego społeczeństwa. Klin wybijał klinem.

Niszczenie szło w parze z budowaniem „nowego wspaniałego świata”. Zaczęto rozbudowywać szkolnictwo ludowe według wzorów europejskich i tworzyć wyższe. Wyższą Szkołę Medyczną w Stambule przemianowano w r. 1932 na Uniwersytet, na który obecnie uczęszcza około 13.000 studentów, w tej liczbie ponad 20 % kobiet. Szkołę Prawa w Ankarze rozszerzono w 1946 r. w Uniwersytet, posiadający dziś ponad 6.000 studentów, w tym 30 % kobiet. Zorganizowano szereg specjalnych szkół: wojskowych, pedagogicznych, handlowych, muzycznych, itd. W życiu gospodarczym (o czym niżej) nastąpiły zasadnicze przemiany.

ZWYCIĘSTWO DEMOKRACJI

Już w samym charakterze apodyktycznego z konieczności reżimu, walczącego o utrwalenie reform, tkwił załazek przyszłych jego politycznych trudności. Z czasem opinia turecka zaczęła zdawać sobie sprawę z rozbieżności pomiędzy hasłami postępu i modernizacji kraju a brakiem wielu podstawowych swobód demokratycznych w kraju. Sztywne i biurokratyczne formy rządów Partii Ludowej, która od 1922 r. nieprzerwanie i na wpół dyktatorsko sterowała nawą państwową, zaczęły budzić ogólne niezadowolenie. Konieczność wprowadzenia zmian i odświeżenia wewnętrznej atmosfery politycznej odczuwano nawet i w szeregach tej partii. Toteż po zakończeniu wojny Ismet Inonu, prezydent republiki i przewodniczący partii, w dniu 2-gim listopada 1945 r. zapowiedział wprowadzenie systemu wielopartyjnego w miejsce dotychczasowego — monopartyjnego. Niewątpliwie jednak, że i ogólne zmiany w układzie sił politycznych w świecie, a mianowicie zwycięstwo demokracji, przyspieszyły tę decyzję. W 1946 r. powstała opozycyjna Partia Demokratyczna i równoległe z nabierającą rozpędu walką partii politycznych, propagujących swe programy, nastąpiły dość znaczne złagodzenia w reżimie. W czasie wyborów do parlamentu, w maju 1950 r., demokratyczna treść tureckiego życia rozsadziła skorupę biurokratycznego etatyzmu i władza przeszła w ręce Partii Demokratycznej. Najbardziej charakterystyczną cechą tego okresu jest fakt, iż — jak wykazały wyniki — zupełnie nieskrępowane wy-

bory zostały przeprowadzone pod egidą rządu, dzierżącego silnie wszystkie możliwości, by prawem lub lewem utrzymać się przy władzy. Można by powiedzieć, iż likwidacja tureckiej pół-dyktatury odbyła się z jej własnej inicjatywy.

Objęcie władzy przez demokratów dało początek bardziej liberalnemu traktowaniu ustroju gospodarczego, przyspieszyło zbliżenie polityczne z Zachodem, a przede wszystkim zdemokratyzowało wewnętrzne stosunki. Odczuwa się to natychmiast po przybyciu do Turcji. Obowiązujące dawniej surowe przepisy meldunkowe, sprowadzone zostały do przybicia wizy na lotnisku lub na pogranicznej stacji; urzędnicy traktują publiczność grzecznie i z wyrozumiałością. Poczucie form towarzyskich i poprawność w stosunkach zawsze cechowały Turków, lecz obecnie nabrały cech bepośredniości i naturalności. W autobusach i tramwajach można zaobserwować żołnierzy, nieustępujących miejsca oficerom, lecz podnoszących się na widok kobiet. W miejsce popularnych w pewnym okresie teorii rasizmu tureckiego — utrwała się zasada uważania za Turka każdego lojalnego obywatela, niezależnie od rasy i religii. Młodzież ormiańska i innych mniejszości przyjmowana jest do szkół oficerów rezerwy. Z czasów twardego reżimu utrzymał się zakaz głoszenia zasad komunistycznych, oraz tworzenia organizacji rasistowskich i fanatyczno-religijnych. Walka z tymi, w istocie nielicznymi, wzajemnie przenikającymi się ugrupowaniami, podyktowana jest głównie sąsiedztwem z Sowietami.

Zanim ujawniły się w pełni sukcesy nowego reżimu, pierwszy okres nowych rządów zawodził — jak się zdawało — nadzieje na rozum polityczny demokratów. W okresie wyborczym i po zwycięstwie opozycji — wzmożyły się nastroje antykemalistowskie, osmańskie, rosła ksenofobia do wszystkiego, co obce. W okresie tym policja była zdezorientowana, gdy w niektórych miejscowościach chłopci rzucili się do podziału majątków ziemskich, tłumacząc swoiście pojęcie demokracji; spod ziemi zaczął się wyzwałać fanatyzm religijny tajnych zakonów derwiszowskich; zaczęto niszczyć pomniki Kemala. W momencie tym rozum polityczny społeczeństwa tureckiego zdał ostatni egzamin. W obawie przed utratą dorobku kemalistowskiej rewolucji, oraz w obliczu sytuacji międzynarodowej — obie partie podały sobie ręce. Inicjatywa wyszła od Partii Demokratycznej: premier Adnan Menderes w przemówieniu do dziennikarzy w grudniu 1952 r., zaatakował obskurantyzm i fanatyzm, zaś w styczniu br. otwarcie wysunął propozycje współpracy pod adresem Partii Ludowej, poprzedzając je znacznie wcześniejszym zaostreniem kursu przeciwko „czarnej” i „czerwonej” reakcji. Tak więc po okresie nasilenia demagogicznych prądów odśrodkowych, powstałych w okresie przedwyborczym, nastąpił powrót do jedności politycznej, jaka zawsze cechowała stosunki wewnętrzne w Turcji od chwili umocnienia się reżimu kemalistowskiego.

PROBLEM KULTURY DUCHOWEJ

Zasada jedności politycznej społeczeństwa pozostawia jednak otwarte zagadnienie kultury duchowej i w tej dziedzinie można zaobserwować w Turcji walkę dwóch zasadniczych prądów. Pierwszy kierunek — laicki — traktuje Islam jako wyraz nieuleczalnego zacofania i źródło klęsk nie tylko w przeszłości, ale — w wypadku nawrotu do religii — i w przyszłości. Turcja jutra, według zwolenników tej koncepcji, jest państwem bez religii, odwołującym się w chwilach kryzysów do uczucia miłości ojczyzny — nacjonalizmu. Prąd przeciwny operuje wyidealizowanym obrazem Islamu, uznającego pierwiastek rozumowy w człowieku, i pozbawionego fanatycznej ksenofobii do chrześcijaństwa i innych wyznań. Prąd ten umocnił się tuż po śmierci Atatürka w 1938 r., lecz dopiero po 1946 r. zaczął dochodzić coraz bardziej do głosu. Zorganizowana w tym roku Partia Demokratyczna podjęła obronę zasady nauczania religii w szkołach wskazując na upadek moralności i przenikanie wrogich ideologii, od których może ochronić masy przede wszystkim religia. Zasady kemalizmu — zdaniem Partii Demokratycznej — nie są sprzeczne z tego rodzaju stanowiskiem, owszem wprowadzenie nauki religii jest uzupełnieniem panującej doktryny. Poglądy te znalazły posłuch rządu i od 1947 r. ministerstwo oświaty zezwoliło nauczać religię w szkołach pod warunkiem zatwierdzenia przez ministerstwo nauczyciela religii. Pozwolono muezzinom w języku arabskim nawoływać do modłów z meczetów, zlagodzono zakazy noszenia stroju przez kler w miejscach publicznych. Na uniwersytecie stambulskim otwarto w 1948 r. coś w rodzaju wydziału teologicznego, na który zapisało się około 80 studentów, w tej liczbie... 15 kobiet. Otworzono wreszcie kilka szkół religijnych dla nauczycieli religii. Gdzieniedzie buduje się nowe meczety, a nawet w samym Stambule, gdzie się roi od meczetów, wznie-siono ostatnio jeszcze jeden.

Zagadnieniem religii, z wyjątkiem drobnych stosunkowo grup fanatyków, interesuje się jednak tylko część społeczeństwa tureckiego. Większość młodzieży uniwersyteckiej oraz inteligencji znalazła się poza religią, którą traktuje jako czynnik wychowawczy dla ludu. Wreszcie sam proces nawrotu uczuć religijnych ma raczej charakter sentymentalny i jest stosunkowo płytki. Brakuje mu oddziaływania jakiegoś uniwersalnego koranicznego ruchu odrodzeniowego, nie istniejącego — jak na razie — w świecie Islamu, którego nowoczesne prądy są zaprzeczeniem nadziei tureckich tradycjonalistów. W krajach arabskich postępuje proces laicyzacji życia i dążenie do oparcia go na zasadach nacjonalizmu. Odrodzenie religii jest więc w zasadzie, zarówno w Turcji jak i w całym Islamie, otwarte i tradycyjny laicki kemalizm trium-

fuje na szczytach tureckiego życia. Zjawisko to posiada, jak narazie, więcej plusów niż minusów, zwłaszcza jeśli się zważy szkody, jakie fanatyzm nacjonalistyczno-religijny przyniósł sąsiedniej Persji, i wybuch rewolty Braci Muzułmańskich 26 stycznia 1952 r. — Egipcjom.

ŻYCIE GOSPODARCZE

Uprawa ziemi pozostała podstawą gospodarki tureckiej. Rolnictwem dotychczas zajmuje się około 80 % ludności, zaś produkcja wsi w dochodzie narodowym wynosi 50 %; 90 % walut zagranicznych dociera do kraju wzamian za produkty rolnicze i hodowlane. W zajęciach ludności przemysł zajmuje stosunkowo niewielką pozycję — 13 %, zaś handel około 30 %.

W dawnej Turcji sytuacja wsi była tragiczna. Rozum państwowy Kemala ujawnił się w tym, że będąc wojskowym i człowiekiem miasta rozumiał, iż „historia Turcji będzie pisana piługiem rolnika”.

Długa droga prowadziła do pierwszych sukcesów. Dopiero po trudnej walce z zacofaniem i biernością import zboża ustał w 1932 r., import cukru zahamowano w 1936 r., zwolna zaczęto wywozić bawełnę, itd. W odróżnieniu od wszystkich prawie innych krajów Azji obszar zasiewów i wydajność rolnictwa rosły szybciej od przyrostu ludności.

Rozwój rolnictwa umożliwiło zastosowanie nowoczesnych metod uprawy, a głównie wprowadzenie mechanizacji. W 1949 r. było w Turcji około 2.000 traktorów. Głównie dzięki pomocy amerykańskiej liczba ta wzrosła w maju 1952 r. do około 20.000.

Rozbudowa rolnictwa w Turcji nie obyła się bez dramatycznych momentów. Wzory z zewnątrz narzucały się nieprzepraczone. Z jednej strony Sowiety z ich superetatyzmem, a od 1928-30 r. kolektywizacją, z drugiej strony Zachód z mechanizacją i zasadą wolnej inicjatywy. Turcja wybrała drogę w dużym stopniu indywidualną. Akcję rządu rozpoczęto od udzielania kredytów rolnych, organizacji szkolenia, budowy stacji doświadczalnych, otwarcia państwowego urzędu skupu zboża i tworzenia spółdzielni maszyno-traktorowych. Ten ostatni moment zasługuje na szczególną uwagę. W 1940 r. w Anatolii wytyczono 4 strefy, po około pięć tysięcy wsi każda, przydzielając do każdej strefy 50 traktorów. By uniknąć podobieństwa do rosyjskich kombinatów rolnych ustalono, iż jedynie 1/4 ziemi posiadanej przez rolnika może być uprawiana wspólnie traktorami, pozostałe zaś 3/4 muszą być uprawiane przez właściciela jego indywidualnymi środkami. Ta ucieczka od kolektywizacji zakorzeniona jest głęboko w tradycji tureckiej i już w 19-tym wieku rządy sułtańskie w Syrii, Libanie i Palestynie stosowały rodzaj stołypinowskiej reformy, rozdzielając i uprywatniając często spotykane w świecie muzułmańskim zbiorowe, gminne majątki chłopskie.

Do czasów Kemala Turcja posiadała drobny przemysł, fabryki przemysłu wojennego, kilka kopalni węgla i metali kolorowych. Kemaliści starali się zbudzić inicjatywę prywatną, co jednak nie dało oczekiwanych rezultatów. Wobec tego w 1933 r. uchwalono 5-letni plan rozbudowy przemysłu tekstylnego i lekkiego, zaś po jego wykonaniu w 1939 r. opracowano nowy, tym razem czteroletni. W okresie tym powstał również ośrodek metalurgiczny w Karabiuk, fabryki naprawy wagonów, montownie samolotów, fabryki cementu, itd. Poważną pozycję w uprzemysłowieniu kraju zajmują nowoczesne fabryki wojenne w okolicy Ankary. Równoległe idzie rozbudowa dróg, kolei żelaznych, portów. Równie wielkie możliwości rozwoju posiada przemysł górniczy. Ostatnio na pierwszy plan występuje zagadnienie eksploatacji ropy naftowej. Turcja leży na skrzyżowaniu kilku linii występowania ropy, biegnących z Rumunii, Kaukazu i Iraku i niewątpliwie kryje na swym terenie bogate zasoby tego paliwa.

Biurokratyzm oraz trudności w wyplanowaniu równoległego rozwoju wszystkich powiązanych ze sobą dziedzin życia gospodarczego pociągają przejściowe tarcia i zgrzyty. Rozwojowi rolnictwa nie nadąża tempo budowy dróg dojazdowych, składów, itp. co utrudnia terminy dostaw. W przemyśle koszty produkcji wyższe są od zagranicznych, aparat gospodarczy nie dość giętki, robotnik uczy się dopiero systematycznej pracy. Odbija się to niekorzystnie na handlu zagranicznym i Turcja posiada ujemny bilans handlowy głównie na korzyść W. Brytanii i Zachodnich Niemiec.

W polityce gospodarczej Turcji z punktu widzenia interwencjonizmu państwowego możemy zaobserwować trzy etapy. Pierwszy był raczej liberalny. Nie dając oczekiwanych wyników sprowokował wzmoczenie etatyizmu. Okres ten, przyspieszając odbudowę gospodarki kraju, pociągał za sobą szereg trudności i obecnie, zwłaszcza od czasu przejścia władzy z rąk Partii Ludowej w ręce Demokratów w maju 1950 r., Turcja ponownie wraca w dobę liberalizacji ustroju. Tu musimy się zatrzymać nad źródłami etatyizmu i planowania tureckiego. Byłoby błędem przypuszczać, iż etatyizm turecki kształtował się pod silnym i stałym wpływem wzorców faszystowskiego i sowieckiego. Co prawda stymulowały one w pewnych okresach zainteresowania gospodarką planową, lecz często — zwłaszcza jeśli chodzi o przykłady sowieckie, działały również odpychająco. Istotnie geneza etatyizmu tureckiego kryje się z jednej strony w średniowiecznej i przestarzałej, a z drugiej strony orientalnej zasadzie podejścia do roli państwa, jako wszechwładnego dysponenta wszystkich bogactw kraju i organizatora jego życia ekonomicznego, a nawet kulturalnego. Jak podkreślał Stanisław Świaniewicz w „Kulturze” z marca 1953 r. — inicjatywa prywatna i automatyzm w krajach Wschodu (jak i w Europie wschodniej, a po części i na kresach Polski), są źródłem stagnacji i etatyizm w pewnych warunkach staje się koniecznością życia. Etatyizm turecki jest więc

w pewnym stopniu zjawiskiem endemicznym i nie wiele ma wspólnego z aktualnymi prądami totalitarnymi.

Przyglądając się z perspektywy historycznej i psychologicznej można by zaryzykować twierdzenie, iż gdyby nad Turcją nie zawisł groźny cień kapitalizmu państwowego Sowietów, z jego niewolą jednostki i dehumanizacją człowieka, to turecki etatyzm poszedłby znacznie dalej i znacznie głębiej. Często spotykane, niewątpliwie przesadne, lecz charakterystyczne twierdzenie, iż przed socjalizmem chroni Turcję nienawiść do Rosji komunistycznej, jest zrozumiałe.

POLITYKA ZAGRANICZNA

W drugiej połowie ub. stulecia Selim Faris w książce pt. „The Decline of British Prestige in the East” (London 1887) pisał: „Stambuł zawsze będzie ośrodkiem intryg politycznych i turecki mąż stanu musi obcować z przyjaciółmi (o ile takowych posiada) jak i z nieprzyjaciółmi z najwyższą ostrożnością i taktem. Jeśli pozyska przyjaźń Anglii, to na pewno Rosja patrzeć nań będzie z niechęcią; jeśli lubiany będzie przez Rosję, na pewno utraci życzliwość Anglii. Jeśli Rosja i Niemcy są wzajemnie skłócone, wówczas musi żyć w przyjaźni z obydwojma, gdyż, w przeciwnym razie, te dwie potęgi dojdą do porozumienia i uzgodnią swe sporne kwestie kosztem Turcji”.

Słowa te znakomicie odzwierciedlają sytuację Turcji w okresie drugiej wojny światowej. Porozumienie hitlerowsko-sowieckie z września 1939 r. ułatwiło Moskwie wyciąganie niedźwiedziej łapy w kierunku Cieśnin. 20 września 1939 r. turecki minister spraw zagranicznych S. Saracoglu został „zaproszony” do Moskwy i tam wymuszano na nim różne ustępstwa na rzecz Rosji. 12-13 listopada 1940 r., w czasie podróży Mołotowa do Berlina, Niemcy, na prośbę Sowietów, zgodziły się na likwidację porozumienia w Montreux, regulującego zagadnienie Cieśnin. Do określonego porozumienia nie doszło wobec nadmiernych apetytów hitlerowskich.

Podobnie Zachód, dążąc do wyrwania Moskwy z sojuszu z Niemcami, niedwuznacznie dawał do zrozumienia, iż Cieśniny mogą stać się przedmiotem dyskusji w wypadku zmiany stanowiska Rosji. Tak więc ambasador brytyjski, Sir Stafford Cripps, zapewniał 13 lipca 1940 r. Mołotowa, iż sowieckie interesy w Cieśninach muszą być zabezpieczone. W listopadzie i grudniu 1943 r. w czasie konferencji sojuszniczej w Kairze Sowiety ponownie podniosły sprawę Cieśnin niemal w identyczny sposób jak z Niemcami w 1940 r. W listopadzie 1944 Moskwa wyraźnie domagała się oddania tureckich prowincji Karsu i Ardahanu oraz przyjęcia przez Turcję zasady wspólnej obrony Cieśnin. W 1945 r. Kreml podjął zdecydowaną zimną wojnę w tej

sprawie, wypowiadając 19 marca 1945 r. sowiecko-turecki pakt przyjaźni z 1925 r. Dwoch „uczonych” gruzińskich „ogłosiło” w tym czasie w pismach sowieckich żądanie „zwrócenia” sowieckiej Gruzji wybrzeża czarnomorskiego na południowy-wschód od Batumu 180 mil długości i 75 mil szerokości, obejmującego m.in. port Trebizond. Jeszcze bardziej niebezpieczny atak na Cieśniny i Turcję podjęła dyplomacja sowiecka w czasie konferencji w Potsdamie 17 lipca — 2 sierpnia 1945 r., uzyskując zgodę Stanów Zjednoczonych i W. Brytanii na rewizję statutu Cieśnin w duchu uwzględnienia specjalnej pozycji Rosji w tej części świata. Stalin, ośmielony przyjaznym stosunkiem Zachodu do jego zaborczych planów, już widział całą Turcję zagarniętą metodą jałtańską. Plan ten upadł zarówno dzięki oporowi Turcji jak i późniejszych sprzeciwów tychże Stanów Zjednoczonych i Anglii, zaniepokojonych rosnącymi apetytami Moskwy.

I tak okres drugiej wojny światowej spotęgował w Turcji dawne przekonanie, iż o ile polityka zachodnia często bywa naiwna i w pogoni za doraźnym sukcesem gotowa jest czasami zapomnieć nie tylko o swych sojusznikach, ale i o własnej długofalowej racji, o tyle stosunek Sowietów do Turcji jest niezmiernie wrogi i zaborczy, przypominający w szczególności stosunek Rosji carskiej. Od czasów Piotra i Katarzyny Rosja zdecydowanie dążyła do opanowania Konstantynopola i nieraz już była bliska realizacji swych marzeń, jak np. w 1833 r., gdy, stosownie do umowy w Unkiar Iskelessi uzyskała prawo wprowadzenia swych wojsk do Cieśnin dla obrony sułtana przed najazdem Mehmet Ali'ego, to znowu w 1915 r. — gdy w porozumieniu z Anglią i Francją otrzymać miała, w wypadku zwycięstwa nad państwami centralnymi, Konstantynopol, Cieśniny, Dardanele, część Anatolii i dwie wyspy na morzu Egejskim. Wybuch rewolucji w 1917 r. uniemożliwił realizację tych planów.

Nieustanny napór Rosji — tłumaczył obecne przystępowanie Turcji do wszystkich, dla niej dostępnych, porozumień obronnych Zachodu przed komunizmem i sowieckim imperializmem. Lecz doświadczenie, płynące z obserwacji polityki zachodniej wyjaśnia również ostrożność i rezerwę, z jaką Turcy odnoszą się do swych wielkich sojuszników. Zawiedzione nadzieje na pomoc Zachodu Jugosłowian i Greków na początku drugiej wojny światowej działały ostrzegawczo, lecz szczególnie mocno przemawia do wyobraźni tureckiej sprawa polska, często poruszana w rozmowach i w pismach. M. in. Hussein Cahid Yalcin w dzienniku ankarским „Ulus” z 12 kwietnia 1951 r. pisał, iż „druga wojna rozpoczęła się o Polskę... Armie sprzymierzone uwolniły ją od wroga, ale miejsce Niemiec zajęła okupacja sowiecka. Polska, której udzielono gwarancji, iż będzie broniona w wypadku agresji i która z tego powodu została zaatakowana przez Niemcy, uległa rozbiorowi jeszcze w czasie wojny, przy pomocy przyjaciół, oddających wschodnie połacie Sowietom... W oparciu o rozmowy jałtańskie cała Polska wpadła w ręce Moskwy... O tej

tragedii Polski należy pamiętać zawsze i uważać ją jako lekcję dla małych państw”.

Polityka turecka mogłaby z łatwością zapomnieć o błędach przeszłości, gdyby przynajmniej obecnie posunięcia Zachodu nie nastęrczały tylu zastrzeżeń. Myśl polityczna na Zachodzie kroczy jednak daleko w tyle za rozwojem wypadków a jej reakcje są często krótkowzroczne i niezdecydowane, ułatwiając Sowietom na terenie międzynarodowym dzierżenie inicjatywy w ich rękach. W ten sposób wśród polityków tureckich formuje się kompleks wewnętrznych sprzeczności i niechęć do podejmowania śmielszych decyzji, poza najbardziej nieuniknionymi i narzucanymi wymogami dnia. Nie są to jednak decyzje blahe : współpraca Turcji z Zachodem w budowaniu sił obronnych przed komunizmem jest pełna i szczerą. Nie pozbawiony dużej śmiałości był fakt wysłania brygady (4.500 ludzi) na front koreański. Wielu osądziło ten krok jako ryzykowny i niepotrzebny, lecz późniejsze wydarzenia udowodniły jego słuszność. Dzięki niezwyklej bitności brygady Turcy zdołali przekonać Zachód, iż posiadają najlepszego — w obozie zagrożonych przez komunizm państw — żołnierza, sami zaś przyjrzeni się wielu słabym stronom swych wielkich sojuszników.

Ogólny bilans za okres 1939-52 jest dla Turcji dodatni, lecz jest to zasługa nie tylko mądrej i ostrożnej polityki Turcji, lecz i szczęśliwego zbiegu okoliczności, które umożliwiły zachować neutralność w czasie drugiej wojny światowej. Jeśli jednak przyjdzie do trzeciej — powszechnej i Turcja prawdopodobnie będzie zmuszona wziąć w niej udział, dopiero wówczas stanie w obliczu przeżyć i prób, przerastających wszystkie dotychczasowe. Już obecnie, jak gdyby w przewidywaniu nowych zmian, polityka turecka razem ze światem zachodnim zmuszona jest zając zdecydowaną postawę wobec zbliżania się do końca okresu biernego hamowania ekspansji sowieckiej. Polityka „containment” spełniła swe zadanie i częściowo okazała się zawodna. Powszechna jest potrzeba aktywnych i zdecydowanych posunięć w odniesieniu do Sowietów, które zmuszą je do rzeczywistego zaniechania nie tylko jawnej oraz tajnej agresji w świecie, lecz i do wykonywania w sposób zgodny z Zachodem postanowień traktatów zawartych w czasie wojny i po jej zakończeniu. Lecz nawet to minimum, które nie może zadowolić postulatów wielu pokrzywdzonych narodów, nasuwa olbrzymie trudności realizacji polityce zachodniej. I tak, gdy Zachód mógł doraźnie uzgodnić swą politykę biernej obrony w stosunku do agresywnych i jawnych planów Kremla, to w obliczu podjęcia jakiegokolwiek zdecydowanego kroku odsłania się brak zbieżności poglądów i indywidualnych interesów.

Istotą tego impasu nie są braki materialne Zachodu, który potencjalnie przewyższa siłą blok sowiecki, lecz sprawa politycznego uzasadnienia wspólnego wysiłku. W najogólniejszym obrazie jest to problem rozpiętości między zagadnieniami wojny a za-

gadnieniami polityki. Wbrew ulubionym przez Lenina tezom Clausewitza o powiązaniu wojny i polityki, dwie ostatnie wojny światowe nie dały trwałych wyników politycznych mimo, iż obie skończyły się wyraźną klęską jednej strony oraz zdecydowanym sukcesem drugiej. Pierwsza — nie rozwiązała politycznego zagadnienia organizacji Europy, stwarzając jedynie przejściowe status quo, druga zaś skończyła się klęską polityczną i moralną.

Obawa przed nowym pyrrusowym zwycięstwem lub przed całkowitą „defeat in victory” działa rozkładowo na obóz demokracji zachodniej, a już szczególnie niepokoi sąsiadów Rosji i narody przez nią okupowane. Szarmonizowanie planów obronnych z celami politycznymi winno wysunąć się na czoło zagadnień Zachodu. W wypadku nieuwzględnienia ważności tego problemu — wszelkie posunięcia Zachodu będą miały charakter improwizacji i doraźnych półśrodków, a w razie wojny, czynnikiem który zapłaci najwyższą cenę za ewentualne pseudo-zwycięstwo będą sąsiedzi Rosji i kraje za żelazną kurtyną.

Włodzimierz BĄCZKOWSKI

ZRÓDŁA NIE WYMIENIONE W TEKŚCIE :

1. *Near Eastern Culture and Society*, edited by T. Cuyler Young, Princeton, 1951.
2. *Arabic Thought and Its Place in History*. De Lacy O'Leary, London, 1939.
3. *The Middle East in World Affairs*, G. Lenczowski, Cornell University Press, 1952.
4. *The Turkish Straits*, M. Sokolnicki, Beirut, 1950.
5. *State and Economics in the Middle East*, A. Bonne, London, 1948.
6. *Recent Developments in Turkey*, B. Lewis, International Affairs, Vol. XXVII, 1951.
7. *Oczerki Nowiejszej Istorii Turcji*, A. Miller, Moskwa, 1948.
8. *Turcia*, N. Nowosiółow, Moskwa, 1951.
9. *Istatistik Yilligi*, Vol. 19, Ankara, 1951.
10. *Monthly Trade Journal of the British Chamber of Commerce of Turkey*, Istanbul, May 1952 — Feb. 1953.
11. Daily Mail, Complimentary Copy — Turkey, May 1952.
12. *Histoire de la Turquie*, R. Mantran, Presses Universitaires de France, Paris, 1953.

Kronika kulturalna

Dwie przyjaciółki

Porównując prasę zachodnią z prasą komunistycznego imperium, można się oprzeć oczywiście na wielkich dziennikach, tygodnikach kulturalnych czy politycznych. Zestawić artykuły wstępne z „Figaro” z urzędowymi obwieszczeniami „Trybuny Ludu”. Depesze „Times’a” z polskimi korespondencjami z „Pan-mundzonu”. „Nouvelle Revue Française” z „Nową Kulturą”. Wnioski będą banalne i oczywiste, gotowy materiał dla konkursu Radia Wolnej Europy „Co może Zachód przeciwstawić komunizmowi”. Ale obok prasy urabiającej opinię publiczną (ze znaczną dawką obiektywizmu z jednej strony, z bezwzględny przekształcaniem rzeczywistości w jednostajny mit z drugiej), istnieje inny rodzaj prasy, urabiającej więcej niż opinię — tryb życia. Od tej prasy zależą nie tylko poobiednie rozmowy, ale i sam obiad. Prasa ta żywi nas i ubiera. Ma wpływ na to czy dziewczyna która się nam podoba ulegnie starannie przygotowanym zabiegom. Czy żona która odkryła w portfelu list od pięknej blondynki opuści nas czy zostanie „aby nie rozbić rodziny”.

Mówimy oczywiście o wielkich tygodnikach kobiecych z ich działem mody, menu tygodniowym, kurierem serca, powieścią w odcinkach, ogłoszeniami. Tygodniki te, prenumerowane przez miliony kobiet, a czytane pod hełmem wiecznej ondulacji przez dziesiątki milionów (a jakież mężczyzna nie rzuci na nie okiem z zaciękawionym lekceważeniem w poczekalni u dentysty?) mają na nasze życie wpływ głębszy i bardziej wszechstronny od najpotężniejszych koncernów prasy codziennej. Wytwarzają one mity idealnych kobiet, do których dostosowuje się przed lustrem, w rozmowie i miłości Anne-Marie, Jane, Else, Francesca i Zosia. Każdy z tych tygodników jest jakby wcieleniem jakiejś odrębnej kobiecej formy. Wismukła, uprzecma i trochę pogardliwa „Vogue” w sobolach. Idealnie wymalowana, wysportowana i koleżeńska Amerykanka „Harper’s Bazaar”, spotkana na plaży. Złe ubrana, ale z jaką dystynkcją, lady „Tatler”, powracająca z koronacji. Irytujący podlotek „Marie-Claire”, która lubi

coctails, ale słucha mamusi. Te wszystkie damy należą do zamoznej burżuazji i plotki ich mniej nas interesują. Istnieją jednak także skromniejsze panie, zajęte przerabianiem zeszlórocznej sukni wieczorowej na „twarzowe letnie ensemble” i robiące pierożki z resztek wczorajszej cieleciny. Dzierżą one w rękach (białych dzięki kremowi przygotowanemu w domu z gorzkich migdałów) potęgę większą od premierów i generałów. To one są odpowiedzialne za ton naszej biurowej koleżanki, dowcip dziewczyny spotkanej w pociągu, może nawet za złamaną miłość... Rządy ich, odmienne formą bardziej może niż duchem (ale do tego przejdziemy później) dają się odczuć po obu stronach żelaznej kurtyny. We Francji taką panią jest „Elle” (nakład 650.000), w Polsce „Przyjaciółka” (nakład 2.197.265 egz.) — największy w kraju.

Zacznijmy od „Elle”. Czytelniczki tego pisma — to w pierwszym rzędzie urzędniczki biurowe, stenotypistki, ekspedientki sklepowe, żyjące życiem wielkomiejskim: milionowy inteligencki i półinteligentcki proletariat spędzający godzinę w metrze, osiem godzin w biurze i starające się związać koniec z końcem za 40.000 franków miesięcznie. Po drodze do biura, w kinach, w teatrach, na wystawach sklepowych z Faubourg St. Honoré, przed wielką restauracją czy modnym danciem widzą one migawki życia które musi im się wydawać ideałem szczęścia — życia, w którym piękne kobiety wychodzą wieczorem ze sławnymi mężczyznami, życia amerykańskich samochodów i sukien od Christian Diora. Czy rzeczywiście to życie jest ideałem czytelniczek „Elle”? Wskazuje na to cała zawartość, całe podejście, cała „filozofia” tego pisma. Ogromne powodzenie „Elle” zdaje się polegać na paru zasadniczych założeniach: 1) Pomimo że ideałem jest życie ludzi bogatych, pieniądze nie stanowią o szczęściu; 2) Skromna i inteligentna dziewczyna może się ubrać za 40.000 frs. miesięcznie równie elegancko jak u Diora czy Fatha; 3) Jedynym prawdziwym obowiązkiem człowieka jest optymizm i zadowolenie z własnego losu; 4) Nawet najbrzydsza — pozornie — dziewczyna może się podobać, pod warunkiem ujętnej „maquillage’u”; 5) Urok osobisty może w sobie wyrobić nawet kawałek drewna: wystarczy „interesować się innymi” i posiadać jakieś „hobby” — obojętne czy będzie nim lektura, filatelistyka czy ogrodnictwo.

Najbogatsze działy „Elle” — to moda i uroda. W dziale mody publikuje się tanie modele z „boutiques” wielkich krawców, „dostępne dla każdej kieszeni”, czyli kosztujące miesięczną pensję przeciętnej czytelniczki. Ukazują się również często fotografie znanych gwiazd filmowych w skromnych swetrach z miesięcznymi bobasami na kolanach: „Elle” dzieli się ze swymi czytelniczkami pocieszającą rewelacją — podziwiane i kochane gwiazdy nie marzą o niczym innym jak o zrzuceniu z siebie strojnych sukien wieczorowych i o życiu codziennym w swetrach w podmiejskich domeczkach. Dział urody zawiera zawsze nowe instrukcje dziwnej ascezy, którą narzuca sobie współcze-

sna kobieta : skomplikowane diety z korzonków ułożone przez niejakiego p. Hausera, przepisy na „cocktaile urody” z kapusty, marchewki i pomidora, maski na twarz z jajek, wosku czy ogórka. Istnieje również dział kulinarny z przepisami smacznych dań, które sprytna dziewczyna „na poczekaniu” przyrządzi dla tych paru znajomych, którzy wpadną wieczorem po teatrze do jej skromnego, ale „gustownego” mieszkanka (nawiasem mówiąc dania te są niemal z reguły obłożone ekskomuniką działu urody i działu zdrowia). No i to mieszkanko. Właściwie — dziecinna zabawka. Czytelniczka „Elle” wynajmuje za grosze puste dwa pokoje na poddaszu. Bieli je sama, zakłada łazienkę, kupuje lodówkę, wieszka wszędzie „chintzy” o wesołych kolorach, kupuje dwa fotele stylowe na „Marché aux Puces”, reszta umeblowania będzie nienagannie nowoczesna, o „racjonalnych”, surowych liniach, zgodnych z jej „osobowością”. Gdzie znaleźć na to milion franków — tego już „Elle” nie mówi.

Dział astrologii jest prowadzony bardzo sprawiedliwie. Co tydzień każdy strzelec, bliźniak czy wodnik ma tyle samo dni „niepewnych dla operacji finansowych”, czy „przychylnych dla rozwoju spraw uczuciowych”. Nie należy oczywiście czytać paru tygodników kobiecych, bo tu może powstać rozterka. I tak nieszczęśliwy lew, któremu „Elle” odradza w tygodniu 13-21 lipca 1953 ufać w rozwój nawiązanego „flirtu”, przeczyta w „Marie-France” na ten sam okres że ma wielkie szanse spotkania „mężczyzny swego życia”.

„Elle” interesuje się zresztą również podróżami, światem, filmem, teatrem, nawet literaturą. W ostatnich kilkunastu numerach „Elle” wprowadziła serię artykułów w których zapoznaje czytelniczki z życiem współczesnych im kobiet w innych krajach. Oczywiście opisuje się zawsze indywidualną dziewczynę czy kobietę, jej życie, pracę i rozrywki. Jakże piękny jest świat! Od Peru aż po Alaskę wszyscy żyją właściwie tak samo, wszyscy są szczęśliwi, mają mieszkanko, płyty jazzowe, flirty, „przepadają za książkami” (Hemingway i Maurois są ulubionymi autorami na obu półkulach). Może najszcześniejsza jest Amerykanka. Może najgorzej powodzi się Chince, która jest w tym wypadku wyjątkowo chłopką, ale dzięki rewolucji i Mao Tse Tungowi i ona zostanie daktylografką, będzie miała mieszkanko, płyty itd. Jak widać, adoracja „Elle” dla Ameryki i wszystkiego co amerykańskie od Betty Grable po „Mamie” Eisenhower nie zaciemnia jej pogodnego horyzontu politycznego.

Ale najbardziej rewelacyjny jest dział w którym odślania się mentalność czytelniczek i redakcji „Elle”: jest nim oczywiście kurier serca. Co może człowieka skłonić do pisania o swoich intymnych sprawach jakiejś nieznanemu dziennikarce? Prawdopodobnie to co pędzi bogatszych do psychoanalisty: niepewność i trwoga wytwarzana przez współczesne życie w połączeniu z zafamaniem ścisłych norm moralnych. Skala listów idzie od najbardziej dziecinnych („Mam 18 lat i mówią, że jestem ładna. Kocham Jean, który ma 22 lata, ale on nie zwraca na mnie uwa-

gi. Co robić?”), poprzez równie głupie, ale bardziej konkretne („Kocham mego męża i on mnie. Od pewnego czasu zaleca się do mnie jeden z naszych przyjaciół, który mi się bardzo podoba. Czy mam mu ulec?”), aż do stosunkowo inteligentnych i skomplikowanych (kobiety nie mogące znaleźć równowagi w życiu czy w pracy, różnego rodzaju dylematy sumienia). „Elle” odpowiada z niezawodną pewnością siebie i spokojem. I przez te odpowiedzi odcyfrować można tajemnicę, która trapi wielu socjologów: jaka jest współczesna przeciwna moralność? W radach „Elle” widoczne są ślady światopoglądu chrześcijańskiego, duży wpływ popularnego pseudofreudyizmu i psychoanalizy, powierchowy optymizm będący połączeniem metody Coué z anglosaskim samookłamywaniem, no i przede wszystkim ostrożność. Można, nawet należy mieć kochanków, ale nie trzeba „przekraczać miary”. Jeśli się już zdradziło męża, to niech się przynajmniej biedaczek o tym nie dowie (oczywiście o ile nie jest współcześnie pobłażliwy i wyrozumiały). Ależ oczywiście, każdy może być szczęśliwy: należy się po prostu uwolnić z „kompleksów”, nienagannie pracować w biurze, zyskać przyjaźń koleżanek i szacunek szefa, ani na chwilę nie zapomnieć o kokieterii wobec własnego męża („niech panią zastanie w domu świeżą i elegancką, dom w kwiatkach i może butelkę szampana w lodówce”). Jakaś młoda czytelniczka pisze list przez który przebija ton buntu, goryczy, tłumionej ambicji, zawiści? „Elle”, pobłażliwa wobec kłamstwa i niewierności, tutaj daje wyraz oburzeniu: „Jako, inteligentna dziewczyna jak pani jest niezadowolona ze swego losu? Szczęście nie zależy od warunków zewnętrznych. Droga do sławy czy bogactwa jest często gorzka, zawsze niebezpieczna. Zamiast myśleć o własnym szczęściu, niech pani pomyśli o szczęściu swych bliskich, niech pani stara się zrobić przyjemność otoczeniu, wzbudzić sympatię i zaufanie koleżanek”.

„Elle” daje kolorową i apetyczną wizję świata z konserwy. Już same ogłoszenia napełniają optymizmem: jakże smacznie wygląda ta szynka z puszki, jakże piękna jest ta skacząca dziewczyna w „Gaine Scandale”, która usunie „warstwę tłuszczu tworzącą się na skutek siedzącego trybu życia”. „Elle” jest radosnym apostołem świata mechanizacji i industrializacji, w którym wszyscy są szczęśliwi, skromni, uczynni, piękni, kokieteryjni. Właściwie nie ma bogatych ani biednych: wszyscy żyjemy zadowoleni za 40.000 franków miesięcznie (o nędzy nie mówi się wcale, a bogaci o których mowa żyją szczęśliwym życiem rodzinnym w prefabrykowanych domkach, konta bankowe są im zapewne bardziej ciężarem niż pociechą). I nie ma oczywiście żadnych problemów, żadnych tragedii: istnieją tylko kompleksy których się należy pozbyć, a wówczas będzie się lubianym przez wszystkich kolegów i wszystkie koleżanki na całym świecie i życiu temu pobłogosławi Najwyższy Dyrektor Koncernu.

Oto kolorowa mitologia ad usum wykorzenionego proletariatu inteligenckiego; oto nowa ewangelia dla tej smutnej ste-

notypistki z „Ziemi Jałowej” Eliota, która przy dźwiękach płyty w wynajętym umeblowanym pokoju bezmyślnie wykonuje gesty miłości ze smutnym biurowym kolegą. Tylko że w tym fikcyjnym świecie nikt nie zawoła: „Time, gentlemen, please”, bo po prostu nie ma Czasu — są tylko dni pracy, biurowe godziny i miesiąc wakacji.

„Przyjaciółka” jest biedniejszą, zaciętą, fanatyczną, surową i bezwzględna siostrą „Elle”. Tak — mimo wszystko siostrą. W dobie mechanizacji, w wieku „przeciętnego człowieka”, „Elle”, mniej świadoma swego apostołatu, lżejsza wyższym standardem życia i bez policjanta na karku, jest „i do tańca i do różańca” (różańcem jest oczywiście w tym wypadku jedyna obowiązująca religia — praca). „Przyjaciółka”, mrówka o bezgranicznym samozaparciu, wyrzeka się „tańca” całkowicie, jest Savonarolą i Wielkim Inkwizytorem pracy i „budownictwa socjalistycznego”. Przy wspaniałym papierze i technolorach „Elle”, szary papier gazetowy i nędzne, paskudnie wykonane dwukolorowe reprodukcje „Przyjaciółki” wyglądają smutnie. „Przyjaciółka” nie zwraca się wyłącznie do miejskiej sfery zarobkowej, ale (częściowo pod naciskiem, częściowo dlatego, że przepisy kuchenne i gospodarskie są zawsze potrzebne) czytana jest również przez robotnice, żony robotników i chłopów. Dlatego też „idealny standard życia” przedstawiany przez „Przyjaciółkę” jest bez porównania niższy. Nie ma prawie działu mody: wzory na suknie, fartuchy i spódnice zajmują jedną stronę i nic nie mają wspólnego z kaprysami wielkich krawców. Przepisy i porady gospodarskie są rewelacyjne: czytelniczki w każdym numerze proszą o radę jak uratować starą, wylisiałą szczerbkę, jak zlepić gliniany garnek, co zrobić, aby przedłużyć żywot jedynego świątecznego ubrania męża, które ma już 10 lat. Pamiętamy z przedwojennych polskich gazet jak mało związane z życiem były przepisy kuchenne: te kurczęta po polsku, sztufady, wymyślne leguminy, więcej miały wspólnego z „Panem Tadeuszem” niż z życiem urzędniczej rodziny. Nawiasem mówiąc, tradycję tę kontynuuje paryskie „Słowo Polskie”, którego menus tygodniowe wydają się wyjęte z jakiejś historii staropolskiej kuchni, a nie przeznaczone dla górnika spod Lille. „Przyjaciółka”, ze swym daniem mięsnym ograniczonym do niedzieli, wydaje się tu smutnie realistyczna. Oto typowy przykład: Niedziela: zsiadłe mleko z ziemniakami, zrazy z kaszą, kompot; poniedziałek: botwinka, fasola ze słoniną; wtorek: szczawiowa z ziemniakami, naleśniki z serem; środa: zacierki z ziemniakami, omlet ze szpinakiem; piątek: krupnik, kluski kładzione z sosem koperkowym; sobota: barszcz ukraiński, placki ziemniaczane.

Podczas gdy polityka nie istnieje dla „Elle” — „Przyjaciółka” jest nią oczywiście przeładowana. I tu również mamy wiadomości o życiu kobiet w innych krajach — ale dowiadujemy się z nich, że na ulicach Londynu i Paryża umierają z głodu bez-

robotne, że dzielne, ideowe dziewczyny rzucają się pod pociągi przewożące amerykańską broń, że życie w krajach kapitalistycznych jest jednym pasmem nędzy, upokorzeń, prześladowań ludu pracującego.

Dla „Przyjaciółki” nie istnieje właściwie miłość. Powieści i opowiadania związane są z „wyścigami pracy”, z wojną w Korei, z wyczynami kołchoźniczek. Jedynym elementem romantycznym jest najnudniejsza bodaj powieść Orzeszkowej, ukazująca się w odcinkach: „Bene Nati” (jak wytłumaczyć wybicie tak prymitywnej wersji pseudo-klasowego pseudo-konfliktu przez redakcję, która siłą rzeczy musi znać „marksistowskie” rzemiosło?).

„Przyjaciółka” posiada drobny dział ogłoszeń, których brak w „Trybunie Ludu”. Połowa — to lekarze chorób wenerycznych. Reszta — jakieś chałupnicze resztki prywatnej inicjatywy: skup wszelkiego rodzaju ludzkich włosów, przeróbki kołder puchowych, naprawa maszynek do podnoszenia oczek, fotografie na porcelanie do nagrobków itd.

Są również i porady osobiste — już nie „kurier serca”, ale „między nami”. Czytelniczki zwracają się jednak czasem również i w sprawach uczuciowych. „Przyjaciółka” jest tu o wiele surowsza od „Elle”. Nie ma oczywiście mowy o niewierności małżeńskiej, a nawet związki miłosne dwojga wolnych ludzi poza małżeństwem nie są popierane. Chodzi przede wszystkim o pracę i o dzieci, które z kolei będą pracować. Ale nawet przy tych utylityrnych założeniach, pruderia „Przyjaciółki” niedaleko odbiega od przedwojennej brukowej prasy katolickiej. Zarówno w „między nami”, jak w innych działach „Przyjaciółki” na wielką skalę krzewi się fikcyjne czy prawdziwe donosicielstwo. Nie ma numeru, w którym nie stawia się „pod pręgierzem” jakiejś łatwej do zidentyfikowania Haliny S. czy Zofii M. z takiego czy innego działu biura czy fabryki w Piotrkowie czy Lublinie. A bardzo często zamieszcza się pełne imiona i nazwiska „piętnowanych” kobiet. Tematem donosów jest niemal bez wyjątku „bumelantwo”. Tak jak w „Zwierzęcem Folwarku”, nie ma w „socjalistycznym społeczeństwie” miejsca dla kokieteryjnej, wesołej, bezaltruistycznej Molly. A przecież jedyne sympatyczne postacie przewijające się przez smutne strony „Przyjaciółki”, to właśnie te „bumelantki”, powoli osaczane, obezwładniane, pozbawiane niewinnej radości życia przez fabryczne czy biurowe koła partyjne, przez „zetempowskie” działaczki, przez bezmyślne, „sprawiedliwe”, konformistyczne społeczeństwo. „Przyjaciółka” zamieszcza często listy (zapewne w znacznej mierze fikcyjne) wskazujące na rzekomy konflikt pomiędzy starym i młodym pokoleniem. Tłumaczy się tu matkom, że Basi nie stanie się nic złego na obozie pracy Z.M.P., że Janek ma rację chcąc zostać górnikiem, że „nowa rzeczywistość” daje młodym niesłychane szanse rozwoju, o których mowy nie było w przedwojennej Polsce. Córkom (których listy wyrażają zazwyczaj oburzenie przeciw „zafofaniu” starszego pokolenia) radzi się przeważnie cierpliwość

i większy wysiłek w „wychowaniu społecznym i politycznym” rodziców. Przez wszystkie te listy i porady przebiega nowy typ kobiety, którą chciałby wychować reżim : „przodowniczką”, wyzywającą swą próżność i ambicję w górowaniu nad innymi i w sprawowaniu nadzoru nad „mniej obowiązkowymi” elementami.

Z rzadka tylko przebiega poprzez tę mityczną wizję „nowego szczęścia”, kultu pracy i obowiązku jakiś obraz prawdziwego życia w Polsce. Takim odbiciem (obok ogłoszeń i porad gospodarskich odzwierciedlających niebywale niski poziom materialny) są wyjątkowo liczne nawiązania do plagi alkoholizmu. Nie sposób zliczyć listów proszących o założenie anty-alkoholicznych przychodni w najmniejszych gminach, listów rozpaczliwie proszących o radę co zrobić kiedy mąż przepija regularnie całą pensję, katuje żonę i dzieci. Alkoholizm musiał w Polsce rzeczywiście przybrać ogromne rozmiary, jeśli radosna i optymistyczna „Przyjaciółka” tak często do niego powraca.

Optymizm. Oto co łączy „Elle” i „Przyjaciółkę” pomimo ogromnych powierzchownych różnic. W gruncie rzeczy oba pisma służą temu samemu celowi : chodzi przede wszystkim o to, aby pogodzić czytelniczki z ich warunkami życia, chodzi o wytworzenie idealnego „typu” kobiety, odpowiadającego w pewnym stopniu istniejącym możliwościom. Skromna i elegancka panią z „Elle”, która może marzyć o miłości i przygodzie według indywidualistycznych reguł kapitalistycznego świata — pod warunkiem, że będzie sumiennie pracować, i sumiennie kupować przemysłowe produkty, które pośrednio wytwarza jej własna praca. Żacięta, surowa „pionierka” z „Przyjaciółki” ma czerpać zadowolenie z własnego nędznego życia z przekonania, że na zachodzie siostry jej żyją w nędzy jeszcze gorszej i z kultu „pracy dla pracy” : z nabożeństwa dla purytańskiej religii przemysłowego wysiłku, którego produkty nie są (przynajmniej na długo jeszcze) przeznaczone dla jej konsumpcji.

K. A. JELEŃSKI

Kongres „dobrych” europejczyków

JUBILEUSZOWY ZJAZD PEN-CLUBÓW W DUBLINIE

Jak swego czasu mówiono o „dobrych” i „złych” Niemcach, tak po wojnie zaczęto mówić o „dobrych” i „złych” demokratkach. Dobrymi byli ci, którzy działali na podstawie zapewnienia, że kraje poddane wpływowi Rosji będą mogły ułożyć swoje życie samodzielnie i w swobodny sposób określić zakres i me-

tość koniecznych reform. „Zły” demokrat owych czasów nie ulegał tym złudzeniom. Dziś fala złudzeń powraca i oto znowu występuje podobny podział : na jubileuszowym kongresie PEN-Clubu w Dublinie (1953) zarysowało się pojęcie „dobrego” Europejczyka.

„Dobrym” Europejczykiem staje się ten, kto za dostateczny ideał uważa zjednoczenie zachodniej Europy i gotów jest zapomnieć, że dawniej zasięg kultury europejskiej mniej więcej pokrywał się z linią zasięgu gotyku w architekturze obejmując m.in. Wilno, Łotwę i Estonię. „Dobry” Europejczyk wierzy w pomysły rozwój karłowatej Europy i gotów godzić się z poniesioną stratą za cenę pozorów, to jest za cenę ograniczonych kontaktów handlowych i kulturalnych z częścią, poddaną dyktynom Rosji. Jego „zły” odpowiednik domaga się ciągłej pamięci o narodach związanych z zachodnią kulturą a obecnie systematycznie od niej odrywanych. Jednakże nawet „zły” Europejczyk jest potrzebny na międzynarodowych Kongresach intelektualnych, aby swoją obecnością popierać wrażenie zgodnej, jednomyślnej tendencji.

Artysta z Polski, Czech czy Węgier okazywał się w Dublinie pożądanym śladem przeszłości, rozgrzeszeniem z zaniedbań i zapomnianych, efektywnym podtrzymaniem mitu walki o wolność, pod warunkiem oczywiście, że odwraca się od swojej narodowej tradycji i obowiązków i tylko terminuje u progu literatury angielskiej czy francuskiej. Kto chce pozostać sobą, może w końcu nie znaleźć miejsca, kto jednak jest gotów występować w niejasnym charakterze, zadawała się mdłymi aluzjami do losów swego kraju i być istotą duchową w stanie przejściowym, to jest między nieokreślonym zeuropeizowaniem się, a wstydlivym rodowodem ze środkowej Europy, może liczyć na życzliwe przyjęcie i nawet na dekoracyjne miejsce za przyzwoitym stołem. Pomaga to bowiem do utrzymywania za wystawową szybą starej „świętej trójcy” liberalizmu i racjonalizmu : Liberté, Egalité, Fraternité.

Ponieważ nie wszystkim odpowiada rola słomianych figur, po Kongresie zaatakowano jego rezolucję i postawiono pytanie, jaką rolę spełnia PEN-Club i czy pisarze emigracyjni, biorąc udział w jego obrzędach, nie udzielają swojej firmy fałszywym manewrom.

II

P.E.N. Club (Poets, Essayists, Novelists) — zrzeszenie poetów, krytyków, powieściopisarzy i tłumaczy, jest organizacją ostentacyjnie apolityczną. Między dwiema wojnami przez długi czas wierzono w Europie, że sztuka może się odgrodzić od hałasów świata i zatrzasnąć drzwi, wnieść ponad spory polityczne — zajmować się człowiekiem idealnym, tj. nie poddanym naciskowi historii i nieszczęściom polityki. Kiedy milczano wobec przeróżnych europejskich sporów granicznych i konfliktów mniej-

szościowych, był w tym gest może nieprzeceniania wagi zatar-gów, nie naruszających ogólnej zasady jedności kulturalnej i nie grożących bezpośrednio hasłu demokracji.

Kiedy jednak później przysłuchiwano się wywodom, że wy-stąpienie przeciw niemieckiemu antysemityzmowi krępuje demo-kratyczną swobodę poglądów i kiedy milczano wobec usuwania z Niemiec pisarzy żydowskiego pochodzenia, milczenie stało się dwuznaczne. Równie dwuznaczne było ono w Dublinie; nie za-protestowano przeciw naruszaniu swobody myślenia w krajach za Żelazną Kurtyną, przeciw likwidacji niezależnej prasy i wy-dawnictw, ani przeciw zamordowaniu w więzieniu prezesa buł-garskiego PEN-Clubu. Czemu tym razem — wśród oficjalnych delegatów — nie znalazł się naśladowca Karola Czapka, który w r. 1933 dobitnie, choć samotnie, protestował przeciw paleniu książek w Niemczech? Dyskretna cisza Dublina może oznaczać przymykanie oczu na kurczenie się znaczenia ideału wolności słowa i obszaru, na którym go stosują.

Konflikt, którego widownią stał się Kongres w Dublinie, wynikał w znacznym stopniu z uporczywego trzymania się przed-wojennych form w nadziei, że ta magia ceremoniału, pięknych frazesów i pustych gestów, zdoła wskrzesić dawną treść. Tym-czasem treść była nieprzyjemnie współczesna. Ani jednej repre-zentacji z Europy Środkowej i Wschodniej! Dawniej przynaj-mniej nadchodziły depezesy z eskuzami — teraz już nic. Widma Estonii i Łotwy mają nieoczekiwane przedstawicielstwa emigra-cyjne. PEN-Cluby tych dwu krajów ocalały na terenie między-narodowym dzięki temu, że sowieckie republiki bałtyckie nie pró-bowały wysłać swoich przedstawicielstw, a zarządy bałtyckich PEN-Clubów działających na Zachodzie nie naśladowały pochop-nie polskiego przykładu ustępowania z władz organizacji, gdy nastąpiło tzw. wyzwolenie.

Niemcy mają w federacji PEN-Clubów aż trzy przedstawi-cielstwa. Jedno pochodzi ze Wschodnich Niemiec, drugie z Za-chodnich a trzecie zostało wyłonione przez PEN-Club „Deutscher Autoren im Ausland”, działający głównie w Ameryce. Apoli-tyczne obyczaje PEN-Clubu, nie pozwalające na dodatkową re-prezentację, jeżeli którakolwiek z literatur narodowych ma swo-je normalne przedstawicielstwo, w tym wypadku uznają wyją-tek od zasady. Ale też dla „dobrego” Europejczyka kluczowym zagadnieniem Europy nie jest odzyskanie obszarów utraconych na rzecz sowieckiego imperium, lecz sprawa niemiecka. Zresztą jedynie sowieckiej strefie okupacyjnej pozwolono wysłać dele-gata na Kongres — był to jedyny człowiek z Żelaznej Kur-tyny.

Natomiast istnienie PEN-Clubów czy to w Polsce czy w Cze-chach przypomniawszy tylko obecność pisarzy zrzeszonych w tzw. „Centre for Writers -in-Exile”, mającym swoją siedzibę w Lon-dynie. Przewodniczącym Komitetu Wykonawczego jest dr. Be-drich Breugel, a z Polaków należą do tego ośrodka m.in. : M. Kuncewiczowa, H. Naglerowa, St. Baliński, Z. Grabowski, G.

Herling-Grudziński. Ogółem Ośrodek Pisarzy na Wygnanium zrze-sza pisarzy 16 narodowości, ze zrozumiałą przewagą autorów z Żelaznej Kurtyny.

Na wrażenie nierzeczywistości, na złudę cofnięcia się w przedwojenne czasy, składało się w Irlandii niemal wszystko. Niewielka Irlandia podejmowała Kongres z wielką gościnnością, prawie ponad stan. Granice Ulsteru, rozdawanie propagando-nych broszur, przypominały spory sprzed drugiej wojny i atmo-sferę rewindykacji po traktacie wersalskim.

Naprawdę jednak niesamowite były dopiero projekty rezo-lucji. Pisarz austriacki, Robert Neumann, proponował rozpisanie ankiety, zapytującej poszczególne PEN-Cluby czy ich praca pod-lega jakimś ograniczeniom w dziedzinie wolności myśli. Rezul-taty ankiety miały być przedstawione UNESCO, ogłoszone przez tę instytucję i rozważane na następnym kongresie PEN-Clubów. Oczywiście, z Żelaznej Kurtyny nadeszłyby entuzja-tyczne odpowiedzi i całość takiej imprezy sprowadziłaby się do niebywałej reklamy dla „wolności ucieleśnianej w dyktaturze najbardziej postępowej klasy społeczeństwa”. U podłoża tego pomysłu jest niewątpliwie chęć nawiązania kontaktu z PEN-Clubami z Żelaznej Kurtyny, wciągnięcie ich do współdziałania w gestach i ceremoniach. Trudno bowiem wyobrazić sobie ina-czej współpracę np. Putramenta ze starszą generacją liberatów, zasiadających jeszcze we władzach PEN-Clubu. Sam jednak fakt udziału w obradach ludzi z Żelaznej Kurtyny wzmacniałby złudzenie ogólnego pokoju i wolności i kołt obawy, lęki, strachy przed wschodnią potęgą, która stanęła tak blisko serca kul-tury europejskiej.

Projekt francuski wysyłania depez do rządów komunis-tycznych, aby poparły pracę PEN-Clubów w swoich krajach był równie fantastyczny i równie związany z trwożnym pragnieniem, by wschodnie bóstwo przeznaczenia raczyło wyrzec dobrotliwe słowo.

Wykazywanie demokratyczności i postępowości sprzyjało szybkiej pozytywnej reakcji na protesty Battista-i-Roca przeciw tępieniu języka katalońskiego w Hiszpanii i na projekt protesta-cyjnej depezy do prezydenta Argentyny, Perona, w związku z aresztowaniem tamtejszej pisarki. Niewysłanie analogicznych depez na Wschód łatwo wytłumaczono nieszczerem argumen-tem, iż naraziłyby one na trudności pisarzy pracujących za Że-lazną Kurtyną. Uniknięto jednak ze szczęśliwą „zręcznością” pomysłu ogłoszenia zasadniczego protestu przeciw odebraniu pi-sarzowi wolności słowa przez reżimy komunistyczne.

Ostatecznie postanowiono uczcić działaczy literackich, w obronie wolności znoszących prześladowania, i to zarówno na Wschodzie i na Zachodzie. Po tak starannym wyważeniu rów-nowagi, w dalszym ciągu tekstu uchwały zwrócono się z apelem do PEN-Clubów, aby nie ustawały w walce z ograniczeniami

twórczej swobody, narzucanymi przez rządy, tak jak ich do tego zobowiązuje uroczyste przyrzeczenie i ustawy organizacji.

I znów mgła nierzeczywistości rozsnuła się nad zebraniem przy odczytywaniu tych słów. Oto bowiem potępiano członków organizacji, którzy „w milczeniu tolerują, aby w jakikolwiek sposób krępowano swobodę myśli, czy wyrazu artystycznego w kraju, który zamieszkują”. Wezwanie do ludzi żyjących pod ścisłą kontrolą policyjnego ustroju, aby zaczęli zabierać głos w sprawie tak niebezpiecznej było łatwe i proste dla wygodnych obradowiczów, którzy sami nie potrafili się zdobyć na energię protestu. Zebrał się w wolnym kraju, oddzieleni morzem od równi pochyłej europejskiego kontynentu, jeszcze nie mogli strząsnąć upiora lęku, ułożyć ust w kształt wyraźnego słowa. Wołali natomiast do tych, którzy już dość ponieśli ofiar z rąk niemieckich, aby wystawiali się na świeże niebezpieczeństwo. Cóż za wspaniały materiał dla komunistycznej propagandy! Dla intelektualistów za Żelazną Kurtyną, chciwie łowiących echa tego co się dzieje na Zachodzie, jakież przykład nieprzytomności, obłądu, sybaryckiej megalomanii!

Europa, pozbawiona milionów ludności Europy Środkowej, uczy się gestów prośby. Pisarze często reagują zgodnie ze wskazaniami zbiorowego instynktu; być może, że dziś, mając słabe poczucie związku ze społeczeństwem, usiłują go odzyskać poprzez wspólny lęk, przez ujawnianie obaw, nurtujących wśród ludzi. Gdyby jednak czuli się związani ze swoim środowiskiem, gdyby mieli zaplecze masy czekającej na ich słowo, może wówczas wybrałoby rolę przewodców. Pozbawieni naturalnego oparcia, rzadko znajdujący dowody, że społeczeństwo potrzebuje ich sztuki, mogą patrzeć poza linię demarkacyjną swego świata z zazdrosną ciekawością. Mogą zapominać, że poza tą linią pisarz traci swą artystyczną i intelektualną osobowość, a akcesoria popularności i sławy, którymi się go otacza, bywają właśnie wskazówką rozdźwięku ze społeczeństwem. Przynajmniej tam, gdzie jeszcze pamięta się wolność.

III

„Literatura krajów, których język ogranicza lub uniemożliwia jej szerszy zasięg”... Na angielskim rynku wydawniczym przykładem dzieł literatury pięknej stanowią pół procent ukazujących się książek. Kultura europejska narodów sprzymierzających się ze światem anglosaskim jest traktowana jako czynnik drugorzędny. Narody środkowej Europy mogłyby sobie stawiać pytanie: czyż potrafią myśleć o tym aby nam pomóc, jeżeli właściwie nie troszczą się nawet o to, aby nas poznać? Kolejni mówcy zapewniali Zjazd, że w pierwszej połowie obecnego stulecia niemal każda z literatur europejskich, mało znanych na Zachodzie, posiada postacie równe świetnością i indywidualnością najwybitniejszym nazwiskom świata francuskiego

czy angielskiego. O przykład polski czy czeski chyba najłatwiej: Wyspiański, Czapek.

Delegat pisarzy żydowskich przypomniał wtedy wszystkie wysiłki, czynione przez stronę totalistyczną, aby uzyskać wpływ na kulturę mniejszych państw i aby umożliwić jej studiowanie własnemu czytelnikowi. Nie wiem, czy za pośrednią odpowiedź można uważać uchwalenie wniosku PEN-clubu estońskiego (emigracyjnego), aby Unesco zaopiekowało się sprawą przekładów. Delegat Unesco, obecny na Kongresie, zapewnił jak bardzo obojętnie docenia wagę tego problemu i jak mało w tej sprawie można oczekiwać od reprezentowanej przez niego instytucji.

Jeżeli zmartwiło to niektórych delegatów, rozczarowanie koło miodoplyne, harmonijne przemówienie oficjalnego delegata francuskiego, André Chamson. Maître Chamson uderzał głosem dźwięcznym i aktorskim w sklepieniu szacownego Trinity College w Dublinie. Zabarwiał swą mowę tonem wzniosłym i proroczym, choć był to zjazd, w którym nie brał udziału ani jeden z proroków literatury. Gdy cytował Pismo Święte i mówił o pomieszanu języków, jako karze, którą dziś muszą dźwigać rozproszeni po świecie potomkowie budowniczych usiłujących dosięgnąć nieba, magia słowa działała na wsłuchaną salę. Piękna fraza zdania, elegancja gestu, muzyka gallickiego języka pokrywały treść gładką, zwinną, zmienną, omijającą istotę zagadnienia.

Przemawiano na Kongresie bądź po francusku bądź po angielsku. Zebraniem wydawało się to tak naturalne jakby historia udzieliła tym językom wiecznotrwalego miejsca. Nie przyszło im na myśl, że dorastające pokolenie milionów ludzi, zamieszkujących środkową Europę, nie rozumiałyby już — i to w wypadku ludzi wykształconych — ani tekstu przemówień, ani tekstu podawanych przekładów. Pisarze zachodnioeuropejscy, tak powściągliwi i ostrożni, jeśli idzie o gest zainteresowania, o symbol obrony wolności słowa, nie zdają sobie sprawy, że Żelazna Kurtyna także ich odcięła od rzeszy wiernych czytelników, stawiając ich własne piśmiennictwo w sytuacji literatur o kurczącym się zasięgu.

Jeśli zasadniczy temat Kongresu chciał podkreślić działalność artystyczną mniejszych narodów, prowadziło to wprost do zagadnienia, czy rosnący imperializm pozwala na wolne uprawianie tej działalności. Przed wojną istniało wiele literatur narodowych o skąpej liczbie czytelników, zdolnych jednak do życia i do niespodziewanych rozkwitów. Po wojnie są literatury umierające, literatury żyjące życiem podziemnym, literatury deprawowane i nawet piśmiennictwa, którym grozi zagłada wobec niszczenia ich twórców. Czterech delegatów z państw bałtyckich miało na wargach gorzki uśmiech. Ani jedno słowo inauguracyjnego przemówienia nie było skierowane do sumienia artysty, ani jedno nie dotykało rzeczywistości.

Ignazio Silone, należący do typowego pokolenia współczesnych pisarzy, u których literatura i działalność społeczno-polityczna tworzą nierozdzielny związek, był na Kongresie samotną

postacią. Opuścił go w połowie. Artur Koestler, mimo że był zaproszony jako gość honorowy — w ogóle nie przybył. Magia nie nazywania złego po imieniu — lękano się nawet słowa „Wschód” w uchwalanej rezolucji — polega na tym, że skreślenie imienia ma także przekreślać rzeczywistość. W atmosferze bezpieczeństwa stwarzanej w ten sposób, rozważano w prywatnych rozmowach zalety rynku romansów kryminalnych, seryjnych powieści o Dzikim Zachodzie, opracowań turystycznych przewodników i regionalnych monografii, pisanych z dobrym kunsztem starych majstrów. Bezideowość literatury w połączeniu z pojawiającymi się w firmach wydawniczych cechami masowej produkcji przemysłowej, grozi sprowadzeniem piśmiennictwa do funkcji umiejętności, której specjaliści są zawsze potrzebni tak jak w życiu potrzebny jest mechanizm snów. W pewnych przejściowych fazach historii technicy pióra są szczególnie cenieni i wynagradzani. Byli potrafili pisać — inni dostarczają im myśli. Kongres w Dublinie był zapewne zebraniem ludzi, z których wielu posiada pierwszą zdolność. Teksty rezolucji nie świadczą o nadmiarze drugiej.

Wysunięcie na plan pierwszy techniki literackiej, zgłoszenie zagadnień treści pozwala na przyjęcie w trudnych czasach barwy ochronnej. Maître Chamson cytował Biblię. Idźmy w jego ślady, odwróćmy ewangeliczną mądrość tak, aby brzmiała: — nie bądźcie ani zimni ani gorący! Bądźcie letni, bądźcie ostrożni, ni-jacy, zamknijcie w drobnych sprawach własnego podwórka, w ciasnej wizji świata, któremu los użycza jeszcze odroczenia wyroku. Niech każdy czyni w swym kółku co każe duch Boży — historię będą robić inni.

Nie brak było na Kongresie strawy pocieszenia. Uroczyste recepcje umacniały „sól ziemi” i „światło świata”, reprezentowane legionem pisarzy od Nowej Zelandii i Japonii aż po Amerykę i Finlandię, w poczuciu pożyteczności i wierze w doczesną chwałę. Ponad przemijającą wolność i przemijającą niewolę wznoszono nimb sztuki. Aby nie mącić jej blasku usunięto z Kongresu dyskusję. Z trybuny wygłaszano dziesięćminutowe przemówienia, błakające się pustym echem po rozległych salach. Słuchało ich coraz mniej uczestników Zjazdu. Temat Kongresu grzęznął wśród komunałów, wśród nudy. Stawało się oczywiste, że Kongres nie da rezultatów — rozwiązanie problemu nie posunie się naprzód ani o krok zółwia, ani o drogę ślimaka.

Demokratyzacja społeczeństw i upowszechnienie czytelnictwa w dziwny sposób odbiły się na losie pisarza. Możliwość sprzedania wielkiej ilości egzemplarzy książki taniej i łatwej odwraca wydawcę od książki poważnej. Przemysł wydawniczy podyktował nawet formę literacką, prawie usuwając powieść zakrojoną na szerszą miarę, narzucając ramy 250-300 stron jako przyjęte maksimum. Nawet rozrost czytelnictwa i bibliotek publicznych — wbrew oczekiwaniom — ugodził w pisarza, odbierając mu dawnych nabywców książki. Ponieważ społeczeństwo nieczym nie wynagradza tych strat, przygotowywanie łatwych form rozrywki (film, radio) staje się coraz bardziej koniecznym zajęciem. Maso-

wość niszczy jakość. Ta reguła nie jest jednak decyzją fatum — jest tylko wynikiem typu organizacji społeczeństwa.

Podobne zjawisko występuje, jeśli idzie o stosunek mniejszych i większych literatur, gdzie następuje wymiana dzieł i idei. Jeśli zajrzeć do słownika literatury europejskiej, okaże się że nie wiele więcej ponad 20 procent wybitniejszych dzieł znalazło przekłady na najszersze znane języki. Tylko dzieło przedstawione wydawcy po angielsku, francusku czy hiszpańsku może liczyć na poparcie przemysłowej maszyny wydawniczej. Literatury małych krajów wchodzą na drogę stania się anachronizmem takim jak niepodległość małych państw. A przecież językiem Homera mówiło w dobie „Iliady” mniej ludzi niż wynosi ludność Paryża czy Londynu...

Członkowie PEN-club „Pisarzy na Wygnaniu” opuszczali Dublin z poczuciem iż są wygnani z raju rodzinnego słowa, którego owoców nie zastąpi żadna ziemia. Jeżeli będą „dobrymi” Europejczykami, przyjmując angielski czy francuski jako swój nowy język, przytuli ich w swym niepewnym objęciu zagrożona Europa. Byli nie straszili widmem swojej młodości, ku której nie wolno im się odwracać pod grozą wyroku bogów. Byli nie odbierali nadziei, że wróg ofiaruje... nadzieję.

Jak słusznie podkreśla Miłosz w książce „Zniewolony Umysł”, przed wojną Europę środkową Zachód uważał za coś w rodzaju Marchii Wschodniej, za nieistotną peryferię kultury zachodnio-europejskiej. Lekceważąc po wojnie jej stratę, równocześnie sam ulegał typowym kompleksom obszarów pogranicznych: traci inicjatywę, śmiałość gestu i politycznego i kulturalnego, ogląda się na potężniejszych, zawodzi dawne nadzieje które potrafiły dotąd przetrwać kilkaset lat. Słowem — zachowuje się jak Marchia Wschodnia Ameryki. Ponieważ zaś zmniejszyła się skala ideału reprezentowanego przez suzerena, zmniejszyła się i cnota wierności, o której przed trzydziestu laty pisarz przedwojennej Marchii Wschodniej mógł mówić: „nieznana nigdzie na świecie obszarze”... Tak dalece literatury krajów o języku ograniczającym ich zasięg i należną sławę miały wówczas poczucie obowiązku państw granicznych wobec cywilizacji. Nowa Marchia Wschodnia, wyłoniona przez wojnę, ma przede wszystkim poczucie niebezpieczeństw. Dublin był demonstracją tego stanu psychicznego.

Zdzisław BRONCEL

Der MONAT

MIĘDZYKRAJOWY MIESIĘCZNIK
POLITYCZNO-LITERACKI
POD REDAKCJĄ MELVINA J. LASKY'EGO
Berlin-Dahlem, Saargemünder Strasse 25.
Cena egzemplarza — 1 DM.

40-ty Tydzień Społeczny

Malownicza stolica Bearnii, Pau, była w tym roku siedzibą 40-go Francuskiego Tygodnia Społecznego, który zgromadził w dniach 20-26 sierpnia przeszło półtora tysiąca uczestników.

Obecność czołowych przedstawicieli międzynarodowych instytucji i organizacji katolickich czy chrześcijańskich, jak np. Międzynarodowa Konfederacja Syndykatów Chrześcijańskich, Międzynarodowa Unia Pracodawców Katolickich, Międzynarodowa Federacja Dziennikarzy Katolickich, Międzynarodowa Organizacja Katolicka „Pax Christi”, Międzynarodowa Federacja Akcji Katolickiej Kobiet, Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna Europy Środkowej, Unia Chrześcijańskich Demokratów Europy (N.E.I.) i in., jak również udział licznych osobistości politycznych z b. premierem Robertem Schumanem, François de Menthon, Pierre Pflimlin i Jean Letourneau na czele, przyczyniły się do dodania tegorocznej sesji Tygodni odpowiedniej wagi i znaczenia. Goście zagraniczni reprezentowali 14 krajów, wśród których Polsce przypadło bolesne wyróżnienie, była reprezentowana dwojako : przez przedstawicieli emigracji i ... Kraju. Na zaproszenie mianowicie francuskiego „Pax Christi” przybyło trzech członków grupy tzw. katolików reżimowych (prof. Lehr Sławiński z Krakowa oraz Kętrzyński i Krasiński z Warszawy), stanowiąc swojego rodzaju sensację, jako jedyni goście zza Żelaznej Kurtyny, zachowując przy tym wielką rezerwę w nawiązywaniu kontaktów, a już jak od ognia stroniąc od Polaków z emigracji.

Jest rzeczą zrozumiałą, że w jednej notatce nie można najpobieżniej nawet streścić 18 półtoragodzinnych wykładów, 4 kazań i licznych przemówień okolicznościowych, jakie były wygłoszone w ciągu Tygodnia. Pragnęły się zresztą z nimi zapoznać dokładniej, znajdują ich pełny tekst w specjalnym wydawnictwie, które ukaza się w najbliższych miesiącach staraniem stałej Komisji Tygodni w Lyonie. Tutaj możemy ograniczyć się jedynie do zarejestrowania programu oraz uchwycenia zasadniczych tendencji, przejawiających się u prelegentów i słuchaczy.

Zgodnie z pełnym brzmieniem naczelnej dewizy tegorocznego Tygodnia : „Wojna i pokój. Od współistnienia bloków do wspólnoty międzynarodowej”, referat inauguracyjny prezesa Flory, „Zmierzenie świata ku jedności, a obecny kryzys”, miał za zadanie zagaic problem. Wykład ten można też uważać za rozpoczynający pierwszą serię, mającą ustalić pewne niewątpliwe fakty współczesności. Po nim nastąpiło też omówienie następujących tematów konkretnych : „Bilans dwóch ostatnich wojen światowych” (prof. Latreille), „Uzasadnienie materialne i ideologiczne współczesnego zamętu” (O. Bigo T.J.) „Obecne formy antagonizmów międzynarodowych” (Le Brun Keris), „Usiłowanie międzynarodowego zorganizowania i ich niepowodzenie” (prof. Giraud) i wreszcie „Obecny obraz organizacji międzynarodowych” (prof. Merle). Na tym kończy się pierwszy cykl mający dać wstępną, praktyczną bazę pod dalsze dociekania. Drugą serię stanowiły tematy doktrynalne : „Kościół katolicki, wojna i pokój” (red. Vaussard), „Chrześcijańska koncepcja pokoju” (prof. Jouguet), „Grupy ludzkie w tworzeniu pokoju : od grupy do wspólnoty ludzkiej” (prof. Follet), „Socjologia wojny współczesnej, a teoria słusznej wojny” (O. Delos O.P.), „Środki wojny nowoczesnej, a moralność” (O. Ducatillon), „Ideal chrześcijański wobec obecnej sytuacji” (Msgr. de Solages) oraz „Dwuznaczności pacyfizmu a obiekty sumienia” (abbé de Naurois). Wyjątek stanowił, wmieszany pomiędzy powyższe tematy referat „Suwerenność państwa, a porządek federacyjny” (prof. Pose), który należał raczej do ostatniego cyklu,

konfrontującego jakby rzeczywistość z doktryną, obok takich wykładów, jak „Ewolucja międzynarodowych sytuacji nierówności” (prof. Robert Montagne), „Współpraca międzynarodowa w dziedzinach : ekonomicznej i społecznej” (prez. Tessier), „Spotkania międzynarodowe i wymiana umysłów” (red. Rémy Montagne) i wreszcie „Europa w życiu międzynarodowym” (prez. de Menthon), temat rozwinięty dodatkowo również na meetingu pod przewodnictwem Roberta Schumana, specjalnej manifestacji na cześć idei zjednoczenia Europy.

Oczywiście tytuły, i to tak ogólnikowe, nie mogą dać należytego pojęcia o całości wykładów. Stanowiły one programową całość, ale równocześnie opracowane były bardzo oryginalnie : wszystkie bez wyjątku o świetnej formie, prawie zawsze ze zdecydowaną postawą, w której odbijało się osobiste nastawienie prelegenta.

Nie wszystko odbywało się oczywiście zbyt konformistycznie. Akcenty dramatyczne zawierały protesty przedstawicieli narodów indochińskich przeciwko tezom wykładu p. Alfreda Pose, który kwestionował pełną dojrzałość ludów kolonialnych do całkowitej niepodległości. Mniej poważna, ale bardzo hałaśliwa była reakcja kilku młodzieńców na referat ks. René de Naurois który „zaryzykował” twierdzenie, że jest możliwa czasem usprawiedliwiona wojna obronna czy wyzwolenicza. Otóż na to młodzieńcy ci oświadczyli, że są za potępieniem każdej wojny bez wyjątku, jak również przymusowej służby wojskowej. Bez narażenia się chyba na zarzut subiektywizmu, można powiedzieć, że najpoważniejsze i najbardziej usprawiedliwione zarzuty zostały skierowane przeciwko tendencjom, niedwuznacznie przebijającym z niektórych referatów, „dogadywania się” czy nastawiania bardziej ugodowo w stosunku do systemu panującego na Wschodzie. Oczywiście było to zawsze wyrażane bardzo oględnie i uwarunkowane mnóstwem zastrzeżeń, ale ogólne nastawienie nie ulegało wątpliwości. Najjaskrawsze pod tym względem stanowisko zajął Rémy Montagne (znany zresztą nie od dziś ze swych tendencyjnych artykułów w „La Quinzaine”), a najbardziej atrakcyjnie i inteligentnie — O. Bigo, którego sugestywna argumentacja, usprawiedliwiająca panujący system gospodarczy za Żelazną Kurtyną i apelująca o „nawiązanie dialogu, nawet, gdyby to było połączone z pewnym ryzykiem”, wywołała w kołach, zwłaszcza cudzoziemskich, ale także i pewnych francuskich, poważne zastrzeżenia. Ze strony emigrantów politycznych, zrzeszonych w Chrześcijańsko-Demokratycznej Unii Europy Środkowej przygotowane było na Tydzień Memorandum pt. „La Guerre ou la Paix”, które było wyraźnym zajęciem stanowiska. Szereg wykładów — wobec znacznie popularniejszej ugodowości, amerykańskości i wyrozumiałości, żeby nie powiedzieć sympatii w stosunku do eksperymentów komunistycznych — bardzo dzielnie stało w obronie uciśnionych narodów. Na pierwszym miejscu trzeba tu wymienić ks. Bruno de Solages, rektora Instytutu Katolickiego w Tuluzie, p. Georges Le Brun Keris oraz ks. René de Naurois.

E. WERSYN

Nakładem Polskiego Towarzystwa Literackiego w Londynie ukazał się zbiór poezji Józefa Bujnowskiego pt. „RYSY NA PUSTCE”. Wobec małego nakładu egzemplarze w cenie 5 sh. (wzgl. równowartość) należy zamawiać bezpośrednio w Polskim Towarzystwie Literackim : 19, Martindale Rd., Balham, London, S.W.12.

Książki

Paradoksalny świadek

Po zakończeniu wojny, Amerykanie zażądali od zaaresztowanych przez siebie Niemców wypełnienia kwestionariusza złożonego ze 131 pytań — idących od zwykłych paszportowych spraw tożsamości aż po najbardziej niespodziewane i często naiwne pytania policyjno-polityczne. Ernst von Salomon, pisarz który w swoim czasie wziął udział w morderstwie Rathenaua, aresztowany zresztą przez nieporozumienie, stworzył w formie odpowiedzi na te pytania 700-stronicową książkę*), która stanowi więcej niż autobiograficzne sprawozdanie: jest jednym z najciekawszych współczesnych świadectw.

Salomon jest zarazem tradycjonalistą i antykonformistą; wierzy w „los narodu”, będąc indywidualistą z natury; sybaryta i „bon vivant” — nie cofał się nigdy przed czynami, które go kosztowały w sumie osiem lat wolności. Co prawda, czterdziestokilkuletni zażywny i łysy pan, ze sceptycznego oddalenia patrzący na swe życie w „Kwestionariuszu”, nie wiele ma już wspólnego z szesnastoletnim kadetem Gwardii Ernstem von Salomonem, który widział w upadku cesarstwa niemieckiego ruinę swej wizji życia i swej przyszłości.

Rok 1919. Salomon zaciąga się do korpusu ochotników, którzy ma dopomóc socjal-demokratom w ich walce z rewolucyjnymi Spartakistami, aby ocalić co się da ze starego porządku. Mimo końca wojny, alianci zezwalają jeszcze Niemcom na prowadzenie walk w Kurlandii — i Salomon skorzysta oczywiście z tej ostatniej okazji zostania kombatantem. Po powrocie do Niemiec, uczestnicy kampanii bałtyckiej biorą udział w nieudanej próbie puczu gen. Kappa: Salomon zostanie po raz pierwszy zbity

przez policję. Pod różnymi hasłami, konspiracyjne związki nacjonalistów mnożą się w powojennych Niemczech jak grzyby po deszczu. Von Salomon wstąpi do osiemnastu różnych związków (jeden z nich będzie kolebką polityczną Hitlera). Bierze oczywiście udział w walce ochotniczych formacji (złożonych przeważnie z byłych kombatantów i członków nacjonalistycznych konspiracji) z powstańcami polskimi na Górnym Śląsku. W r. 1922, konspiracja do której należy Salomon, pod dowództwem „komendanta” Ehrhardta decyduje się na „usunięcie” polityków „pacyfistycznych”, którzy są w ich oczach odpowiedzialni za „wstydlivą politykę” republiki weimarskiej. 24 czerwca grupa kilku młodych ludzi, do których należy Salomon, zabija najinteligentniejszego z tych polityków, Rathenaua. W rok później, w dzień puczu Hitlera z 9 listopada 1923, Salomon ryje swastykę na murze swej celi więziennej, w której przesiedzi sześć lat za udział w morderstwie. Po wyjściu z więzienia nie przystąpi jednak do wciąż rosnących na sile nacjonal-socjalistów, ale zorganizuje akcję oporu chłopskiego w Schleswig-Holstein, akcję która będzie go znów kosztować, za „działalność terrorystyczną”, pięć miesięcy więzienia.

Mniej więcej od chwili przystąpienia Hitlera do władzy, Salomon zostaje scenarzystą filmowym, doskonale zarabia, stroni od filmów propagandowych i od polityki w ogóle: programem jego, jak sam mówi z pewną dozą ironii, jest „spać, jeść, kochać i pracować”.

Dlaczego Salomon, który osobiście przez zabójstwo Rathenaua przyczynił się do zmiany biegu historii, który całą swą młodość poświęcił walce o „rewizję traktatów” nie wstąpił do partii, gdzie byłyby dla niego otwarte najwyższe godności? Dlaczego Salomon, głęboko rozczarowany i oburzony na metody rządów Hitlera, na formę którą przyjął antysemityzm, czystki wewnętrzne, Salomon przeczuwający niebezpieczeństwo polityki zagranicznej szaleńczego ryzyka nie staje się antyhitlerowcem i odrzuca wszelkie oferty działania, które mu robi zarówno grupa Canarisa, jak spiskowcy z 1942 r.?

Sens książki tkwi w odpowiedziach na te dwa pytania. Salomon nie poszedł za Hitlerem przede wszystkim dlatego, że nim pogardzał. Demagogia Hitlera, jego brak poczucia honoru budzi w nim wstręt. Totalitaryzm, zdaniem Salomona, musi zawierać najgorsze cechy demokracji; on sam był zwolennikiem rządów opartych na jakimś systemie arystokratycznym i elitarnym. Ale jednocześnie dla Salomona Hitler jest „losem narodu niemieckiego” i nie trzeba z tym losem walczyć: należy czekać na jego rozwój — przemianę czy załamanie. Naturalnie w grę wchodzi również, mniej lub więcej świadomie, elementy ściśle osobiste. Salomon żyje z Żydówką Ille (oczywiście zamaskowaną jako aryjka i „czującą po niemiecku”) i to mimo wszystko jest dla pary zakochanych duszą zmorą. Uwielbiany „komendant” Salomona, arystokrata i oficer marynarki Ehrhardt, który zawsze nienawidził Hitlera, po jego dojściu do władzy godzi

*) Ernst von SALOMON, *Le Questionnaire*, traduit de l'allemand par Guido Meister, Gallimard, Paris, 1953.

się na kompromis i na wstąpienie swej konspiracyjnej formacji do SS-ów. Ehrhardt zostanie przez Hitlera zdradzony i musi uciekać zagranicę, aby uniknąć aresztowania. Przed ucieczką mówi Salomonowi (w r. 1934) : „Hitler idzie ku wojnie, którą Niemcy oczywiście znów przegrają. Jadę do Anglii i będę się starał tłumaczyć aliantom, aby nie powtórzyli szaleństwa Wersalu”.

Jakież jest polityczne nastawienie Salomona podczas hitleryzmu? Jest on „członkiem grupy oporu Imming”, która jego zdaniem obejmuje 80 % Niemców. Tylko że „Imming” — to nazwisko służącej Salomonów, która dumnie obnosi swoje socjaldemokratyczne przekonania i twierdzi, że Goebbelsa należy powiesić na Branderburger Thor. Tylko że dzieje się to w r. 1944 w Berlinie doprowadzonym do rozpacz przez bombardowania alianckie. Salomon dowie się o Mauthausen, Belsen i Oświęcimiu dopiero z fotografii, które mu pokażą Amerykanie. Pomimo wszystko, uczciwy sceptycyzm Salomona, jego rozczarowany „obiektywizm” nie wydaje się w pełni uczciwy, ani w pełni obiektywny. Pod zimną intelektualną rozważką, pozostaje uczuciowa solidarność z Niemcami, uczuciowa nienawiść do Amerykanów. To prawda, że Salomon nie stara się wybielać hitleryzmu : ale nie wini za to narodu niemieckiego, „grupy Imming” i samego siebie. To prawda, że Salomon przyznaje Amerykanom takie czy inne zalety i że, z drugiej strony, jego obraz amerykańskich obozów jest istotnie ponury — ale podczas gdy on sam nie bierze na siebie winy Mauthausen, winą za znęcanie się nad aresztowanymi Niemcami, pomiędzy którymi byli istotnie i ludzie, jak Salomon, osobiście niewinni, ale których większość stanowili właśnie oprawcy z Mauthausen, tą winą wydaje się obarczać całą Amerykę.

Paradoks „Kwestionariusza” jest paradoksem życia Ernsta von Salomon. Cała młodość poświęcona wierze i walce za ideał. Rozczarowanie człowieka o przenikliwej inteligencji. I — jako konsekwencja — zimna logika nihilizmu (z pewnymi uczuciowymi refleksjami, z których sam sobie zresztą zdaje sprawę). Ta nihilistyczna postawa jest istotnie świetną platformą do burzenia szeregu banalnych i fałszywych koncepcji, do nicowania różnych konformistycznych postaw. Świat jest teatrem marionetek — oto mniej więcej co nam mówi Salomon, który sam był jedną z nich i przejrzał sznurki szeregu innych. Opis tych marionetek jest zresztą w „Kwestionariuszu” szczególnie ciekawy, i nadaje naszej dość abstrakcyjnej koncepcji hitlerowskich Niemiec cechy życia w jego najbardziej sprzecznych formach. Konspirujący przeciw Hitlerowi oficerowie sztabowi i dowódcy SS; Ewa Braun i najbliższe otoczenie Hitlera; wojsko niemieckie, jego oficerowie i żołnierze w czasie zwycięstw i podczas klęski — Salomon jest wszędzie głębokim i przenikliwym obserwatorem.

Na zakończenie, ciekawy szczegół, znów, jeśli chodzi o niemieckiego pisarza dość nieoczekiwany : Salomon w tych kilku wypadkach w których pisze o Polakach, wyraża się o nas zwy-

kle z sympatią. I tak, o powstańcach śląskich : „Granica była w płomieniach i każdy kto umie się obchodzić z ogniem wie że pozostaje wówczas jedno tylko rozwiązanie : zadusić ogień. Życzę każdemu narodowi młodzieży, która by była zawsze gotowa tego dokonać. Narodowi polskiemu nie trzeba było tego życzyć : miał już taką młodzież”.

KAJ

Studia słowiańskie w U. S. A.

Czytelnicy „Kultury” mieli niedawno okazję przekonać się, dzięki artykułowi prof. Jakobsona, jak to średniowieczny i wczesnorennesansowy wpływ czeski „wyniańczył” polską kulturę, literaturę i nawet język. W wydanym niedawno tomie *Harvard Slavic Studies* *) ukazała się obszerniejsza praca tegoż autora omawiająca problemy porównawczego studium literatur słowiańskich. W swoim czasie nasi romantycy w zapale dla nowoodkrytej poezji i podań ludowych okrzyknęli, że wszystko co znajduje się w tradycji ludowej pochodzi z epoki prasłowiańskiej. Echa tej pseudosłowiańskiej mitologii zna polski czytelnik choćby z „Lilli Wenedy” Słowackiego. Sama przesada romantyków sprawiła, że później zarzucono doszukiwanie się mitologii słowiańskiej we współczesnym folklorze, bo z jednej strony badacze przekonali się, że współczesne wiadomości o pogańskiej religii Słowian ograniczają się niemal do zera, a z drugiej zobaczono, że folklor nasz zawiera tak wielką masę wątków zaczerpniętych stosunkowo niedawno z bliższego lub dalszego wschodu czy z zachodu. Studium prof. Jakobsona stawia zagadnienie wspólnoty literackiej pra-słowiańskiej w nowym świetle. Mowa jest oczywiście o literaturze ustnej, takiej jak niedawno jeszcze istniejące byliny ruskie, pieśni ukraińskie czy serbskie. Analiza formalna metryki poetyckiej w poezji ludowej pozwala prof. Jakobsonowi na postulowanie istnienia pewnych form wiersza odziedziczonych jeszcze z epoki prasłowiańskiej (np. takich jak polski typ : Cztery sta rubli w posag dał). Te formy nie tylko żyją nadal, ale także wpływają na współczesną poezję pisaną. W literaturach, które są w bliskim kontakcie z poezją ludową jak słowacka czy ukraińska ukazuje prof. Jakobson uderzające podobieństwo w formach poetyckich między tymi językami. Ale także i w innych jak w rosyjskiej czy czeskiej. Wpływa na to zresztą i sama struktura języków słowiańskich, które mimo 1000 lat

*) 396 stron, Harvard University Press, Cambridge, Massachusetts, 1958.

oddzielnego rozwoju zachowały wiele wspólnego. Prof. Jakobson daje wiele zajmujących przykładów na owe podobieństwo, jak choćby możliwość busowania całych poematów wokół jednego słowa czy raczej tematu słownego (np. Tuwima : Kto się pierwszy w cel zielisty wzięli, Kto z zielinek i pozielców wie-la Wydrze ślad najdrzewiejszego ZIELA itd.). Ciekawe, że tego rodzaju figura stylistyczna spotyka się już w cerkiewnosłowiańskim zabytku z X-go wieku : cz'st'nago Klimenta... cz'sti cz'stece.

Gdy tak z jednej strony znajdujemy we współczesnej poezji słowiańskiej dziedzictwo epoki przedhistorycznej, to z drugiej wszystkie literatury słowiańskie tkwią swymi korzeniami mniej lub więcej w owej pierwszej próbie stworzenia literackiego języka dla Słowian przez misję Cyryla i Metodego w IX wieku. Dzięki tej misji jeszcze w XIII-XIV wieku istnieje stały obustronny kontakt między literaturą (religijną oczywiście) czeską i ruską. Tymczasem błyskotliwy rozwój literatury a nawet filozofii czeskiej z XIV-XV wieku był w pewnej mierze dalszym ciągiem tej tradycji, a od Czechów odziedziczyła ją Polska, kontynuując w ten sposób tradycję słowiańską. Polska literatura XVI i XVII wieku wywarła z kolei wpływ na Ukrainę zbliżając ukraiński język do polskiego, a w XVIII w. wielka różnica istniejąca dotychczas między Ukrainą a Rosją (Moskwą) została nieco zmniejszona dzięki ukrainizacji cerkwi moskiewskiej. Tak zwane „polskie stichi” przetrwały w Rosji do połowy XVIII wieku. A znów w XIX wieku da się zauważyć wpływ rosyjski na Ukraińców, Bułgarów i Czechów.

Jako lingwista prof. Jakobson podkreśla w pierwszym rzędzie jedność językową Słowian, odziedziczoną również z epoki prehistorycznej. Jego studium pokazuje, że — jak w tylu innych wypadkach — przeszłość żyje o wiele więcej w teraźniejszości niż to się zwykle przyjmuje. Poeta polski czy rosyjski piszący futurystyczne utwory nie zdaje sobie sprawy jak dalece jego twórczość uwarunkowana jest przeszłością jego języka i jak dalece nawiązuje on do prehistorycznej przeszłości.

Pozostałe studia w tym tomie, który ma zresztą zapoczątkować całą nową serię, pierwszą tego typu w Stanach, są poświęcone poszczególnym narodom słowiańskim. Polaka zainteresuje przede wszystkim 40-stronicowe studium W. Weintrauba o Mickiewiczu jako polityku pod znamienym tytułem *The Mystic-Politician*. Autor ukazuje w swym szkicu wewnętrzną logikę politycznej działalności Mickiewicza, logikę opartą na założeniach mistycznych a więc nie mającą nic wspólnego z logiką „realno-polityczną”. Dla ilustracji warto by zacytować zredagowany w 1848 r. przez Mickiewicza „Skład Zasad” dla legjonu polskiego we Włoszech. Paragraf 13 stwierdza, że każdej rodzinie gwarantuje się prywatne posiadanie ziemi, a paragraf 14 zapowiada, że każda własność istniejąca ma być respektowana. Weintraub zauważa, że w owym czasie chłopci w Kongresówce i Galicji nie posiadali ziemi, a skoro deklaracja zapewniała do-

tychczasową własność panom, to i mieć jej by nie mogli. Weintraub widzi w tym sprzeczność i niezdolność myślenia konkretnymi kategoriami społecznymi. Choć nie należy może podejrzewać Mickiewicza, że umieścił ów punkt o zachowaniu własności ze względów taktycznych, to można by przypuszczać, — i to w zupełnej zgodzie z całym wywodem Weintrauba — iż Mickiewicz myślał, że panowie sami się nawrócą i ofiarują część swej ziemi chłopom.

Szkoda, że Weintraub zbyt kilkoma zdaniem działalność Mickiewicza w Konstantynopolu (której sugestywny obraz daje monografia Marii Czapskiej o Ludwice Sniadeckiej). Uparte naleganie Mickiewicza na stworzenie legjonu żydowskiego było co najmniej równie paradoksalne jak ofiarowanie ziemi chłopom a nie zabieranie jej panom. Żydzi ówczesni wcale nie byli równie bojowi jak dzisiejsi chaluce, a Sadyk-Pasza, wychowany w szlagońsko-kozackiej tradycji niechęci do Żydów i jezuitów, mimo całego podziwu dla Wieszcza, nie miał bynajmniej ochoty stać się *Cadykiem-Paszą*, choć w końcu uległ czarowi i wielkiemu sercu Wieszcza. A jednak niekiedy „utopiini” politycy mogą mieć rację na dalszą metę, bo owo polsko-żydowskie braterstwo broni odrodziło się niespodziewanie podczas ostatniej wojny i po niej, gdy byli żołnierze Armii Andersa tworzyli jakoby Irgun i inne podziemne organizacje bojowe w Palestynie. Ostatecznie żyjemy w tak fantastycznych czasach, że wyskoczyły poza wszelkie kategorie realnej polityki XIX wieku.

Jeszcze jedno studium dotyczy spraw polskich. M.B. Petrovich poświęcił 30-stronicowy artykuł „obronie” rosyjskich panslawistów, niestudnie zdaniem jego identyfikowanych z imperializmem rosyjskim i dążeniami do rusyfikacji. Dla zilustrowania swej tezy autor z godnym pochwały obiektywizmem przedstawił panslawistów, jak pisze, nie tam gdzie się pokazali w najlepszym świetle ale tam gdzie w najgorszym, tj. w ich stosunku do sprawy polskiej podczas powstania 1863 r. Panslawiści byli zwolennikami braterstwa, równości i niepodległości narodów słowiańskich, nie mogli więc pochwałać carskiego ucisku i walk bratobójczych. Ale z drugiej strony Polska była dla nich przeciwnieństwem słowiańskości, była tworem „zachodniej szlachty, liberalnej inteligencji i łacińskiego kleru”. Petrovich podkreśla, że panslawiści mieli dodatkowe powody do niechęci : obawiali się konkurencji Polski jako przewódcy Słowian, zwłaszcza katolickich (dla odmiany Polacy twierdzili przecież, że Rosjanie nie są żadnymi Słowianami). Panslawiści, w przeciwieństwie do rosyjskich reakcjonistów rozumieli, że Polska jest czymś odrębnym i przyznawali jej prawo do niepodległego bytu, przynajmniej w teorii, bo w praktyce np. Samarin rozróżniał trzy elementy sprawy polskiej : naród polski (mający prawo do niepodległości), państwo polskie (na którego istnienie Rosja nie może pozwolić, gdyż stanowi ono groźbę dla bezpieczeństwa Rosji) i polskość, z jej „najbardziej wrogim” aspektem, łacińskością. Rozwiązanie sprawy polskiej nastąpi dopiero wtedy, gdy Polacy „odrodzą się

duchowo" i odrzuca z własnej woli łacińskość. Słowianofile bali się łacińskości z jeszcze jednego powodu: mimo blisko letnich rządów rosyjskich na Białorusi i Ukrainie broniły się one wciąż zwycięsko przed rusyfikacją. Ich zachodniość przypisywali panslawiści wpływowi polskiemu, co uważali za niedopuszczalne, zwłaszcza gdy Polacy przypominali o historycznych granicach Rzeczypospolitej i o „swobodnie zawartej” unii polsko-litewskiej. Panslawiści przedsięwzięli „prawdziwą krucjatę” (wyrażenie M.B. Petrovicha) za rusyfikacją owych „zachodnich prowincji”, zapominając tym razem o prawach bratnich narodów ukraińskiego i białoruskiego. Ich niechęć do rusyfikacji ograniczała się być może tylko do tych terytoriów, na których rusyfikacja była ich zdaniem całkiem niewykonalna.

Argumentacja panslawistów jest dziwnie znajoma czytelnikowi dwudziestowiecznemu. Już w okresie powstania 1863 roku, pisząc o Litwinach, znany historyk prof. Pogodin twierdził, że „zgodnie z prawem historii powinni pogodzić się ze swym losem”, a zresztą „rządy mają swe własne prawa, których nie mogą się wyrzec, swe własne warunki istnienia, dobrobytu i bezpieczeństwa” (a więc Rosja nie może wyrzec się Litwy). Niezależnie od szlachetnych motywów panslawiści polemizowali z reakcjonistą Katkowem potępiając rząd carski za zbyt liberalną politykę w Polsce! Ci sami zwolennicy praw narodów słowiańskich witali z entuzjazmem Murawiewa wracającego z rzezi Litwy jako „wielkiego misjonarza”, a ich pismo zapewniało czytelników, że gdzie potrzebne są surowe kroki, tam fałszywy humanitaryzm i delikatność uczuć są nie na miejscu. Petrovich widzi sprzeczność między entuzjazmem dla Murawiewa a poparciem dla uwłaszczenia chłopów w Kongresówce. Ale dla panslawistów uwłaszczenie było wymierzone przeciw „polskości”, jako że zgodnie z ich definicją należało poprzeć słowiański „lud” polski przeciw jego „zachodnim” panom (nie darmo jeden z uczonych twierdził z całą powagą, że szlachta polska jest pochodzenia zachodniego, „celtyckiego lub łacińskiego!”). Dla „rusyfikacji” Ukrainy i Białorusi panslawiści proponowali nawet usunięcie polskich „landlordów” (nie nielegalnie, broń Boże, tylko drogą ustaw), w Polsce zaś mieli nadzieje na osłabienie Kościoła przez poparcie kościoła „narodowego”, ale jednocześnie byli zwolennikami swobód politycznych i kulturalnych. Panslawiści nie byli więc bynajmniej „polakożercami”, zauważa słusznie Petrovich, pragnęli tylko ograniczyć Polskę do granic Kongresówki dorzucając Kraków i Poznań (o Szczecinie się jeszcze wtedy nikomu nie śniło). Plan panslawistów „zrozumiał i wykonał cudnie, ich następcą, którego mottem mogłyby być słowa panslawisty Aksakowa: „Prędzej czy później dojdzie do najściślejszego i najszczerszego zjednoczenia słowiańskiej Polski ze słowiańską Rosją, do którego prowadzi nieunikniony pochód historii”.

(av)

“Najnowsza historia Polski”

Książka Wł. Pobóg-Malinowskiego jest pierwszą po roku 1939 najnowszą historią Polski*, wydaną na emigracji. Wypełnia dotkliwą lukę w wolnym piśmiennictwie polskim, staje się pozycją zasadniczą i to nie tylko dla pokolenia, obecnie aktywnego, ale i dla młodzieży, zagrożonej wynarodowieniem. Więcej. Odegrać ona powinna poważną rolę w walce z duchową rusyfikacją młodzieży polskiej w kraju. System komunistyczny, usiłujący przerwać ciągłość rozwojową naszej kultury i zniszczyć jej zachodnio-europejski charakter, zabrał się przede wszystkim do fałszowania historii. Poddaje ją materialistycznemu naświetleniu, fałszuje jej przebieg i kierunek, przemilcza wydarzenia dla siebie niewygodne, a tym, których pominąć nie może, nadaje charakter nie mający nic wspólnego z rzeczywistym ich znaczeniem. Nowa ta książka przysłuży się walce o spotęgowanie odporności młodzieży wobec wpływów komunistycznych bardziej, niż setki propagandowych druków i przemówień radiowych. Wreszcie, odpowiednio wykorzystana, może ona odegrać niemałą rolę w szerzeniu wiedzy o Polsce w opinii świata wolnego i przyczynić się do skuteczniejszego, niż dotąd, zwalczania ignorancji w zakresie tego tematu.

Tom pierwszy obejmuje okres od upadku powstania styczniowego do odzyskania niepodległości po pierwszej wojnie światowej. Tom drugi, który wkrótce oddany będzie do druku, obejmie okres dwudziestolecia wolnej państwowości polskiej i historię Polski w czasie drugiej wojny światowej. Doprowadzi nas do roku 1945, najtragiczniejszej daty naszych dziejów.

Punktem wyjściowym najnowszej historii Polski był, zdaniem autora, upadek powstania styczniowego, który „zaważył z siłą tak niezwykłą na umysłach dwóch co najmniej pokoleń następnych”.

Pogląd ten wydaje się nie do obalenia. Istotnie, duchowe życie narodu polskiego przed odzyskaniem niepodległości i długo później ogniskowało się koło stosunku do idei powstańczej. Był ten stosunek tematem namiętnych sporów dwóch pokoleń, źródłem ożywiających je prądów ideowych, podstawą podziałów politycznych. Z dystansu lat, gdy dawne spory straciły aktualność, łatwiej jest stwierdzić, że to nie stosunek do idei niepodległościowej dzielił Polaków przez długie dziesiątki lat. Z wyjątkiem czysto intelektualnej grupy petersburskiego „Kraju”, oraz konserwatystów galicyjskich, niepodległość przyświecała właściwie dążeniom wszystkich kierunków politycznych rdzennie polskich,

* Wł. Pobóg-Malinowski — „Najnowsza Historia Polityczna Polski. 1864-1945”. Tom pierwszy, str. 400, Paryż, 1953. Cena 1.250 fr.

choć dla jednych tylko była celem bezpośrednim i nadrzędnym, a dla innych celem odległym i ostatecznym, do którego miały prowadzić etapy pośrednie: samorząd, lub autonomia. Wydaje się, że istota różnic tkwiła nie tyle w poglądach na cel zasadniczy, ile na sposób dojścia do tego celu. Kierunek, uznany za niepodległościowy, wziął za podstawę swych dążeń ideę powstańczą, kierunek przeciwny zajął wobec tej idei postawę negatywną, wybierając metodę zabiegów politycznych w oparciu o wszechstronną organizację życia narodowego. Naprawdę, najnowsza historia Polski rozpoczęła się nazajutrz po upadku powstania styczniowego.

Prowadzi nas autor przez okres 54 lat, zawartych pomiędzy klęską i odrodzeniem, jak sumienny przewodnik, zwracający uwagę na wszystkie fakty istotne, nie pomijający niczego, co ważne było w przestrzeni i w czasie.

Wszystkie ogniwa dziejowego łańcucha zdarzeń przewijają się przed naszymi oczami. Najpierw ponury obrachunek strat, zadanych przez klęskę i głucha, milcząca rozpacz pokolenia, które przegrało. Następuje próba przystosowania się do rzeczywistości, a wyrazem politycznym tej gry instynktu samozachowawczego będzie hasło ugody petersburskiej grupy „Kraju” i galijski konserwatyzm, oparty o pesymistyczny grunt krakowskiej szkoły historycznej. Szeroko rozwija autor przegląd zmian społecznych spowodowanych polityką włościańską rządu carskiego na ziemiach zaboru rosyjskiego, uprzemysłowieniem, które daje początek klasie robotniczej, osłabieniem ziemianstwa, które odchodzi masowo do miast, tworząc warstwę inteligencji. Prowadzi nas, w każdym z omawianych okresów, przez wszystkie trzy zaborcy, dając przekrój życia narodowego w skali ogólnopolskiej. Mówi o tym, jak w miarę upływu czasu i wchodzenia w życie nowego pokolenia, nie pamiętającego klęski, odradza się stopniowo energia narodu, stwarzając grunt pod pozytywizm warszawski, nową szkołę historyczną, prąd pracy organicznej i wielki rozkwit kulturalny. Z ożywienia, wywołanego przez ten prąd wyprowadza wątek nowych kierunków ideowych: Ligi Polskiej, później Narodowej i socjalizmu niepodległościowego, które przekształca się z czasem na dwa potężne nurty polityczne, nadające przez długie lata ton życiu polskiemu. Oba stawiły z początku niepodległość jako cel, oba skłaniały się ku idei powstańczej, do osiągnięcia tego celu mającej prowadzić, oba zdawały się różnić w tym wyśściowym okresie bardziej rodzajem środowisk, w których działały, niż najgłębszą treścią swych dążeń. Przejmujące są opisy wysiłków Ligi Narodowej nad rozbudzeniem uspiętej przez ugodę aktywności politycznej społeczeństwa, a młodego Piłsudskiego nad wpojeniem niepodległościowego charakteru socjalizmowi polskiemu, zagrożonemu roztopieniem się w rosyjskim rewolucjonizmie i w międzynarodowym doktrynerstwie. Patrzymy z kolei na rozchodzenie się dróg pomiędzy Ligą Narodową i wywodzącym się z niej Stronnictwem Narodowo-Demokratycznym,

a wyodrębnioną z różnych prądów socjalistycznych P.P.S., zdecydowanie wchodzącą na grunt walki o niepodległość. Jeszcze raz stosunek do idei powstańczej wykrystalizowuje postawę obydwóch kierunków, tym razem ostatecznie.

Rozdział IV, opisujący rewolucję 1905 roku i, na jej tle, walki wewnętrzne w społeczeństwie polskim, przybierające, w pewnym okresie, charakter bratobójczy, odznacza się dramatycznym w najwyższym stopniu napięciem. Następuje obraz kryzysów wewnętrznych w obydwóch prądach politycznych, rozłam, dezorientacja jednego w obliczu nadchodzącej zawieruchy wojennej, wykrystalizowanie się drugiego w kierunku walki zbrojnej, mającej doprowadzić do stworzenia własnej siły, jako narzędzia polityki niepodległościowej. Rola tych dwóch, najbardziej dynamicznych prądów politycznych, do których ciążyły wszystkie inne, była w okresie wojny 1914-18 jak gdyby konsekwencją ich stosunku do idei powstańczej, a z dystansu lat sprawia wrażenie wzajemnego, choć nie umówionego, wrogiego nawet, uzupełniania się. Gdy obóz walki zbrojnej, pod kierownictwem Józefa Piłsudskiego, buduje na polach bitew i w mrokach podziemia siłę, która stopniowo wprowadza sprawę polską na widownię międzynarodową, kładzie podwaliny państwowości polskiej i zabezpiecza ją, obóz przeciwny żłobi uporczywymi zabiegami i perswazją zrozumienie dla tej sprawy w szerokim świecie, a zwłaszcza wobec aliantów zachodnich, tkwiących, niemal do końca, w lojalności wobec Rosji.

Książka uderza olbrzymim bogactwem materiału historycznego. Mimo, że autor posiada wyraźne oblicze ideowe, jest gorącym Piłsudczykiem i biografem Józefa Piłsudskiego, w pracy jego widoczna jest troska o zachowanie obiektywizmu i umiaru. Ze szczególną starannością wydobyl on na światło dzienne pozytywne osiągnięcia kierunków politycznych, do których osobiście odnosi się krytycznie. Wielokrotnie zastępuje sąd własny cytatami z tekstów osobistości czołowych. Metoda ta nie należy zresztą do najbardziej wskazanych. Obraz przez niego stworzony nie wszystkich prawdopodobnie zadowoli. Jest to jednak udziałem każdej pracy, poświęconej historii wydarzeń stosunkowo niedawnych, których uczestnicy jeszcze żyją, lub wśród których ukształtowały się aktualnie działające prądy polityczne. Byłby chyba jeden tylko sposób uniknięcia krytyki: nie pisać przed upływem pół wieku od wydarzeń. Nie wiem, czy byłaby to najbardziej w naszej sytuacji właściwa recepta.

Na zakończenie niech mi wolno będzie zwrócić uwagę na kilka usterek, w nadziei, że autor uniknie ich w drugim tomie.

Książka jest stanowczo za mało przejrzysta. Bogactwo nagromadzonego przez autora materiału i szczegółowość opisu powinny być skłonić go do wprowadzenia większej ilości rozdziałów, a już co najmniej do zastosowania podtytułów. Ułatwiłoby to poszukiwanie fragmentów, szczególnie interesujących czytelnika.

nika, użytkującego książkę dla celów publicystycznych, lub opracowującego jedno z wydarzeń.

Autor zapowiada podanie bibliografii w drugim tomie. Nie powinno to być zwolnić go od wskazywania źródeł przy pomocy odsyłaczy, zwłaszcza w wypadkach cytowania tekstów. Usterka ta tym bardziej rzuca się w oczy, że przy wielu cytatach odsyłacze zostały zastosowane, narzuca się więc pytanie, dlaczego nie przy wszystkich. Metodologia historyczna traktuje cytat z wielką ostrożnością, zwłaszcza, gdy jest on użyty, zamiast sądu, lub dla potwierdzenia sądu. Czytelnik ma prawo do całkowitej pewności, że cytowany tekst odnosi się do akcji, dla scharakteryzowania której został użyty i że jest wyrazem tej akcji. Ostrożność ta jest szczególnie wskazana przy cytowaniu polityków, którzy byli jednocześnie pisarzami politycznymi. Jest wielka różnica pomiędzy publicystyką polityczną i praktyczną działalnością polityczną, nawet gdy obie są uprawiane przez tę samą osobę. Ilekroć ludzie, nie zdający sobie sprawy z tej różnicy mają pretensję do polityka, że w działalności praktycznej jest niezgodny z tym, co pisał i odwrotnie? Tylko odsyłacz, wskazujący źródło, ściśle związane z opisywanym faktem, może dać czytelnikowi pewność, że cytowany tekst wyrażał zgodność pomiędzy myślą i działaniem.

Jako były harcerz, mógłbym się upomnieć o wzmiankę o tym ruchu, który tak wielką rolę odegrał w ukształtowaniu się niepodległościowej postawy młodego pokolenia w przededniu pierwszej wojny światowej. Wstrzymuję się jednak od wytaczania autorowi procesu z powodu tego przemilczenia, żeby nie uruchomić lawiny innych zarzutów o podobnym typie. Zdaję sobie sprawę, że na 400 stronach nie można było znaleźć miejsca dla oświetlenia wszystkich bez wyjątku przejawów życia polskiego, które miały historyczne znaczenie i to pomimo wielkiej oszczędności słowa ze strony autora. Książka świadczy o wysiłku olbrzymim i popartym wieloletnią pracą badawczą, rozpoczętą przez autora jeszcze w Wojskowym Biurze Historycznym i w Instytucie Najnowszej Historii Polski. Wątpię, czy książka ta mogłaby powstać tylko w oparciu o źródła, istniejące w bibliotekach emigracyjnych, bez tej znajomości materiału archiwalnego, którą posiada Wł. Pobóg-Malinowski. Najlepszy dowód, że nikt inny jej nie napisał, choć należała od dawna do pierwszych, a nie zaspokojonych potrzeb.

Książkę poprzedza przedmowa prof. Michała Sokolnickiego, ostatniego ambasadora R.P. w Turcji, wybitnego historyka i jednego z wybitniejszych uczestników wydarzeń ostatnich 50 lat.

AL. KAWAŁKOWSKI

Notatki wydawnicze

Parę lat temu przeczytałem w „Quaderni”, kwartalniku wydawanym przez Roberta Longhi nowelę pt. „Historia Aleksandryny Tynne”. Jest to opowieść o młodej Holenderce, która pod koniec XIX wieku wyjeżdża do Afryki z niewielką karawaną, przecina Saharę i zostaje zabita przez Tuaregów. Zimny, obiektywny, klasyczny styl uwydatniał tajemniczość, dziwną poezję noweli. Autor wzorował się może na Mérimée, ale jego na wskroś współczesna wrażliwość i klucz do przetwarzania ludzi i przedmiotów dały poezję bardziej subtelną niż „Venus d’Ille”. Zapamiętałem nazwisko autora: Mario Tobino.

Pierwsza jego książka, *Le Libere Donne di Magliano* (Valecchi, Firenze, 1953), jest formą luźnego pamiętnika. Tobino jest psychiatrą, lekarzem w zakładzie obłąkanych Magliano pod Luccą (w Toskanie „Magliano” ma w języku potocznym przysłowiowe znaczenie naszych Tworek). Po raz pierwszy bodaj „wariaci” przedstawieni są jako indywidualności, ze swymi pasjami, swoim rozumowaniem, żyjący życiem często bogatszym, wolniejszym (choć wybór tej wolności jest zawsze tragiczny) od ludzi „normalnych”. Tobino leczy obłąkane kobiety i daje nam nie, jak bywa zazwyczaj w książkach o chorych umysłowo, zaobserwowane z zewnątrz sylwetki pacjentów, ale głębokie studia psychologiczne jednostek tym jedynie różniących się od ludzi zdrowych, żyjących po przeciwnej stronie muru szpitalnego, że w życiu ich nie gra roli ani hipokryzja, ani konwenans, ani społeczna solidarność. Oto dlaczego Tobino nazywa swoje pacjentki „wolnymi kobietami”. Tak prawdziwy wgląd w tę dziedzinę postawioną poza nawiasem ludzkiej gromady dać może tylko miłość człowieka w połączeniu z wizją artysty. Przed paroma laty duże powodzenie miała książka amerykańska o obłąkanych kobietach: „The Snake Pit”. Była w niej słuszna troska o polepszenie potwornego stanu amerykańskich szpitali, ale przebijająca przez każdą stronę pogarda dla istot, które wypadły ze wspólnej gry jaką jest życie społeczne: przebijająca wulgarność. Mario Tobino, lekarz i poeta, podchodzi do swoich „wariatów” z szacunkiem (jest w tym szacunku jakiś ślad czci, którą pewne cywilizacje otaczały obłąkanych): nie ma on nigdy pewności czy ich wolność nie jest, pomimo murów, pełniejsza od jego własnej. *Le Libere Donne di Magliano* jest książką w najgłębszym znaczeniu ludzką — przywraca wydziedziczonej kategorii istot ich znaczenie w uniwersalnym ludzkim porządku.

Tommaso Landolfi, autor *La Pietra Lunare* i *Cancroregina* jest bodaj najciekawszym, najbardziej wyjątkowym włoskim pisarzem współczesnym. Jego styl jest związany z tajemnicą, z sekretem przedmiotów, z zakamarnością ludzkiej duszy. Styl organicznie związany z treścią, niemal hieroglificzny (nie w sensie trudności, ale dlatego, że hieroglif jest zarazem formą i treścią). Czasem wydaje się, że Landolfi właśnie stylem buduje ten dręczący, ale nigdy nie odkryty sekret — czasem znów że osnuwa swój styl na kanwie sekretu, który jest jemu tylko znajomy.

Skąd tytuł jego ostatniej książki *La Bière du Pêcheur* (Valecchi, Firenze, 1953) ?

Powie nam to autor: „W czasie mej smutnej podróży do Paryża, kiedy krążyłem bez celu po ulicach, miasto krzyczało mi słowa... LA BIÈRE DU PECHEUR, najczęściej wypisane dużymi literami i bez akcentów, które mogłem tłumaczyć sobie w myśli jako „trumna grzesznika”, raczej niż, jak należało, „piwo rybaka”. W tej atmosferze pół-snu (ale z jaką precyzją myśli) utrzymana jest cała książka, pamiętnik bardziej niż powieść. Landolfi daje w niej fascynujący autoportret włoskiego Obiomowa.

Wśród licznych zachodnich „ekspertów” od spraw sowieckich, Franz Borkenau wyróżnia się zasobem wiedzy, doświadczeniem, wnikliwością i inteligencją. Sam był komunista, i to bliski współpracownik czołowej ekipy partii, zna on na wylot zarówno doktrynę jak i psychologię komunistów. Jest to, nawiasem mówiąc, jedyny zachodni publicysta, który „przepowiedział” śmierć Stalina: na łamach „Rheinischer Merkur” z 23 stycznia 1953 pisał on, że aresztowanie sowieckich lekarzy, z których trzech (Jegorow, Winogradow i Wowji) cieszyli się osobistym zaufaniem dyktatora, należy tłumaczyć „chęcią pozbawienia Stalina bezpieczeństwa osobistego”.

Jego ostatnia książka *European Communism* (Faber and Faber, London, 1953) jest źródłową i sumienną historią europejskich partii komunistycznych; analizą zależności pomiędzy polityką wewnętrzną i zagraniczną Sowietów; próbą rozszyfrowania skomplikowanych stosunków pomiędzy sowiecką partią komunistyczną i komunistami europejskimi, oraz pomiędzy komunistami i innymi partiami politycznymi.

Książka Borkenaua napisana jest przed śmiercią Stalina, pomimo to nie traci na aktualności. Autor w oryginalny i bardzo przekonujący sposób opisuje „żdanowszczyznę”, politykę lewego skrzydła Kominformu, której celem było natychmiastowe opanowanie całej Europy, bodaj za cenę wojny. Rozwój wypadków w związku z buntem Tity i upadkiem berlińskiej blokadą — i niełaska samego Żdanowa — wskazuje na to, że Stalin nie czuł się gotów do trzeciej wojny światowej. Ale wojna była dla niego tylko jednym z elementów polityki, elementem który należy użyć dopiero po doprowadzeniu do rozbitcia i wewnętrznej dezintegracji zachodniego świata. Dlatego Borkenau jest, podobnie jak Burnham, przeciwnikiem biernej polityki „containment”. Jego końcowy wniosek posiada dziś specjalną wymowę: „Jeśli nie za życia Stalina, to przynajmniej podczas kryzysu który musi wywołać jego śmierć jest niemal nie do pomyślenia, aby polityka sowiecka mogła być prowadzona w jednolitym kierunku i bez usterek. Naszą polityką winna być, moim zdaniem, cierpliwość, tak długo póki nie mamy żadnych oczywistych możliwości akcji — ale winniśmy działać błyskawicznie i zdecydowanie przy każdej sposobności jaka się natrafi — czego dotychczas nigdy nie zrobiliśmy”. (Takimi możliwościami akcji były zdaniem Borkenaua w przeszłości przebiecie się czołgów do Berlina w czasie blokady i desant w Albanii po buncie Tita). „Nie możemy twierdzić, że dotychczas osiągnęliśmy jakikolwiek sukces i nie należy za to ganić propagandy — ciągnie Borkenau. Propaganda bez akcji jest zwykłym przesądem. Tylko pod warunkiem wykazania ograniczonych możliwości rosyjskiej polityki osiągniemy sukces propagandowy”.

Rodem z Ukrainy, William Reswick powrócił do Rosji jako szef agencji Associated Press w Moskwie w pierwszych latach po rewolucji. W *I dreamt Revolution* (Regnery, Chicago, 1953), Reswick oddaje w sposób niezwykle bezpośredni sowiecką atmosferę z okresu NEP'u. Wodzowie ro-

syjskiej rewolucji zostali przez proces historycznej wyobraźni podniesieni do rozmiarów nieugiętych stalowych potworów i trudno nam dociec co się rozgrywa za kamiennymi twarzami na wyblakłych fotografiach Politbiura. Reswick przedstawia nam niemal sympatycznego Jagodę, poczciwego i słabego Rykowa, intrygi starych bolszewików, budowę nowego państwa — wszystko w cieniu wysiłku jednego człowieka, który bezwzględnie zmierza ku totalnej władzy.

Młody poeta Peter Viereck stał się szermierzem, w ogłoszonej przed dwoma laty książce „Conservatism Revisited”, amerykańskiego neokonserwatyzmu. W *Shame and Glory of the Intellectuals* (The Beacon Press, New York, 1953), Viereck rozpracowuje swoją tezę, kierując całe ostrze krytyki przeciw współczesnym „liberalnym intelektualistom”.

Idealami Vierecka są Burke, Disraeli, Randolph i Winston Churchill, a spośród Amerykanów Hamilton i Washington. Realizm, elitaryzm i społeczna „postępowość” inteligentnych konserwatystów tej szkoły pociągają zawsze i wszędzie pewien gatunek niezależnych i rzutkich młodych umysłów (wystarczy przypomnieć z Polski przedwojennej Bocheńskich czy Pruszyńskich). Prawdziwy konserwatyzm, twierdzi Viereck, ma charakter arystokratyczny — wyróżnia się zbliżeniem do robotnika i niechęcią do „klas średnich”. Jego klasycznym wyrazem pozostaje „toryowski socjalizm” Disraeliego. Główną zaletą tego stanowiska jest przechowanie wartości naszego kulturalnego dorobku i ich hierarchii: celem Vierecka jest stworzenie społeczeństwa o uniwersalnej skali wartości. Dlatego też największym jego wrogiem jest „intelektualista”, dla którego nie istnieją wartości uniwersalne czy absolutne i który przez to samo nie ma żadnej hierarchii wartości, oprócz pewnej judeo — chrześcijańskiej rupieciarni, którą sam odrzuca. Intelektualista — wróg Vierecka — jest neutralistą, pragmatystą, relatywistą — jego bożkami są najnowsza poezja, abstrakcyjna sztuka i neo-romantyzm. Viereck stwarza imaginacyjną postać takiego intelektualisty: będzie nim syn Sinclairowskiego Babbitta (który jak pamiętamy był wcieleniem przeciętnego amerykańskiego businessmana). Gaylord Babbitt jest typem Amerykanina, którego spotykamy na St. Germain des Prés z „Partisan Review” w kieszeni: operuje wszystkimi banalami „fellow-travelleryzmu”; orientuje się w wymiennie w najnowszej sztuce (zna wszystkie dzieła Jacksona Pollocka, ale nie wie kim był Pisanello); jest na służbie „słowa”.

Viereck jest oczywiście słabszy w części konstruktywnej niż krytycznej. Książka jego stanowi jednak inteligentną krytykę „liberalnego konformizmu” i banału myślowego „postępowych intelektualistów”. W czasach kiedy ten typ ludzkiego ograniczenia atakowany jest zazwyczaj przez stalinistów, przez zakutych durniów jak Mac Carthy, przez katolickich ramoli czy pocziwych reakcjonistów, których krytyka spowodowana jest w pierwszym rzędzie irytacją wobec rzeczy „niezrozumiałych”, argumenty Vierecka (czyżby dlatego, że jest sam „intelektualistą”?) są szczególnie skuteczne i potrzebne.

Wszyscy krytycy Dostojewskiego wskazywali na element autobiograficzny w „Braciach Karamazowych”: stary Dymitr Karamazow i jego śmierć, wina ciążyąca na wszystkich synach, w różny sposób przed własnym sumieniem odpowiedzialnych za zbrodnię, trudno nie widzieć tu repliki tragedii, która zaciążyła nad życiem pisarza — morderstwa znenawidzonego, okrutnego ojca przez pańszczyźnianych chłopów, morderstwa którego Dostojewski będzie się czuł zawsze winny.

Ale słowa Iwana Karamazowa przed sądem : „Któż nie pragnie śmierci swego ojca ? Klamecy! Wszyscy ludzie chcą śmierci swego ojca!” — słowa napisane na długo przed odsłonięciem przez Freuda wiecznemu rozgrywanej się na dnie ludzkiej podświadomości tragedii Edypa — są kluczem nie tylko do jednej powieści, ale do całego dzieła Dostojewskiego. W *Dostojewski le coupable* (Juillard, Paris, 1953), Dominique Arban przeprowadza psychoanalizę Dostojewskiego pisarza i Dostojewskiego człowieka. W jego książkach, korespondencji, życiu, tropi ona stale powtarzający się wyrzut sumienia, związany zawsze z dwoma elementami, które przechodzą w obsesję : ojcostwem i gwałtem. Dostojewski zarówno w swoim dziele jak w swoim życiu wciąż rozgrywa proces, w którym oskarżycielem i oskarżonym jest on sam. Zbrodnia, pokuta i kara — oto stały motyw jego dzieła. Dominique Arban w nowym i niezwykle ciekawym świetle przedstawia sekret psychologiczny tego motywu.

Jean Paulhan, współredaktor „Nouvelle N.R.F.”, szara eminencja Gallimarda, jest prawdziwą potęgą w świecie francuskiej literatury. Umysł ścisły, ostry i wyrafinowany, tak wyrafinowany, że dziedzinę problemów czy myśli uważa on niemal za dziecinną, a koncentruje się na jednym właściwie zagadnieniu : co można wyrazić słowami, a może raczej : czy w ogóle można cokolwiek wyrazić słowami ? I w tej jednej dziedzinie — wagi i znaczenia słowa w literaturze — Paulhan niejedno wyjaśnił, niejedno nieporozumienie usunął. Jego ostatni komentarz, *La Preuve par l'Ethymologie* (Les Editions de Minuit, Paris, 1953) prowadzi nas jak zwykle przez na pozór łatwy labirynt twierdzenia, które tak dużą odegrało rolę w piśmiennictwie ostatnich stu lat : mianowicie że słowo kryje poza tyłoma deformacjami jakieś pierwotne, niemal materialne znaczenie, oparte na etymologii czy onomatopeji i że wystarczy przebić się myślą aż do tego znaczenia, aby słowo odrodzić, dać mu nowe życie. I oto Paulhan z uśmiechem stara się zbić tę tezę i wykazać, że najbardziej dociekania etymologiczne są równie zwodne jak słynne „lucis ab non lucendi”. Paradoks Paulhana są tak cienkie że stają się niemal niewidoczne. I czytelnik pozostaje w rozterce : Czy „Preuve par l'Ethymologie” stanowi rzeczywiste literackie odkrycie, czy też Paulhan po prostu bardzo subtelnie, na palcach, w czapce-niewidce otwiera od zawsze otwarte drzwi ?

Książki których bohaterami są zwierzęta (czy będzie to „Księga Dżungli”, czy „Kotka” Colette) oparte są zawsze na antropomorficznym nieporozumieniu. Człowiek chce zawsze przetwarzać zwierzęta „na swoje podobieństwo”. W swoich pięciu nowelach (o koniach, lwach w klatce, wołach w rzeźni, kocie, psach i szczurach), zebranych w *Les Bêtes* (Gallimard, Paris, 1953), Pierre Gascar nie popełnia tego błędu. Przeciwnie, zasadniczym tematem książki jest przepaść pomiędzy człowiekiem i zwierzęciem, brak prawdziwego porozumienia, bezgraniczna samotność człowieka w świecie. A przecież nikt chyba tak nie „zrozumiał” zwierząt jak Gascar : poprzez jakąś tajemniczą poetycką intuicję otwiera on nam ciemny, nieznanomy, dziwny świat instynktów, popędów, pulsacji. I odkrywa istotną łączność człowieka ze zwierzęciem, podskórną, „poza czasową”, nie opartą na imitacji ludzi przez zwierzęta, ale ustaloną w odwiecznym planie stworzenia. Czytając „Les Bêtes” Gaskara często ma się uczucie, które daje prawdziwa poezja : przebiega nas jakiś dreszcz i rozumiemy przez chwilę coś co w nas zawsze drzemało.

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Z prawdziwą przyjemnością i pożytkiem przeczytałem ostatni numer „Kultury”, poświęcony zagadnieniom kultury amerykańskiej z uwzględnieniem udziału Polaków w jej budowie i przejawach. Szczególnie wartościowy jest ciekawy i wyczerpujący referat profesora Lednickiego o Studiach Sławiistycznych w USA. Autor daje nam raczej smutny obraz rzeczywistości, jeżeli idzie o polonistykę na uniwersytetach amerykańskich, ale przecież obraz, z którego czerpiemy pewność, że jest lepiej niż było, i nadzieję, że będzie lepiej w przyszłości.

Całkiem inaczej maluje nasze życie polskie w Ameryce pan Wańkowicz : po swojemu, zgodnie z tradycją „mocarstwowości” (Jacy my wielcy!), i z przymieszką dawnej „klasowości” (syn fornalski! — nie każdy miał to szczęście, żeby się urodzić w szlacheckim pałacu z herbem na ciemieniu i srebrną łyżeczką w buzi).

Pominąwszy już to, w „reportażu” tego rodzaju można się było spodziewać więcej dokładności. Dziekanem Wydziału Prawnego na Uniwersytecie w Milwaukee *NIE ZOSTAJE żaden K. Swietlik*, ale dziekanem takiego wydziału na Uniwersytecie Marquette w Milwaukee był FRANCISZEK X. SWIETLIK, obecnie sędzia, najpierw z nominacji, a ostatniej jesieni tytułem zwycięstwa w wyborach. Pan Swietlik był od wielu lat najwyższym urzędnikiem Związku Nar. Pol., od r. 1939 był i jest prezesem Rady Polonii Amerykańskiej i wszyscy Polacy w Ameryce wiedzą, że jego imię jest Franciszek Xawery, a nie żaden „K”. Tak samo wszyscy wiedzą, że członkiem Federal Reserve Board'u jest Mieczysław — nie „N” — Szymczak.

Dalej, Wilson w roku 1912 nie przeszedł DROBNĄ większością głosów, bo głosów tzw. „popularnych” dostał 6.286.214 do 4.126.020 jakie padły na Theodora Roosevelta, a „elektoralnych” głosów przypało mu 435 do 88, i nie Polacy przyczynili się do tego, bo wtedy jeszcze nie był „przyjacielem Polski”. Stał się nim już w wyborach 1916 roku, które wygrał dzięki poparciu Niemców, bo „wstrzymał nas od wojny”.

Ale może takie „odchYLENIA” wybacza się wielkim pisarzom ?

8 sierpnia 1953.

A. BARTOSZ,
Stevens Point, Wis.

Szanowny Panie Redaktorze,

Zeszty „Kultury” poświęcony współczesnej kulturze amerykańskiej czytałem z mieszanymi uczuciami. Z jednej bowiem strony cieszyć się należy z faktu, że czołowa publikacja polska na Zachodzie zajęła się nareszcie problemem kultury amerykańskiej w momencie, kiedy znajomość Stanów Zjednoczonych jest rzeczą nieodzowną dla każdego Europejczyka a zatem i dla każdego Polaka, który chce wyjść z opłotków parafianstwy. Z drugiej strony ubolewać należy nad tym, że numer amerykański „Kultury” nie daje właściwego poglądu na życie kulturalne Ameryki i że nie znalazły się tam

dość liczne opracowania polskie obrazujące rozmaite aspekty kultury Stanów Zjednoczonych.

W amerykańskim zeszycie „Kultury” nie znajdziemy zatem omówienia prozy amerykańskiej, która zapewniła literaturze Stanów Zjednoczonych w ostatnich latach trzydziestych znakomite miejsce w literaturze światowej. Bolej nad tym specjalnie jako ten, który 25 lat temu przyswajał Ernesta Hemingway'a *Pożegnanie z bronią*, a potem *Dr Arrowsmitha* Sinclaira Lewisa (nie wiem nawet, czy wyszła tuż przed wojną druga część przekładu tej powieści, albowiem wiedeńsko-polskie wydawnictwo „Renaissance”, które wydało pierwszą część mojego przekładu *Dr Arrowsmitha* było wówczas w stanie okresowego kryzysu). Powieść amerykańska jest niezwykle żywotną i ciekawą dziedziną, otwierającą perspektywy na psychologiczne przemiany jakie zachodzą w narodzie amerykańskim. Pamiętam jak wiosną r. 1935 redakcja „Pionu” poprosiła mnie o krótki rys współczesnej powieści amerykańskiej i jak na podstawie dwu głośnych wtedy utworów: *Gone with the wind* i *North-West Passage* zaryzykowałem tezę, iż powieści te, sięgające w przeszłość Ameryki dowodzą, iż kraj ten dojrzewał, albowiem tak jak cechą dojrzałego wieku ludzkiego jest próba rzeczowego przedstawienia swego dzieciństwa i młodości, tak narody dojrzewające zaczynają lubować się w obrazach swojej przeszłości. Heroiczne nastawienie literatury pionierskiej już minęło i oto Stany Zjednoczone chcą spojrzeć na swoje dzieje możliwie obiektywnie. Dojrzałość i pełnia powieści *Gone with the wind* wskazuje na to, — tłumaczyłem w r. 1935 — że społeczności amerykańskiej nie wystarczą już ckiwie oleodruki własnej przeszłości. Jest to zjawisko pocieszające, albowiem dojrzewająca Ameryka na pewno zrozumie lepiej potrzeby Europy. Podobnie z powieści takich jak Thornton Wildera *The Bridge of San Luis Rey* można było już 25 lat temu wnioskować, że zaczyna się pewien przesył czysto materialnymi przewagami cywilizacji Stanów, przesył, którego dalszymi dowodami było powodzenie powieści Franza Werfla o Bernadette, opowiadania Kossak-Szczuckiej o św. Franciszku oraz uznanie dla wyznań mnicha-trapisty Th. Mertona.

Jeżeli takie wnioski można było wyciągać już w r. 1935, siedząc w Polsce i nie znając, niestety Stanów z autopsji lecz tylko ze studiów literatury tego kraju (dopiero w r. 1950/51 zdobyłem się z największymi trudnościami na dwumiesięczny pobyt własnym sumptem w Ameryce), to ileż ciekawego materiału można by wydobyć dzisiaj, z perspektywy czasu i na podstawie pełniejszego kontaktu z literaturą Stanów! Ileż spostrzeżeń nasuwa ona, od pierwszych rzeczy Hemingway'a, Dos Passosa, Williama Faulknera (powieść jego *Light in August* miała wyjść w moim przekładzie w r. 1940, czemu przeszkodziła wojna; przemówienie W. Faulknera w Sztokholmie z okazji otrzymania przez niego nagrody Nobla warto było przetoczyć in extenso) aż po *Mr. Smith* Bromfielda i *The Naked and the Dead*.

Poruszam tu tylko problem jednego działu: jeżeli chodzi o filozofię, to ileż ciekawego materiału dałby solidny przegląd dorobku amerykańskiego od Williama Jamesa aż po Dewey'a i innych; dokonania psychologii amerykańskiej prosiłyby się o dobre opracowanie. Zamiast tego otrzymaliśmy szkic o poezji amerykańskiej, essay o muzyce A. Coplanda (nie dający odpowiedniej panoramy całej nowoczesnej muzyki Stanów Zjedn.) oraz szkic o Ben Shahn, „malarzu Ameryki” (znowu brak czytelnikowi odpowiednio podmalowanego tła tego malarstwa). Praca prof. W. Lednickiego o „Studiach slawistycznych w U.S.A.” jest istotnie ciekawa i cenna; natomiast M. Wańkowicza zbyt urywkowa, niedokładna w szczegółach. J. Wittlin oddaje nam dobrze nastrój Bronxu, — jaka szkoda, że nie otrzymaliśmy serii takich „widoczków”, które by przybliżyły nam Stany Zjednoczone! Wybór utworów autorów amerykańskich wydaje mi się przypadkowy: żaden wybór nie jest reprezentacyjny bez takich nazwisk jak Marquand, Dos Pas-

sos, Hemingway, Faulkner, by wspomnieć tylko tych czterech; z doskonałego i odważnego krytyka jakim jest Lionel Trilling dano rzecz nienajbardziej dla niego charakterystyczną (dobry natomiast jest wybór Jacques Barzuna).

Oto główne niedobory amerykańskiego numeru „Kultury”. Są one tym bardziej przykre, że mamy dzisiaj w Stanach sporą grupę intelektualistów i pisarzy polskich, którzy mogliby napisać rzeczy gruntownie przemysłane, ciekawe, miarodajne o wielu aspektach amerykańskiej kultury. Przypuszczam, że gdyby przed wojną pismo takie jak niezapomniany „Przegląd Współczesny” wydało specjalny numer amerykański, to potrafiłoby zebrać artykuły piór takich jak Roman Dyboski, Stanisław Helsztyński, Maria Corbridge-Patkanowska i inni, które by dawały dobry pogląd na współczesną kulturę Stanów Zjednoczonych. Jaka szkoda, że dzisiaj, kiedy tylu Polaków ma szansę przyjrzenia się z bliska wielkiemu zjawisku amerykańskiemu, nie potrafimy zdobyć się na zeszyt złożony w przeważnie chociażby z opracowań polskich. Poza tym zeszytowi amerykańskiemu „Kultury” brakuje dyskusji nad stosunkiem U.S.A. do Europy i dwugłosu europejsko-amerykańskiego o roli kultury europejskiej i vice versa.

Miejmy nadzieję, że braki te i luki będą kiedyś uzupełnione przez „Kulturę”, albowiem temat prosi się o odpowiednie ujęcie.

Racz Pan przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, wyrazy prawdziwego szacunku.

Zbigniew GRABOWSKI

Londyn, 15 sierpnia 1953.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z zainteresowaniem przeczytałem w Nr 5/67 „Kultury” kronikę angielską dotyczącą zażądania zjednoczenia emigracji politycznej. Dobrze się stało, iż właśnie korespondent „Kultury” zwrócił uwagę na nieusprawiedliwiony podział stronnictw na niepodległościowe i „satelickie” jaki to głoszą ci, co rozszcza sobie tytuły do przewodzenia ogółowi.

Będąc długi okres czasu poza Krajem możemy z łatwością porównać nasze wewnętrzne stosunki polskie z wysokim poziomem zachodniej kultury politycznej, tym więcej więc boli i upokarza nas ten sztuczny podział przeprowadzany przez niektórych polskich polityków.

Polski Narodowy Komitet Demokratyczny opiera się zasadniczo na dwóch stronnictwach historycznych, posiadających na emigracji swe władze wyłonione w Kraju.

P.S.L. do października 1947 roku walczyło czynnie z komunizmem o ideały demokratyczne w Kraju w sposób bezkompromisowy. Dopiero opanowanie biur P.S.L. przez bezpiekę i pewność niechybnego aresztowania prez. St. Mikołajczyka, by zgotować mu los bułgarskiego Petkova — położyło kres publicznej działalności. Każdy kto miał choćby najmniejszą możliwość kontaktowania się z Krajem w tym okresie, zdaje sobie dobrze sprawę z tej heroicznej walki prowadzonej przez milionową rzeszę członków P.S.L., bezwzględnie popieranej przez całe społeczeństwo polskie.

Stronnictwo Pracy do lipca 1946 prowadziło w Kraju publiczną działalność polityczną, odbyło szereg zjazdów organizacyjnych, rozrastało się, miało zrozumienie społeczeństwa polskiego w Kraju i jego uznanie. Cieszyło się zupełnym zaufaniem episkopatu, czego ostatecznym wyrazem była uchwała episkopatu na Jasnej Górze 8 września 1946 r. Działalność S.P. to zdecydowana bez żadnych ustępstw i załamania walka z narzuconym przez nowego

najeżdżąc z reżimem komunistycznym. Uchwałą Zarządu Głównego obradującego pod przew. prez. K. Popiela, S.P. zawiesiło swą działalność do czasu zmiany warunków, w których można by podjąć dalszą akcję polityczną.

Stronnictwo Demokratyczne, dziś również wchodzące w skład PNKD, zgodnie ze swym programem z r. 1945 usiłowało bezskutecznie być órdownikiem inicjatywy prywatnej, obrońcą prywatnego handlu, rzemiosła. Ponadto SD grupowało liberalnych intelektualistów jak np. rektor Kulczycki, marszałek sejmu Barcikowski, W. Rzymowski itd. Pod wpływem „dobroczyńnych” wtyczek komunistycznych jak np. swego gen. sekretarza min. Leona Chajna SD przeszło całkowitą „ewolucję”, przyspieszoną zresztą kilkoma aresztowaniami m.in. min. aprowizacji Włodzimierza Lechowicza — stając się dziś w Kraju powolnym narzędziem komunistów.

Można nie podzielać dziś poglądów politycznych P.N.K.D. tak jak robi to „Londyńczyk” w swej korespondencji, ale jest zupełnie niezrozumiałe jak można dwum nurtem, w których to zorganizowało się społeczeństwo polskie w zaciętym boju przeciw komunistom tj. PSL i SP odmawiać nazwy niepodległościowców! A za niepodległościowców uważać tych tylko co pozostali z dala od Kraju, bezpieczni w oddali, ograniczając się do platonicznych protestów, do walki z komunizmem w formie negacji, w rezultacie prowadząc naszą polityczną emigrację do symbolu wrzącego kotłowiska „Zapóźnień żalów, potępieńczych swarów...”

Dziś atakując ludowców i Chrz.-Demokr. chętnie żongluje się w polskim ośrodku politycznym nad Tamizą określeniem „jałtańczyk”, tak jakby układ ten został zawarty przez ludzi będących dziś w P.N.K.D. Wystarczy chyba przypomnieć, iż układ w Jałcie został zawarty bez udziału Polski. P.S.L. jak i S.P. wraz z P.P.S. oświadczyło w Deklaracji Porozumienia Stronnictw Dem. podpisanej i ogłoszonej 15 listopada 1948 r.: „Akty nowego zaboru ziem Rzeczypospolitej, dokonane przez obcych wbrew woli i zgody narodu polskiego, pozostają nieważne i nie obowiązują narodu polskiego”. To jest chyba jasne. Odnosnie postanowień narzuconych przez obce rządy w sprawie tzw. „Rządu Jedności Narodowej” to nie sądzę, by P.S.L. jak i S.P. odgradzało się od odpowiedzialności — nie za samo postanowienie lecz za jego przyjęcie i zastosowanie. Część tej odpowiedzialności dzielą również Stronnictwa Narodowe, które w osobach swego prezesa w Kraju Aleksandra Zwierzyńskiego i p. Wernera brało udział w uchwałach Rady Jedności Narodowej wraz z P.P.S. reprezentowanej przez Kazimierza Pużaka i Z. Zarembe. Wszyscy burzyli się przeciw temu upokorzącemu dla nas stanowisku mocarstw, to jednak RJN przyjęła jednogłośnie te warunki, bo Kraj liczył się z twardą rzeczywistością i nie chciał rozbroić się moralnie i organizacyjnie, nie chciał zejść na drogę teoretycznych i platonicznych protestów. Zgodzono się więc na przyjęcie do swego grona Komitetu Lubelskiego jako partii komunistycznej, w formie piątego członku na równych prawach i w równej ilości członków jak cztery pozostałe PPS, PSL, SN, SP.

Dużo pisze się o Jałcie bez dodatkowych wyjaśnień — robi to się jednak li tylko by stworzyć jakąś linię podziału. W przedwrześniowej Polsce nikomu o Jałcie w ogóle się nie śniło, a prezes ludowców Witos szukał schronienia zagranicą, prezes SP W. Korfanty był spotwarzany jedynie przez komunistów w sposób niewątpliwie przewyższający Jego przedwojennych wrogów, Karol Popiel, były więzień brzeski, był zmuszony Kraj swój opuścić. Pp. gen. Haller, Sikorski, I. Paderewski, W. Korfanty, W. Witos, C. Ratajski i wielu innych wybitnych Polaków obradowało w Morges a nie w Warszawie! Nie dziwny się, iż dziś do tego samego celu używa się innych środków.

Po zakończeniu II wojny światowej dla wielu Polaków nie znających Rosji wydawało się oczywiste, iż Polska będzie taka jacy dla niej będą pracować Polacy. Objęcie każdego stanowiska przez Polaka a nie przez obcą na-

rodowość pełniącą obowiązki Polaka, logicznie biorąc było najkorzystniejszym dla Kraju rozwiązaniem. Pogląd ten był tym łatwiejszy do przyjęcia, iż działalność naszych instytucji polskich podlegających rządowi naszemu w Londynie nie tylko nie zachęcała lecz wręcz odwrotnie odstraszała od pozostania na emigracyjnym podwórku. Widząc w dodatku, iż część polskich przywódców politycznych wraca do Kraju, w najlepszych intencjach włożenia wkładu swej własnej pracy do odbudowy zniszczonego przez wojnę i okupację Kraju — wielu zgłosiło swój udział.

Spotkał ich oczywiście okrutny zawód. Warto jednak przytoczyć kilka choćby nazwisk osób, które trudno posądzać o sympatie komunistyczne a wszystko wskazuje, iż intencje ich były czyste. Twórca Gdyni min. E. Kwiatkowski pracował w nadziei, iż będzie mógł odbudować polskie wybrzeże, min. A. Rose, wybitny ekonomista, pracował tak długo, jak długo był przekonany, iż fachową swą wiedzą i doświadczeniem służy Polsce, Ksawery Pruszyński był gorącym patriotą, swej twórczości literackiej nie splamił ani jednym odchyleniem ku linii komunistycznej, a pp. generałowie Berbecki, Rommel, Mossor — nazwiska mówią za siebie. I można cytować długą listę nazwisk. Wszyscy w „te” emigrację polityczną osiadł w Londynie nie wierzyli. Wszystkie ich nadzieje i złudzenia prysły jak bańka mydlana po poznaniu rzeczywistości krajowej. Ale czy to upoważnia kogokolwiek tu, na emigracji, do napaści szkalujących, zarzucając przyjmowanie godności, stanowisk i wynagrodzenia? i to nie znając ani motyłów postępowania ani intencji? W większości wypadków jedni z nich bądź już nie żyją, inni są w więzieniu lub zaginęli. Nielicznym tylko udało się znaleźć po zachodniej stronie żelaznej kurtyny. I to dopiero po głośnej sprawie Cz. Miłosza, oblanego wiadrem pomoy przez „niepodległościowców” znad Tamizy, nastąpiło pewne otrzeźwienie. Lotników polskich dziś się dekoruje. Miejsmy nadzieję, iż nastąpi inne otrzeźwienie i stworzymy jednolity polski front wszystkich stronnictw politycznych walczących z komunizmem w ramach Rady Jedności Narodowej.

Łącząc wyrazy szacunku

Mirosław WIERZBICKI
Montreal

Szanowny Panie Redaktorze,

Piszę w sprawie listu prof. Weintrauba. Otóż zdarza się często iż ktoś, chociaż odmiennie niż my zdania, pomaga nam w pracy, dorzucając coś o czym nie wiedzieliśmy, bądź też oświetlając z innego punktu omawiany materiał. Trzeba jednak, aby przeciwnicy stali na tym samym korcie, inaczej bowiem odbijanie piłki nie ma najmniejszego sensu. Skoro jeden z nich jest „zgorzony” i ma za złe, a drugi, choć „młody i początkujący”, sądzi że ma prawo, rozmowa jest niemożliwa.

Ewentualną wymianę zdań utrudnił jeszcze bardziej fakt dopisania fałszywych „wniosków” do wyszarpniętych z mego tekstu linijek. Technika, znana w dziennikarstwie politycznym, zdumiewa pod piórem profesora uniwersytetu. Oto przykład. Gdy ja piszę: „poeci... winni byli... wyodrębnić style osobiste. Niestety warsztat twórcy Wierzyńskiego nie uległ przebudowie...” adresuję wyraźnie moją uwagę, nie robiąc żadnej aluzji do poezji Lechonia, Pawlikowskiej — a tym bardziej Tuwima. A tymczasem prof. Weintraub usiłuje poszerzyć mój zarzut na tych właśnie poetów.

Przy użyciu identycznej metody „wykańcza” inny spośród moich argumentów. Twierdziłem, że Wierzyński dąży „przede wszystkim” do wypowiedzenia wątku anegdotycznego — tzn. że nie słowo jest najważniejszym ak-

toem, ale treść, którą autor chce nam przekazać. Stwierdziłem typ wiersza. Prof. Weintraub przylepia moją opinię do zupełnie innego problemu, do rymów bez pokrycia sensownego. I figlarnie dziwi się skomponowanej przez siebie bzdurze. Co do mnie, raz jeszcze podziwiam „chwyt”.

Prof. Weintraub uważa za rzecz normalną iż poeci posługują się rekwizytami. Tłumaczy ten fakt, pisząc: „A posługują się nimi dlatego, że są one wygodnymi skrótami”... Inaczej patrzmy na sztukę. Wygoda nie ma z nią nic wspólnego. Artysta winien omijać „wygodne skrót”, w miejsce ich dawać własne odkrycia, a nie ściągać bani cudzej poezji nad swój ogród i dom.

Prof. Weintraub ma rację. Poezja, jak ziemia, ma swoje pokolenia. Myślę jednak, że nazbyt pośpiesznie zajął się przydzielaniem działek wieczności. Wykarmoniony na tradycji poetów-wieszczów, przekonany o ich nieomyślności, denerwuje się i ma mi za zło iż napisałem szczerze co myśle o ostatnim tomie Wierzyńskiego. Poeci są dostawcami wyrobów estetycznych, którym można i trzeba przyglądać się dokładnie, tak samo jak polewanym garnkom, czy biżuterii. Bo są firmy które podupadają. O sztuce trzeba mówić słowem prostym i celnym, bez kadzideł, piętnując błędy i gąfy nawet wtedy, gdy tkwią w tekście znanego i cenionego poety.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy głębokiego szacunku

Marian PANKOWSKI
Bruksela

Redaktorze,

Stwierdzam ze skruchą, że pisarz rosyjski Gazdanow, o którym ubocznie wspominałem w artykule o Remizowie („Kultura” Nr 4/66) że umarł — *ż y j e !*

Pomieszałem Gazdanowa, którego świetny debiut „Wieczór w Claire” zachwylił mnie w latach trzydziestych, z innym pisarzem, zmarłym wówczas w Marsylii. Od tego czasu Gazdanow napisał szereg powieści. „Duch Aleksandra Wolfa” był tłumaczony na angielski, francuski, włoski i hiszpański. W Wydawnictwie im. Czechowa w New Yorku wyszła w 1952 roku jego powieść „Nocne drogi”.

Podając tych parę danych o pisarzu przepraszam jego, Ciebie Redaktorze i czytelników, których w błąd wprowadziłem.

Józef CZAPSKI

SPROSTOWANIE

W numerze 7/69-8/70 „Kultury” przez pomyłkę podano p. J.U. jako tłumacza noweli Thomasa Mertona pt. „Mnich i myślicy”.

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris-(IV’).

Directeur-gérant : Mme Christiane Karasiewicz
Dépôt légal : 4^e trimestre 1953

KULTURA

REDAKTOR — JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (S. et O.)
Telefon: Maisons Laffitte (S. et O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		½-rocznia	Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 54, 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, «Skladnica Książki Polskiej», Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires.	10 peso	60 peso	120 peso
AUSTRALIA: «Vistula» (Australia) PTY Ltd., 77, Pitt Street, Sydney.	5 sh. (a.)	£.A.17.6.	£.A.2.12.6.
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 62, Vandrekindere, Bruxelles-Uccle, Nr konta pocztowego 7315-20.	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Barcińska, r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana; Hanna Lekszycka, rua Guarã 139, vila Pompeia, Sao Paulo.	25 cruz.	150 cruz.	250 cruz.
FRANCJA: «Libella», 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris-IV ^e	150 fr.	900 fr.	1.800 fr.
KANADA: Krystyna Krakowska, 2290 Av. Marcil, N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; Stan. L. Lemański, 570 Aberdeen Ave., Winnipeg/Man.; H. R. Radomski, 107 Rose Park Drive, Toronto/Ont., Tel.: HY-0829; Stanisław Zybala, 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.; „Związkowiec” (Pol. Alliance Press, Ltd.), 700 Queen St. W., Toronto/Ont.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal 206, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: «Ostatnie Wiadomości», 17a, Mannheim-choenau, 4094 LSCO Schoenau, U.S. Zone; St. Mikiciuk, Seehamer-Str. 4, Baracke 16B/2, München 54.	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thelberg, Genève, Tél. 2-32-92.	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärgatan 3/IV, Stockholm.	3 kr.	15 kr.	28 kr.
URUGUAY: Jerzy Pałuski, Calle Itu 2060, Montevideo-Melvin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: Józef Białasiewicz, 1165, Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; W. Bienkowski, «Gryf Publ.», 615, Henry St., Utica, N.Y.; L. Dudarew-Ossetyński, 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; S. Dziarczykowski, 3216 W.—15 St., Los Angeles 19, California; M. K. Dziewanowski, 27 Aberdeen Ave., Cambridge, Mass.; Christian M. Kretowicz, 2109 Robinwood Ave., Toledo 2, Ohio; Andrzej Pleszczyński, P.O. Box 750, Santa Barbara, California; M. Szyprowski, 11 Cooper Street, New York 34, N.Y.; Kazimierz Trojanowski, 8805 Neal St., Detroit 14, Michigan; S. Sokolowski, 4856 E. Stiles St Philadelphia 37 Pa.; Polish American Book Center, 2300 Caniff St., Detroit 12, Mich.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: «Gryf» Publications Ltd., 169/171, Battersea Church Road, London, S.W.11.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
WŁOCHY: Ewa Wierusz-Kowska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632.	250 lir	1.500 lir	2.500 lir

W krajach niewymienionych prenumeratę liczymy tak jak we Francji, doliczając na koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Koszta przesyłki pojedynczego numeru: 30 fr. fr.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Cornelle, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Gona ogłoszeń: cała strona 10.000 fr.; 1/2 strony 6.000 fr. fr.

Vient de paraître
A LA GUILDE DU LIVRE

CZESŁAW MIŁOSZ

LA PRISE DU POUVOIR

Roman ...

... le livre de notre époque
IGNAZIO SILONE



Prix Européen 1953

Reliure marocco vert, l'exemplaire **500 fr.**



AMIS DE LA GUILDE DU LIVRE
58, rue Mazarine, Paris (6^e)

Tél. : DANton 67-85

Cena 150 frs.